

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ **Nr 11/61**

1952



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

Melchior WAŃKOWICZ:

TRZY POKOLENIA

Lubomyr ORTYNSKYJ:

PRAWDA O UKRAIŃSKIEJ DYWIZJI

Zygmunt NAGÓRSKI, jr.:

SPRAWA POLSKA W U.S.A.

SPIS RZECZY :

Zygmunt Nagórski, jr.:	<i>Sprawa polska w U.S.A.</i>	3
Władimir Weidle:	<i>Wansee-1811</i>	18
Melchior Wańkowicz:	<i>Trzy pokolenia</i>	23



Marek Gordon:	<i>Film</i>	64
" "	<i>Winda</i>	67
" "	<i>Koncert</i>	68
Kekstas J. (tłum.):	<i>Z najnowszej poezji litewskiej</i>	71

ARCHIWUM POLITYCZNE

Jiri Kolaja:	<i>Polityczne konsekwencje cech narodowych</i>	74
Juliusz Mieroszewski:	<i>List z Wyspy</i>	78
Londyńczyk:	<i>Kronika angielska</i>	83

SPRAWY I TROSKI

W. Babiński:	<i>List z Kanady</i>	87
S. A. Zieliński:	<i>Pośpieszne sądy</i>	96

KRONIKA UKRAIŃSKA

Jewhen Małaniuk:	<i>Izaak Mazepa i St. Stempowski</i> ..	101
BEO:	<i>Z życia sowieckiej Ukrainy</i> ..	105

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Lubomyr Ortyński:	<i>Prawda o Ukraińskiej Dywizji</i> ..	109
Alfred Burmeister:	<i>Szyzyfowe prace</i>	117

KRONIKA KULTURALNA

Jan Holcman:	<i>Montaże</i>	124
Milorad M. Drachkovitch:	<i>Instytut europejski w Bruges</i> ..	130

KSIAŻKI

Józef Czapski:	<i>„Głosy milczenia”</i>	134
Józef Ursyn:	<i>Nowości paryskie</i>	147
Zygmunt Nagórski, sr.:	<i>Problemy międzynarodowe w pu- blistyce U.S.A.</i>	149
—	<i>Lista poległych i zmarłych</i>	154
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i> ..	155



L. Pogonowski, ks. Z. Majewski, Cz. Strasze- wicz, St. Westfal, M. Sambor, A. Bregman:	<i>Listy do Redakcji</i>	156
---	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Listopad - Novembre 1952

INSTYTUT



LITERACKI

Noty biograficzne autorów

Władimir WEIDLE, ur. w Petersburgu (Leningrad) w r. 1895. Ukończył studia uniwersyteckie w Petersburgu i na tamt. uniwersytecie wykładał od r. 1921 do 1924 Historię Sztuki. Od jesieni 1924 r. mieszka w Paryżu. W r. 1936 ukazała się jego książka „Les abeilles d'Aristée”, a w r. 1949 „La Russie absente et présente”, która otrzymała „Prix Rivarol”.

Drukowany w bież. nrze essay pt.: „Wansee 1811” jest wyjęty z książki pt.: „Wieczerny dzień”, która ukazała się niedawno nakładem Wyd. im. Czechowa w New Yorku.

Jiri KOLAJA — ukończył studia na uniwersytecie T. G. Masaryka w Brnie — i w r. 1947 otrzymał tytuł doktorski. Po ukończeniu studiów odbył trzymiesięczną podróż po Polsce.

Po przewrocie komunistycznym w Pradze udało mu się zbiec na Zachód. Obecnie kontynuuje swoje studia i badania jako adiunkt „New York State School of Industrial and Labour Relations, Cornell University”.

Dr Jiri Kolaja jest członkiem Zagranicznego Czechosłowackiego Instytutu „in exile”, który skupia młodych ludzi, należących do tzw. „czechosłowackiej generacji” — tj. pokolenia urodzonego po roku 1918.

Lubomir Orest ORTYNSKYJ, ur. 1919 w Mychalewyczach, pow. Drohobycz; do szkoły średniej uczęszczał w Stryju, studia prawa i nauk politycznych na uniwersytetach w Warszawie, Wiedniu i Monachium, gdzie zostaje promowany na Dra rerum politicarum.

W latach 1943-45 pełni służbę 2-go adiutanta przy sztabie 29 plk. I-szej Ukraińskiej Dywizji, z którą bierze udział w bitwie pod Brodami i w innych operacjach Dywizji. Obecnie redaktor ukraińskiego wojakowego miesięcznika „Wisti” — organu Bractwa b. żołnierzy I UD-UNA (I-sza Ukraińska Dywizja Ukraińskiej Nacjonalnej Armii).

Jewhen MAŁANIUK, ur. 1897 r. na Ukrainie stepowej. Oficer Armii Ukraińskiej, emigrant (Praga i Warszawa). Wydał następujące książki: „Stylot i Stylot” (1925), „Herbarium, Ziemia i żelazo, Ziemska Madonna, Pierścień Polikratesa i Włada” (1952). Opublikował ponadto znaczną ilość studiów i esejów.

Przed wojną ukazał się u Gebethnera i Wolffa wybór jego wierszy w przekładzie Jastrzębca-Kozłowskiego pt. „Hellada Stepowa”.

Przebywa obecnie w USA.

Jan HOLCMAN, pianista i pedagog, ur. w 1922, w Łodzi. 1937-39 studia muzyczne w łódzkim konserwatorium, 1940 w konserwatorium lwowskim, następnie rok w moskiewskim. Z Rosji wydesta się z Armią gen. Andersa. W 1942-7 koncertuje w Palestynie i otrzymuje stypendium z Funduszu Kultury Narodowej w Londynie. Od r. 1947 przebywa w Stanach Zjedn., gdzie kończy muz. studia w Juilliard School of Music. Napisał kilka fortepianowych transkrypcji i kadencji do koncertów Mozarta. Obecnie pracuje nad książką z dziedziny muzyki.

Z braku miejsca noty biograficzne Z. Nagórskiego, jr., M. Wańkowiaka, M. Gordona i Z. Nagórskiego, sr. zamieścimy w następnych numerach.

Imprimé en France

Imprimerie RICHARD, 24, rue Stéphenson, Paris (18^e)

Sprawa polska w U.S.A.

Podejmuję się zadania nie tylko trudnego, ale prawie niemożliwego do wypełnienia. Mam napisać o tym jak wygląda sprawa polska w Ameryce. O tym w jakim stopniu my, emigranci polityczni, gramy na szachownicy której na imię polityka. Mam określić, zmierzyć i odważyć rozmiar wpływów, możliwości, masy zwanej polityczną emigracją. Mam je ustawić w świetle interesów polskich, na tle interesów amerykańskich. Mam także wyciągnąć wnioski na przyszłość, jako że obraz obecny zawieszony w próżni nie dawałby przecież ani perspektywy, ani nie miałby logicznego usprawiedliwienia. Po co go nakreślać skoro nie miałby on podstaw, skoro nie miałby dalszego ciągu?

Stwierdzam, że to zadanie trudne z tej prostej przyczyny, że jestem zdania iż sprawy polskiej jako takiej w Ameryce nie ma. Są ludzie działający na różnych, najczęściej nie powiązanych ze sobą odcinkach. Są organizacje, stowarzyszenia i partie polityczne. Są pisarze, dziennikarze, prawnicy i profesowie wszyscy pełni jak najlepszych chęci i wszyscy działający na swoich odcinkach w sposób pozytywny. Tylko, że brak w tej działalności jednej myśli przewodniej. Brak kierunku. Brak także skanalizowania wysiłków, po to aby osiągnąć możliwie najlepszy rezultat.

Wiem, że ta moja teza ani się nie spodoba, ani nie wywoła ze strony ludzi, którzy powinni, a którzy nie wytworzyli nurtu polskiego w Ameryce, aktów samokrytycznego przyznania. Wiem, że myśli moje ogłoszone będą za herezję. Wiem także, że myśli te znajdą oddźwięk wśród nie-zawodowych, nie-wszystko-wiedzących, nie-wodzowsko-nastawionych kół prostych, zwyczajnych Polaków, których los rozrzucił po Stanach Zjednoczonych i którym dzisiaj co najmniej tak samo tęskno do polskości, jak im tęskno było do amerykańskości widzianej z dalekiej Szkocji. Tęsknota ku Ameryce była jednak tęsknotą ku lepszemu bytowi materialnemu, była także tęsknotą do kraju w którym nie jest się zawsze i wszędzie cudzoziem-

cem. Obecna tęsknota jaką przechodzi fotograf polski pracujący w redakcji małego pisma w Bismarck, stolicy północnej Dakoty, czy farmer wyrzucony na amerykańskie południe, jest uczuciem zgoła innym. Każdy z nich jest już zaspokojony w swoim głodzie amerykańskości. Obaj mają pracę, dochód i poczucie przynależności do ośrodka w którym osiedli. Obaj powoli zaczynają zapuszczać korzenie w nowej i bardzo żyznej glebie. Obaj czytają po angielsku, obaj słuchają radia i wiedzą co się dzieje na świecie. I obaj zgodnym chórem wołają o polską gazetę, o polskie wiadomości i o wskazówki co, jak, gdzie mają robić żeby tej swojej na chwilę zapomnianej ojczyźnie służyć.

Obserwujemy nawrót, przytyw, tak samo jak obserwować można było odpływ w latach powojennych, w latach rozczarowań, tragedii nie tylko narodowych ale także i osobistych. Ten przytyw winien znaleźć swoje ujście, winien być pokierowany w jakieś wielkie łozysko, nabrać nurtu i wartkim pędem wpaść do amerykańskiego morza. Tylko wtedy owo morze poczuje ów przytyw, poczuje chłód, lub ciepło wpadających doń wód i zwróci na nie uwagę.

Tego nurtu nie mogę znaleźć, nie jestem w stanie odszukać. Widzę ludzi, którzy i z wieku i z urzędu i z politycznych powiązań i ze zdolności osobistych jakże świetnie nadawaliby się na architektów tego wielkiego kanału. Widzę ich pochyłonych nad jakimiś planami, ale kiedy zbliżam się nieco, odkrywam, że plany te obejmują tylko ich własne zabudowania dworskie, czasami sięgają do czworaków, ale prawie nigdy nie wychodzą na gościniec, który biegnie tuż obok. Widzę ich także jak w obłokach dymnych spędzają godziny długie i bezskuteczne nad dysputami o przeszłości, nad dociekaniami personalnymi, nad walkami z cieniami, które już dawno przeszły do historii czy do muzeum figur woskowych.

I dlatego sprawy polskiej w Stanach Zjednoczonych nie ma. Dlatego pisząc na ten temat, piszę właściwie o abstraktach, o czymś co istnieje w umysłach ludzkich, co stanowi pewne pojęcie ideologiczne, ale czego się nie czuje, co nie gra, słowem czego nie ma, co się politycznie nie liczy.

Jakie są przyczyny tego stanu rzeczy? Co stoi na przeszkodzie stworzenia w Nowym Jorku czy w Waszyngtonie, ośrodka myśli politycznej polskiej? Ośrodka, który byłby centralą ideologiczną dla wszystkich Polaków - emigrantów w Ameryce? Ośrodka który by emanował w teren, który by stale walił młotem drukowanego słowa w mur amerykańskiej opinii publicznej? Ośrodka który by był zarówno ośrodkiem akcji jak i gniazdem koncepcji, który by Polskę jutra widział oczami trzeźwych, spokojnych polityków i który by tę Polskę jutra potrafił ustawić w ramach zarówno dostępnych dla polskiego nacjonalisty, jak i dla amerykańskiego internacjonalisty? Ośrodek, który dbając o interesy Polski, dbałby o nie w sposób strasny dla reszty świata, a nie buńczuczny, szlachecki, ka-

waleryjski nie liczący się z nikim, z niczym oprócz efektu chwili, efektu powiedzianego czy napisanego słowa, który podniesie w knajpie wzburzone czupryny i porwie tłumek do beznadziejnej walki?

Przyczyny braku tego ośrodka są rozliczne, zawile, skomplikowane. Potrafilismy stworzyć nurt sprawy polskiej w Paryżu w czasie pierwszej wojny światowej. Potrafilismy dotrzeć do najwyższych czynników amerykańskich w tymże samym czasie. Potrafilismy silny nurt rządu polskiego w Londynie utrzymać przez cały czas drugiej wojny światowej. A dzisiaj, w chwili kiedy decydują się losy naszego obszaru na wiele lat, może wiele pokoleń, właściwie nas brakuje.

I dzieje się to w warunkach najbardziej przychylnych dla rozwoju wszelkich emigracji politycznych, dzieje się to w kraju, w którym walką z komunizmem jest nie tylko wojna na Korei, ale jest także walka ideologiczna, walka w której każdy sprzymierzeniec wnoszący koncepcje jest natychmiast akceptowany. Amerykanie z trudem wypracowują dzisiaj to co w żargonie fachowym nazywa się ideologią pozytywu. Chcą się oderwać, odejść od anty-komunizmu jako celu samego w sobie. Sami mają dość amunicji po temu, żeby po prostu powiedzieć sobie: Ameryka versus Rosja. Wystarczy im żyć w Stanach i rozumieć co to jest Rosja. Natomiast filozofia koncepcji pozytywnej potrzebna jest na użytek zewnętrzny, dla tych którzy Rosję znają, którzy komunizmu nienawidzą, którzy pod nim żyją, ale którzy nie bardzo widzą jaka jest alternatywa? Wiedzą, że częścią tej alternatywy jest odzyskanie niepodległości, ale zdają sobie sprawę, że na tym nie może być koniec. Ludzie ci w Ameryce nie żyli i pewno nigdy żyć nie będą. Pustka jaka zaplanowała w ich pojęciach może być zastąpiona słowem i pojęciem wolności tylko do pewnego punktu. Nie trzeba bowiem zapominać, że ludzie ci to weterani rozczarowań, tragedii, że to cynicy polityczni i — co gorsza, cynicy z doświadczenia.

W poszukiwaniu odpowiedzi na to pytanie: jaka polityka pozytywizmu? — Amerykanie rzecz jasna zwracają się w kierunku emigracji. A ponieważ są ludźmi praktycznymi nie zwracają się z próżnymi rękami. Dają wybranym, zdawałoby się najcenniejszym, szanse na wypracowanie koncepcji, na zbudowanie ram kanału nie tylko sprawy polskiej, ale także i sprawy całego naszego rejonu. Zdejmują z nich troskę natury materialnej w nadziei, że wolne, spokojne umysły starych, doświadczonych polityków potrafią w atmosferze kompletnej wolności tworzyć. Od trzech lat czekają na plody tej twórczości. Będzie może, że jak na amerykańskie wymagania, rezultaty są dobre. Patrząc na wypadki oczami Polaka nie mogę podpisać się pod zdaniem poprzednim. Ale zastanawiając się głębiej zaczynam także winić i owe amerykańskie metody za fiasko sprawy polskiej w Ameryce. Bo przecież myśmy zawsze i wszędzie najlepiej tworzyli, najlepiej się bili, najlepiej konspirowali kie-

dy za nami nie stało nic. Przecież nasza wielka emigracja była emigracją sama przez się, bez żadnego zaplecza, bez pomocy, bez niczego co by usuwało spod nóg przeszkody. Każdy list, każda manifestacja, każdy protest to był rezultat żmudnej, ciężkiej pracy aniołów, których los nagle ubrał w skrzydła ideałów, a którzy przedtem i potem zwykłymi zjadaczami chleba tylko byli. Szukając odpowiedzi na moje wątpliwości znajduję je może trochę właśnie w wygodzie pracy politycznej jaka istnieje w Ameryce. Szukając furtki w tym labiryncie jakichś psychologicznych komplikacji, przeszkód i trudności jakie ludzie sobie sami pobudowali, widzę nagle przeblask światła. Tak, to na pewno wina ludzkiej, a może tylko polskiej natury. O ileż przecież bardziej romantyczne jest zebranie konspiracyjne po ciężkiej pracy w kopalni, aniżeli wolny cały dzień, który należy możliwie najlepiej przeżyć w służbie sprawie polskiej? Jaka to służba dzisiaj? Na czym polega? Czy na atakowaniu Rosji? Czy także na atakowaniu Ameryki? Czy na cementowaniu szeregów emigracyjnych? Czy na pracy propagandowej zewnętrznej? Czy na szerzeniu wiedzy naukowej o systemie panującym w Polsce? Czy może na stanowisku sztywnym, bezkompromisowym, na stanowisku Polski od morza do morza, która wbrew całemu światu i tak powstanie, bo tego wymaga tradycja naszego wielkiego narodu?

Zawieszony w próżni Polak - emigrant, Polak - polityk, Polak ku któremu zwracają się obce spojrzenia w nadziei uzyskania wskazówek i pomocy, rzuca się w jakiś nie nie znaczący strumyczek i działa. Ta działalność może być różna: najczęściej sprowadza się do dyskusji w gronie własnym, dobranym, nie wielkim. Czasami rozszerza się do ośrodków obcych i wtedy mówi się szeroko i powszechnie o naszych kontaktach. Prawie nigdy działalność ta nie sięga w teren ku własnym ludziom, takim jak ów fotograf w Bismarcku, czy farmer na Florydzie. Owe małe strumyczki płyną chudym, leniwym, spokojnym nurcikiem nie dość silnym na to, żeby unieść na swoich falach nawet dziecinny stateczek. I nieomylnie albo strumyczki te wysychają w momencie, kiedy kończy się entuzjazm źródła, bądź też wpadają w głęboki nurt amerykańskiej myśli politycznej przez nikogo nie zauważone.

Przyjrzyjmy się tym strumykom bliżej. Bo obok nich płynie nurt szybki, wartki nie zawsze czysty i nie zawsze właściwy, ale nurt który pozostawia za sobą ślady głębokie. Nurt ten to urabianie opinii kraju przez radia amerykańskie. Oba te radia, jakkolwiek obsadzone i operowane rękami polskimi, powstały na skutek decyzji, pracy i kapitału amerykańskiego. Oba one także są kierowane amerykańskimi mózgami, przy dużym współudziale polskim, ale tylko współudziale.

Przeraża mnie nagle to zestawienie: braku sprawy polskiej w Ameryce i ogromu zagadnienia amerykańskiego w dzisiejszej Polsce.

W pierwszym rządzie interesuje mnie działalność polityczna. Patrzę na nią od czterech lat, od pierwszej chwili mego pobytu w Stanach. Wtedy, w roku 1948, nie było nic oprócz spuścizny po Ignacym Matuszewskim i oprócz starej Polonii. Ta ostatnia jest rozdziałem osobnym, rozdziałem który nie zamyka się w ramach tych rozważań. Rozrzućmy po Ameryce, nieliczni jeszcze wówczas, emigranci polityczni, zaabsorbowani byli walką o byt, staraniami o stypendia naukowe czy studenckie. Spotkania grup politycznych były nieliczne, rzadkie i raczej konkretne. Mówiło się o samym zagadnieniu, odkładając na bok wszystkie sprawy poboczne. Nie było ani personalii, ani gier, ani żadnego ciała politycznego amerykańskiego, na którym można by koncentrować wszystkie swoje gorzkie żale. Ludzie, których zajęcie polegało na kontrolowaniu biletów w kinach, albo stawianiu w ogonku w agencji poszukiwania pracy, znajdowali w ciągu godzin wieczornych czas i co najważniejsze odświeżenie w rozmowach o tym jak sprawa polska w Ameryce powinna wyglądać. Rozumiało się wówczas, że na zbudowanie polskiej fortecy potrzebne są posiłki przede wszystkim z Anglii. Jeszcze wówczas nie mówiło się nawet o jakiejś akcji oficjalnej czy pół-oficjalnej ze strony amerykańskiej.

Ewolucja jaka nastąpiła w przeciągu owych czterech lat właściwie nie zasługuje na tak łagodne określenie. Słowo rewolucja byłoby znacznie bardziej właściwe. Z Anglii napłynęły posiłki w postaci ludzi politycznie aktywnych, działaczy zarówno starych o tradycji walki niepodległościowej z okresu pierwszej wojny, jak i młodych, którzy dojrżeli dopiero po wybuchu drugiej wojny. Wszystkie trzy ośrodki polityczne polskie: rząd, Rada Polityczna i grupa Mikołajczyka zorganizowały się na terenie amerykańskim. W roku 1949-tym oficjalny Waszyngton doszedł do wniosku, że emigrację z krajów okupowanych przez Rosję są czynnikiem politycznie zbyt ważnym na to, aby je pozostawić samym sobie. Logicznym posunięciem było powstanie Komitetu Wolnej Europy. Komitet ten postawił sobie za zadanie doprowadzenie do zjednoczenia skłóconych emigracji i jednoczesne wydobywanie z tych emigracji koncepcji.

Zaryzykować tutaj muszę stwierdzenie, że w obu tych zadaniach, jak dotychczas nie osiągnął zamierzonych rezultatów. Prawdopodobnie gdyby jedno z tych dwóch zamierzeń zostało zrealizowane, wówczas byłoby wiele treści pod nagłówkiem „Sprawa polska w Ameryce”.

Na czym powinna polegać działalność polityczna emigracji w Ameryce? Wydaje się, że to takie niezmiernie proste. Są przecież ludzie, którzy są wyposażeni w narzędzia pracy. Tymi narzędziami są ich mózgi plus ich doświadczenie, plus ich wizja przyszłości. Większość tych ludzi, których zawodem jest polityka, nie potrzebuje pracować zarobkowo. Właśnie dlatego powstał Komitet Wolnej Europy, aby dbać o tych ludzi i dać im możliwość rozwinęcia w pełni skrzydeł. Jak widziałbym ich

pracę, jak wyobrażałbym sobie rolę tego ośrodka na terenie Stanów?

Po pierwsze u samej góry byłoby stworzenie ośrodka planowania politycznego. Zadaniem takiego ośrodka winno być wypełnianie luki w polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych w stosunku do Polski. Luki takie istnieją i zarysowują się w różnej formie, zależnie od bieżących wydarzeń. Jedną z nich powstała w chwili podpisywania przez zachód paktu z republiką niemiecką. Gdzie myśmy byli wtedy? Kto i kiedy złożył w Departamencie Stanu memoriał polski w sprawie niemieckiej? Nie w sprawie granic, nie protest, nie okrzyk antyniemiecki, bo to by ani nie pomogło, ani nie przysporzyło nam w tym momencie powagi. Ale memoriał przypominający z jednej strony, że niepodległe państwo polskie było współkombatantem w wojnie z Niemcami i że skoro nas nie ma w Bonn przy zawieraniu pokoju — oto jest nasze stanowisko wobec przyszłych Niemiec. Oto jest nasza koncepcja współpracy z Niemcami na gruncie politycznym, gospodarczym i kulturalnym. Oto jest nasze stanowisko wobec armii niemieckiej. Oto jest nasz punkt widzenia na załatwienie spraw terytorialnych po uwolnieniu obu państw — Polski i całych Niemiec.

O ile wiem nikt takiego memoriału nie złożył. O ile wiem nie ma również komórki planowania na szczeblu emigracyjnym najwyższym. O ile, ponadto wiem, żaden z polskich ośrodków politycznych nie potrafił sobie dotychczas wyrobić na tyle powagi i oczach amerykańskich, żeby jakiegokolwiek memorandum złożone przez nas traktowane było jako materiał do poważnych dyskusji.

Na tym właściwie zaczyna się i kończy przyczyna dlaczego nie istnieje sprawa polska w Stanach Zjednoczonych. Brak komórki koncepcyjnej paraliżuje akcję na dole.

Brak myśli politycznej uniemożliwia przekazywania pożywkę dalej.

Ale skoro powiedziałem „po pierwsze” muszę kontynuować.

Po drugie: rozprowadzanie zasadniczych myśli politycznych w dół, aż do najniższych szczebli organizacyjnych partii politycznych, klubów towarzyskich, ośrodków młodzieżowych. W ramach tej akcji polonizacyjnej winno się trzymać tych wszystkich pojedynczych emigrantów, których zainteresowania, sposób postępowania wskazują na to, że w momencie otwarcia się drogi powrotnej, pójdą po niej.

W taki sposób ośrodek planowania byłby centralą emanującą koncepcję, centralą rozsyłającą w teren plany jutrzejszej Polski, jednocześnie orientując się z oddźwięku terenowego czego ten teren chce i co naprawdę myśli emigrant polityczny.

Dzisiaj operuje się terminem „emigracja polityczna” i podpisuje się pod tym terminem cyfry idące w setki tysięcy. Tymczasem naprawdę jest to termin, który obejmuje tylko pojedyncze setki ludzi aktywnych w polityce. Reszta jest masą, która już przestała być emigracją polityczną, jakkolwiek fakt

jej emigracji był aktem natury politycznej. Zmiana ta nastąpiła przede wszystkim z braku ośrodka, który by łączył tych wszystkich, którzy swój pobyt w Stanach uważają za tymczasowy.

Ten nieistniejący ośrodek planowania mógłby z łatwością rozszerzyć nici łączące go z dolami emigracyjnymi w drugim kierunku, na nici krajowe.

Ponieważ twierdzę, że nie ma podstawowego elementu dla konstrukcji tej całej aparatury, muszę pójść o krok dalej i powiedzieć, że nie ma także kontaktu z rzeczywistością krajową w tych masach, które wyemigrowały politycznie, a osiedliły się zarobkowo.

Po trzecie: Na tak zbudowanej strukturze polityczno-społecznej można by oprzeć zaufanie, posłuch i dostęp do kół amerykańskich decydujących o takich czy innych posunięciach, mających dla Polski znaczenie polityczne.

Innymi słowy na skalę nieco szerszą, jeżeli chodzi o wachlarz ludzi, powtórzyć to czego potrafił dokonać Ignacy Paderewski przez swoją przyjaźń z pułkownikiem House.

Po czwarte: Droga planowego rozprowadzania literatury naukowej o Polsce, zaopatrzyć amerykańskie biblioteki uniwersyteckie w książki i opracowania dające prawdziwy obraz Polski niepodległej i prawdziwy obraz Polski okupowanej.

Aby ten punkt wypełnić potrzebne są duże fundusze wydawnicze. I na to jest rada w dzisiejszej, zmordowanej i utraconej pracy politycznych emigrantów. Istnieje przecież w ramach Komitetu Wolnej Europy specjalny ośrodek studiów, poświęcony zagadnieniom Europy Środkowo-Wschodniej. Oprócz tego przy dziale polskim Radia Wolnej Europy istnieje sekcja badawcza.

Oba te ośrodki jakoś dalekie są od spełnienia tak ambitnego zadania. Ośrodek studiów zatrudnia wiele setek ludzi, wydaje od czasu do czasu broszurki. Sekcja badawcza przy radiu zadawała się przeglądami prasy krajowej, które, wydawane po angielsku, tracą zupełnie na aktualności. Dla celów naukowych mają wartość raczej tylko czwartorzędną.

Po piąte: drogą planowej publicystyki docierać do najważniejszych pism i periodyków amerykańskich.

Po szóste: drogą listów do redakcji odpierać wszelkie ataki na Polskę niepodległą, o ile ataki te są pozbawione podstaw faktycznych. Tą samą drogą wpływać na opinie amerykańską w kierunku uznania zagadnienia polskiego, jako jednego z podstawowych zagadnień po-sowieckiej Europy.

W ramach tych sześciu zasadniczych punktów widziałbym dopiero nurt sprawy polskiej w Stanach Zjednoczonych. W tej chwili fragmenty niektórych z nich pokrywane są przez jednostki. Ale, tak jak powiedziałem poprzednio, to są strumyczki bez siły i impetu akcji zbiorowej, akcji planowanej.

Zamiast tych sześciu odcinków obserwować można w Ameryce — pustkę. Zamiast inicjatywy, rozmachu, energii działa-

czy politycznych, przeważa inercja. Energia objawia się we wzajemnym zwalczaniu się wrogich sobie ugrupowań. Widać ją także wtedy kiedy trzeba bronić stanu posiadania wobec pracodawców amerykańskich. Komitet Mikołajczyka cieszy się powszechną opinią grupki ludzi rządzących żelazną dyscypliną wodza. Rada Polityczna w Stanach, grupa może jeszcze stosunkowo najbardziej żywa, uważana jest za jeszcze jedno towarzystwo wzajemnej adoracji, której długie i niekończące się konwentykle rzadko kiedy atakują zagadnienie. Przedstawicielstwo ostatniej grupy emigracyjnej, rządu w Londynie, spoczywa w ręku jednego człowieka, obrotowego dyplomaty, ale mającego przeciwko sobie oba pozostałe zgrupowania i wiele drzwi zamkniętych na skutek swojej i swoich najbliższych ludzi przeszłości politycznej.

Inicjatywa w sprawie polskiej w Ameryce pozostawiona jest w ten sposób wyłącznie Amerykanom. Podjęli ją oni ochotą w chwili powstania Komitetu Wolnej Europy. Wtedy stawali na emigrację, aby nurt polski sama stworzyła. O ile się dobrze orientuję, dzisiaj panuje koncepcja diametralnie różna. Skoro Polacy sami nie są w stanie takiego nurtu wytworzyć, zrobimy to my. Tylko, że rzecz jasna, nurt ten nie pójdzie w kierunku polskim, w kierunku który czysty interes polski dyktuje. Raz odrzucona szansa, przepadła. Dzisiejszy nurt sprawy polskiej biegnie wyłącznie w kierunku krajowym. Zamiast pokrywać i Amerykę i kraj koncepcją połączonych idei obu stron, pokrywa tylko kraj. Głos Ameryki i Radio Wolnej Europy spełniają zadania kanałów, którymi ten nurt płynie.

Dlatego napisałem przed chwilą, że mnie przeraża zestawienie braku sprawy polskiej w Ameryce i ogromu zagadnienia amerykańskiego w Polsce. Bo skoro my tutaj właściwie pozostawiamy po sobie dziewiczy teren, a w kraju myśli się zgola inaczej, skoro codziennie miliony Polaków słucha głosu oficjalnej i pół-oficjalnej polityki amerykańskiej, skoro w tych głosach znajduje wszystko to czego szuka, buduje na nich całą nadzieję, czy nie staniemy przed zjawiskiem Ameryki nieprzygotowanej do roli jaką Polacy w kraju będą jej chcieli wszelkimi siłami narzucić? Obie te stacje radiowe wymagają osobnego omówienia. Są one bardzo poważnym rozdziałem w historii sprawy polskiej. Pozostają jednak poza nawiasem tejże sprawy w samej Ameryce. Są one organami polityki zagranicznej amerykańskiej. To co nazwałem abstraktem, to czego mi brak przy konstruowaniu mego procesu myślowego, to jest organu polityki zagranicznej polskiej wobec Ameryki i organu polityki wewnętrznej polskiej ze strony emigracji politycznej. Ten ostatni organ to właśnie owe biuro planowania, ów trust mózgów.

Tym mocniej, tym wyraźniej zarysowuje się wpływ i rola głosu amerykańskiego biegnącego do kraju.

Głos Ameryki, stacja oficjalna, stacja Departamentu Stanu, jest prostym wykładnikiem polityki amerykańskiej wobec

Polski. Przez tę stację biegnie codziennie do Polski oficjalny komentarz bieżących wydarzeń. Ogromna większość słuchaczy w Polsce zdaje sobie sprawę z tego i fakt oficjalności zapisuje na dobro stacji. Wierzy jej, słucha jej zaleceń, doszukuje się w aluzjach politycznego znaczenia. Wobec dużej konkurencji w eterze, głos Ameryki musi zabiegać o słuchaczy, tak samo jak inne stacje o nich zabiegają. Z ech jakie dochodzą tutaj z Polski wygląda, że firma Głosu i jego tradycja jest do dnia dzisiejszego obok BBC najbardziej cenionym towarem nabywanym z powietrza przez polskiego słuchacza.

Co ten towar zawiera? Politykę amerykańską wobec Polski. Na tym koniec. Przez lata początkowego swego istnienia Głos podawał wiernie interpretację jaltańską, tak samo jak dzisiaj podaje wiernie interpretację polityki zatrzymania, tak samo jak jutro dostosuje się do nowego prądu, o ile by wybory listopadowe przyniosły zmianę partii rządzącej. Głos taki jest potrzebny, interpretacja oficjalna powinna być dawana do Polski bez retuszu i bez sosu łagodzącego ostrość. Zachodzi wszakże jedno pytanie: czy i w jakim stopniu emigracja polityczna wyrobiła sobie dostęp do mikrofonów Głosu i czy i w jakim stopniu planiści polityczni amerykańscy, pod których bezpośrednią opieką znajduje się teren Europy Środkowo - Wschodniej, zasięgają opinii emigrantów? Opinii nie politycznej, a interpretacyjnej. Trudno byłoby przypuszczać, aby konsultowano którąkolwiek z trzech grup polskich w sprawach polityczno-strategicznych. To musi należeć wyłącznie do resortów amerykańskich. Natomiast sposób podania, droga którą przebiegać winna myśl interpretacyjna, tak aby trafiła do umysłu słuchacza polskiego i właściwie zagrała, to jest oczywista rola polityka - emigranta. Nie może tego zrobić ani rdzenny Amerykanin, ani Polak - Amerykanin prowadzący w danym momencie polski dział Głosu. Musi tutaj znaleźć się miejsce na rolę tego trzeciego czynnika, teoretycznie najlepiej rozumiejącego umysłowość Polaka pod okupacją.

Z uporem maniaka znowu wracamy do braku zasadniczego: nie ma tego trzeciego czynnika w formie strawnej dla jakiegokolwiek polityka amerykańskiego. Nie znaczy to, że polityk ten szuka ugodowców, czy też ludzi, którzy posłusznie poddawaliby się amerykańskiemu presjom. Sama idea ciała doradczego jest zaprzeczeniem tego typu rozwiązania. Ale taki polityk szuka organu, możliwie reprezentacyjnego, który by miał coś do powiedzenia. Który by był organem twórczym. Który by drogą taką czy inną doszedł do spełniania funkcji mózgu emigracji. Który by miał dobre mózgi, patynę doświadczenia i polityk młodej, niedawno zrodzonej myśli.

Nie znajduję takiego czynnika. I Głos Ameryki idzie swoją drogą, wspierany radami Amerykanów znających teren, na którym głos ten się rozlega, utrzymywany zasobem doświadczenia jakie nabywają z biegiem czasu urzędnicy. Ale tego co

mogłoby być zastrzykiem życiodajnym dla tego jakże niezmiernie ważnego programu, co mogłoby do organizmu czysto amerykańskiego dać transfuzję polskiej krwi, brakuje. I twierdzą, że brakuje tylko i wyłącznie z winy polskiej.

To jest także jeden z powodów dla których postawiłem tezę nieistnienia sprawy polskiej w Stanach Zjednoczonych. Wielki, mocny organ propagandowy rządu amerykańskiego przebiega na peryferiach polskiej polityki wewnętrznej. A łatwo mógłby ją przecinać wszędy i wzdłuż, użyźniać jej zagony światomością wpływu na urabianie opinii polskiej w kraju i światomością wpływu na interpretację polityki amerykańskiej wobec Polaków w kraju.

Drugim kanałem równie już dzisiaj silnym jest Radio Wolnej Europy. Tam sytuacja przedstawia się znacznie bardziej skomplikowanie, aniżeli w Głosie Ameryki. RWE nie jest oficjalnym głosem amerykańskim. Mieni się nawet głosem wolnej Polski. Wskazuje więc w nazwie swojej iż ma pełną swobodę w mówieniu do Polski tego co Polacy sobie życzą. Niewątpliwie na umysłach słuchaczy będzie z biegiem czasu coraz mocniej wywierać wrażenie radiostacji emigracji politycznej, a nie radiostacji amerykańskiej.

Tymczasem tak nie jest. Radio Wolnej Europy jest radiostacją par excellence amerykańską. To nie jest bynajmniej żaden zarzut, tylko stwierdzenie faktu. A jest ta radiostacja amerykańską między innymi dlatego, że emigracja polityczna nie dała koncepcji, nie dała ludzi i nie dała dość mocnego kierunku. Radiostacja sklecana przez długie miesiące z niczego musiała się oprzeć na dyrektywach amerykańskich, na personelu dobieranym w sposób bardzo specjalny, w sposób negatywny, polegający na dobieganiu ludzi, przeciwko którym nie podniesie się sprzeciw ze strony żadnego obozu politycznego (mowa tu o okresie początkowym) i na linii politycznej wypracowanej prawie wyłącznie rękami amerykańskimi.

Po to aby dojść przyczyn tego stanu rzeczy trzeba na chwilę spojrzeć na sprawę polską w Ameryce od środka i w orbicie nowego tworu politycznego na arenie tutejszej. Tworem tym jest Komitet Wolnej Europy.

Ambicją Komitetu w chwili powstania było, jak powiedziałem zjednoczenie frakcji emigracyjnych tak zwanych narodów jałtańskich. Pod tym wspólnym mianownikiem znajdowali się ci wszyscy, którzy na skutek niedotrzymania umów jałtańskich, stracili swoją niepodległość. Dodam tu nawiasowo, że ta koncepcja przestała już dość dawno obowiązywać i dzisiaj grono Amerykanów, którzy są zdania, że umowy jałtańskie same przez się odebrały tę niepodległość, poważnie się zwiększyło.

Drugą ambicją Komitetu było zapewnienie co wartościowszym emigrantom podstaw egzystencji i przez to danie im do dyspozycji czasu na pracę umysłowo-polityczno-naukową. Przypuszczam, że za tym się kryła wyraźna potrzeba ze strony politycznych czynników amerykańskich zapisania otwartego

jeszcze rozdziału stosunków amerykańsko-środkowo-europejskich rękami samych Europejczyków. Do takiego opracowania Amerykanie sami dopisaliby już odpowiednią gloskę.

Dokoła Komitetu wkrótce zawrzało. Ze wszystkich zakamarków wybiegać poczęły postacie ludzi, którzy albo rzeczywiście byli politykami, albo nagle się nimi poczuili rozumiejąc, że tylko na tej fali koniunktur zdołają przepłynąć ocean zwany Ameryką. Wkrótce Komitet miał znacznie więcej współpracowników, aniżeli się spodziewał. I coraz bardziej twórcy Komitetu zaczęli zadawać sobie pytanie: co dalej? Jak należy skanalizować ten wielki strumień, ten nadspodziewany przypływ, który zalał przedsionki biur w Empire State Building? Czy mamy stawiać na przetrwanie polityczne? Na zachowanie substancji emigracyjnej i do tego się ograniczyć? Czy raczej należy pójść po linii myśli John Foster Dullesa, który rzucił w roku czterdziestym siódmym pomysł stworzenia ośrodka propagandowo-informacyjnego, który byłby odpowiedzią na Kominform sowiecki?

Obserwatorowi z zewnątrz, jakim jestem i cały czas byłem wobec Komitetu, wydaje się, że pomiędzy tymi dwoma kierunkami zawarty został pewien kompromis: substancja polityczna trwa w oparciu o Komitet. Rolę ramienia zbrojnego w zimnej wojnie przejęło radio, stworzone pod egidą komitetu. Do tego doszła doczepka ośrodka studiów, które rozdała prace zleczone i — jak już wspominałem — niezwykle skrzętnie chowa przed szeroką publicznością rezultaty tych prac. Wydawało się, że powinny powstać tomy. Zamiast tego góra amerykańskiego aparatu administracyjnego i emigrantów-pisarzy prac zleconych rodzi od czasu do czasu mysz w postaci bogato wydanej broszury.

Odkładałam na bok analizę założeń politycznych Komitetu. Powiedziałem już dosyć o tym, jak ta strona zawiodła, jak góra emigracyjna zastygła w inercji. Przechodząc jednak do oceny radia, muszę w pierwszym od razu zdaniu powiedzieć, że ta inercja i na tym gruncie jest przeszkodą niezmierną. Inercja połączona z zaściankowością, z walkami partyjnymi, z personaliami przenoszonymi uporczywie i jakże chętnie na teren zewnętrzny. Szczególnie jeden polski odłam polityczny celuje w tej misternej robocie, zapoczątkowanej jeszcze w Anglii za czasów kiedy toczyła się walka o dusze polskie przychylnie koncepcji churchillowskiej wobec Stalina.

Radio Wolnej Europy powstało w chwili, kiedy jeszcze liczono na możliwość sklecenia czegoś trwałego ze strzępków myśli politycznych emigracji polskiej. Przez okres przygotowań trwały nieustanne rozmowy prowadzone via Amerykanie. Rozmowy te miały doprowadzić do zgody narodowej. Prowadzone były knąbrnie, nieudolnie, pchane siłą przez ludzi nie rozumiejących co to jest różnica zasadniczych poglądów w Europie, co to jest Polak jałtański i Polak anty-jałtański, co to jest podanie lub nie podawanie sobie ręki w stosunkach polskich.

Oczywiście, że nic z tego nie wyszło, bo w takich warunkach wyjść nie mogło. Natomiast zawiodła także inna nadzieja, którą ludzili się ludzie stojący na zewnątrz tych politycznych machinacji. Nadzieją tą było wytworzenie się jakiegoś ośrodka, który by swoją wagą gatunkową tak przytłumił znaczenie pozostałych, że automatycznie uznany by został przez świat zewnętrzny. Ośrodek taki dotychczas nie powstał i są słabe nadzieje na jego powstanie. Ludzie znajdujący się w tej chwili w Ameryce nie wykazują dostatecznie dużego kalibru politycznego i umysłowego, aby taki ośrodek stworzyć.

Jesteśmy więc znowu u punktu wyjścia. Radio Wolnej Europy rodziło się w okresie politycznej nadziei. Dojrzało i stało się faktem w postaci stacji monachijskiej w chwili, kiedy zniecierpliwieni Amerykanie przejęli inicjatywę ideologiczną w swoje ręce zadawając się głosem doradczym Polaków, swoich urzędników. I wytworzył się paradoks. Obok wielkiej radiostacji nadającej kilka godzin dziennie oryginalny program do Polski, widoczna jest luka w postaci braku ciała doradczego złożonego z Polaków. Rada, sugestie, interpretacje obu kierowników sekcji polskich w Monachium i w Nowym Jorku nie mogą zastąpić wachlarza opinii politycznej czysto polskiej, niezwiązanej z administracją samego radia, niezależnej od tego radia służbowo. Za wcześnie jest jeszcze mówić dzisiaj o tym w jakim stopniu uda się stacji monachijskiej wypracować formułę, która da jej możliwość korzystania przynajmniej z namiastki takiego wachlarza. W Nowym Jorku, przy dobrym ustawieniu kierownika polskiego wobec wszystkich ugrupowań politycznych, głosu doradczego ugrupowania te zdecydowanie nie posiadają. Dyrektywa ideologiczna przychodzi z góry amerykańskiej, polityka wypracowywana jest przez Amerykanów i na szczelnie wykonawczym, na szczelnie redaktorsko-pisarskim otrzymywane instrukcje są wykonywane bardzo precyzyjnie.

Raz jeszcze powtarzam, że winię za ten stan rzeczy przede wszystkim koła polskie. Można by tutaj słusznie argumentować, że podejście amerykańskie jest czy było złe, że metoda rekrutacji ludzi była fałszywa, że sposób podejścia do radia jako jeszcze jednej imprezy, której zadaniem jest „to sell the Europeans the American way of life” był fałszywy. Wszystko to zarówno jest słuszne, jak może być przedmiotem dyskusji i rozpraw. Mnie w tej chwili jednak interesuje sprawa polska w Stanach Zjednoczonych i zakładam, że sprawa ta może być tylko i wyłącznie prowadzona i rozpracowywana rękami polskimi. Dlatego poza nawiasem tego artykułu pozostawiam analizę całego warsztatu, któremu na imię Komitet Wolnej Europy, całej atmosfery jaka tam panuje, biurokracji, systemu prac zleconych itp. To w rozdziale o którym piszę w ogóle się nie mieści.

Prawdą jest, że przywódcy poszczególnych ugrupowań polskich mają zagwarantowaną możliwość przemawiania do kraju. Przemówienia te nadawane są skrupulatnie. Każdy mówi

swoje. Każdy broni swojego punktu widzenia i każdy zakłada, że jego partia to większość narodu polskiego. Słuchacz w kraju jeszcze nie jest przygotowany na tego rodzaju agitację przedwyborczą, nawet jeżeli agitacja ta jest stosunkowo łagodna i dobrze zakamufLOWANA. Jego interesuje to co Zachód ma zamiar zrobić po to, aby wyzwolić Polskę z okupacji sowieckiej. Interesuje go także kiedy i czy będzie wojna. Człowiek, który siedzi w więzieniu nie sięga wyobraźnią poza moment wyzwolenia, szczególnie jeżeli jego cela nazywa się celą śmierci. Dopiero kiedy wyrok zostanie zmieniony i przychodzi ulaskawienie, kiedy strażnik oddaje mu wszystkie przybory zabrane przy aresztowaniu i kiedy nagle byłego więźnia oślepią blask słońca, myśli on gdzie iść i co zjeść.

To samo, dokładnie to samo, zastosować można mutatis mutandis do Polaków w kraju. Jestem zdania, że przemówienia polityczne w formie i treści wygłaszanej obecnie nie spełniają żadnego zadania. Pójdę nawet dalej i zaryzykuję stwierdzenie, że ilość słuchaczy Radia Wolnej Europy w momencie takich przemówień zastraszająco maleje. Ludzie po prostu zamykają radia. Otwierają je, kiedy stacja nadaje wiadomości.

Aby szkic tła na jakim pracuje Radio Wolnej Europy wykończyć trzeba dodać, że istnieje szereg jednostek, które są stale konsultowane w sprawach dotyczących polityki radia i Komitetu wobec Polski. Ludzie ci to przeważnie osoby stojące na marginesie walk partyjnych, mające własną wagę gatunkową.

Ale znowu, podobnie jak w wypadku nieskoordynowanych przemówień radiowych polityków, tak samo i w wypadku konsultacji ludzi typu Raczyńskiego czy Romera, brak, stałej linii postępowania. Ich rady to właśnie wątle, małe strumyki, o których mówiłem na początku tego artykułu. Takimi samymi strumyczkami są uroczyste deklaracje do kraju, że Polska będzie chłopska, czy robotnicza, czy też wyłącznie narodowa. Takimi samymi strumyczkami są listy do redakcji, czy artykuły nielicznych Polaków piszących do druku po angielsku.

I tutaj, tak jak wszędzie mści się brak ośrodka planowania. Emigracja zamiast wziąć losy swoje we własne ręce pozwala się prowadzić. Metoda utrzymywania ludzi po to aby uzyskany przez to czas zużywali na wypracowanie koncepcji obecnej walki i przyszłego rozwoju Rzeczypospolitej, zbankrutowała. Metoda ta — powiem więcej — stała się wielkim szkodnikiem. Zmięczyła ludziom kręgosłupy, zapędziła w kozi róg niekończących się dyskusji, zaabsorbowała energię na walki wewnętrzne, pozabawiła ich bodźca do działania. Nie wiem dokładnie jak sprawa przedstawia się wśród emigracji innych narodowości w Ameryce, ale mam podstawy do przypuszczenia, że nie jest wiele lepiej. Wielki prąd emigracyjny, na którego falach powinna płynąć sprawa polska, czeska, bułgarska i inna, wyładowuje się w formie deklaracji filadelfijskiej, czy też dokumentu podpisanego w tym roku w Williamsburgu. Oba te akty są bardzo piękne i szlachetne. Dopiero kiedy się im bliżej przypatrzeć

widać, że są tak samo wytarte jak wszelkie inne hasła, za którymi nie stoją mocne szeregi ludzi gotowych pod sztandarami wybudować twierdze, wewnątrz których idee, wypisane na tych sztandarach, obrócone będą w czyn. To samo mówiliśmy w Paryżu w roku czterdziestym, te same deklaracje składaliśmy w St James' Palace w Londynie podczas wojny. Williamsburg jak i Filadelfia były potrzebne Amerykanom dla ich celów, dla propagandy wewnętrznej roli i zadań Komitetu Wolnej Europy. Inicjatywa była amerykańska, wykonanie amerykańskie i tylko podpisy emigracyjne.

Sprawa polska w Stanach Zjednoczonych wtedy dopiero zaczęła przybierać realne kształty kiedy powstanie dokument z odwrotnym biegiem wypadków. Kiedy inicjatywa będzie polska, wykonanie polskie, a tylko podpisy amerykańskie. Wówczas będziemy w stanie posłać do kraju drogą radiową deklarację polityczną, która w świecie rządzonej przez Anglosasów mieć będzie poważne znaczenie.

Pozostaje do dodania jedynie konkluzja. Pozostają także do wyciągnięcia wnioski na przyszłość. Przeprowadziwszy wszakże dowód, że sprawa polska w Ameryce nie istnieje w wymiarze i wadze gatunkowej potrzebnej dla tego rodzaju zagadnienia, staje oczywiście przed łatwą konkluzją i poważną trudnością wniosków. Konkluzja bowiem narzuca się sama: omija nas główny prąd wypadków. Stoimy na uboczu i albo musimy wielkim wysiłkiem woli wygrzebać się ze szczyptych strumyków działalności, z której może być wiele satysfakcji własnej, ale nie wiele pożytku szerszego, albo już nie zdążymy w ciągu życia naszego pokolenia odegrać roli, do jakiej polska emigracja polska dwudziestego wieku została predestynowana. Dla samego kraju, dla jego przyszłości politycznej, nasza przegrana na szczęście nie oznacza bynajmniej takiej samej przegranej. Tam grają czynniki znacznie bardziej złożone, a stosunek sił niemiecko-rosyjskich po wygranej przez Zachód następnej wojnie, prawdopodobnie zadecyduje o tym jak my terytorialnie, politycznie i gospodarczo będziemy wyglądać jako państwo. Ale nasza wygrana, nasza aktywna obecność na Zachodzie byłaby wielkim atutem dla kraju w rozgrywce, w walce dyplomatycznej jaką przecież na pewno trzeba będzie prowadzić z naszymi przyjaciółmi. Mocne oblicze emigracji i mocny jej charakter zapewne nie zdołałby w dzisiejszej sytuacji europejskiej zrodzić deklaracji wilsonowskiej, ale może potrafiłby w umysłach ludzi, którzy o naszych losach będą decydować, wytworzyć dogmat potrzeby naszego istnienia nie tylko jako państwa niepodległego, nie tylko jako państwa wojskowo dość silnego na to, aby odeprzeć ataki z zewnątrz, ale także jako terenu, który winien być gospodarczo dość samowystarczalny, aby ekonomicznie nie gniotły go bloki rosyjsko-niemieckie. I tutaj dotykamy zaraz sprawy granic zachodnich. Tutaj także dotykamy rynków zbytu dla produkcji amerykańskiej. Innymi słowy zaczynamy mó-

wić językiem, który nie tylko dla nas jest językiem zrozumiałym.

Wnioski na przyszłość? Chyba trzeba by nowej rewolucji podobnej do tej przez jaką przeszły losy emigrancie w Stanach w okresie 1945-1949, żeby wnioski jakie mi przychodzą do głowy miały jakiejkolwiek szanse realizacji. Tak samo jak lat temu cztery potrzebne nam są posiłki z zewnątrz, posiłki ludzi twardych, ludzi zjadale ideowych, a jednocześnie ludzi dość światłych na to, aby móc interes własny, interes polski widzieć z perspektywy europejskiej, z perspektywy amerykańskiej. Nie ma dzisiaj miejsca przy stołach negocjacyjnych na zaściankowłość, na małostkę, na mentalność sklepikarzy dbających tylko o swój własny kramik i uważających każdego konkurenta za śmiertelnego wroga. Jeżeli tacy przy stole obrad się pokazują, zostają pominięci przy następnym spotkaniu. Świat zbyt szybko posuwa się naprzód, zbyt wielkie decyzje i zbyt wielkie przemiany zachodzą, aby mieć czas nawet na słuchanie zaczupurzonych, podgołonych, dymiących czuprynami, głów.

Potrzebna jest także dobra ekipa amerykańska, której powierzone by było zajmowanie się zagadnieniami polskimi. Przez dobrą ekipę, rozumiem w pierwszym rzędzie ekipę wyposażoną w wiedzę o kraju, ludziach, ich mentalności i ich historii. Przez dobrą ekipę rozumiem także ludzi, którzy w rozwiązaniu zagadnienia polskiego widzieć będą nie tylko chwilową grę, nie tylko chęć zabezpieczenia bytu takiemu czy innemu emigrantowi, którzy nie będą traktować swej pracy jako pracy charytatywnej, lub jako zwykłej, dobrze płatnej posady, ale ludzi którzy czuć się będą misjonarzami amerykańskimi w Europie Wschodniej. Ludzi, którzy widząc słabość emigrantów potrafią podsunąć formułki wzmacniające, a nie łatwizny osłabiające. Ludzi, którzy zdołają objąć zagadnienia szerzej, głębiej i poważniej aniżeli to miało miejsce dotychczas.

Emigracja polityczna polska w Ameryce może jeszcze rzucić na szalę wypadków sprawę polską. Ma ta emigracja i sprężystość ukrytą pod pozorami gnuśności i odpowiednich ludzi, rozrzuconych po peryferiach obecnego politycznego życia. Tylko jest już późno, bardzo późno. Minęło przecież siedem lat od chwili cofnięcia uznania rządowi polskiemu. Minęło trzy lata od powstania Komitetu Wolnej Europy. Minęło ponad dwa lata od wybuchu wojny w Korei. A sprawy polskiej w Ameryce jak nie ma tak nie ma.

Zygmunt NAGÓRSKI, jr.

Wansee-1811

W dniu 21 listopada, o czwartej popołudniu, pruski urzędnik wojskowy, Ernst Friedrich Pegilen otrzymał od posłańca, przybyłego do Berlina z miasteczka Wansee, list; rozpieczętował go i przeczytał co następuje:

„Drogi mój przyjacielu! Pańska przyjaźń, której tyle wodów Pan mi złożył, poddana będzie poważnej próbie: znajdujemy się w tej chwili — znany Panu von Kleist i ja — w bezradnym stanie, mianowicie leżymy zastrzeleni na ziemi przy drodze do Poczdamu, niedaleko hotelu Stimminga, i spodziewamy się, że Pan wyświadczy nam przyjacielską usługę i odda ziemi nasz zezwlok doczesny”.

Następnie wyrażona była prośba o natychmiastowy wyjazd do Wansee dla przeprowadzenia pogrzebu, oraz szereg drobnych poleceń. Do listu podpisanego nazwiskiem Adolfiny Vogel, dołączona była lakoniczna karteczka, powtarzająca prośbę o wyjazd do Wansee i podpisana przez Heinricha von Kleista. Pegilen zgubił się całkowicie; w pierwszej jednak chwili nie było to przerażenie. Ton listu wydał mu się żartobliwy i myśli, że jego treść może odpowiadać rzeczywistości, w ogóle nie przychodziła mu do głowy. Adolfinę Vogel i jej rodzinę znał dobrze. Zameżna za jego przyjacielem, podatkowym inspektorem Voglem, zamożnym, niestarym jeszcze człowiekiem, całym sercem zakochanym w żonie i dziesięcioletniej córce, Adolfinie skończyła trzydziesty pierwszy rok, była nie brzydka, słabego zdrowia — mówiono, że jest poważnie chora — ze skłonnością do marzycielstwa i smutku, ale jednocześnie uprzejma, łatwo udzielająca się ludziom, bardzo lubiana przez domowników i przyjaciół; żadnych nazbyt czarnych myśli nikt w niej nie podejrzewał.

Równie dobrze znał Pegilen Kleista, byłego porucznika królewskiej gwardii i znanego pisarza, choć nikt go wówczas nie uważał za wielkiego poetę. Gorliwy, aczkolwiek od niedawna przyjaciel rodziny Voglów, często zaglądał wieczorami; godzinami słuchał śpiewu Adolfiny, mówił o muzyce i poezji. Pegilen znajdo-

wał, że znajomość ta wpłynęła dodatnio na Kleista, człowieka, jak mu się wydawało, nieco niezrównoważonego i ponurego, zaś mąż Adolfiny był niezmiernie rad, widząc żonę w ostatnich tygodniach wesołą i beztroską, jak nigdy jeszcze dotąd. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Pegilen przeczytał list jeszcze raz. Adolfinie prosiła, by koniecznie posłał jej mężowi na Boże Narodzenie blado-zieloną, wyłożoną wewnątrz, porcelanową filiżankę, którą już dawno upatrzyła dla niego w jakimś berlińskim sklepie. Pegilen czytał i nagle pojął, że list nie jest żartem. Udał się Vogla, udzielił mu strasznej wiadomości i razem pojechali do Wansee.

Wówczas jeszcze wielotysięczny tłum mieszczuchów nie zwieźdzał w dni niedzielne tych pod-berlińskich miejscowości, zaś w dzień powszedni i przy tym w zimie było się tam całkowicie samotnym. Między dużym i małym jeziorem przy szosie do Poczdamu znajdował się hotel Stimminga, przeznaczony głównie dla zakochanych par. Konnym powozem jechało się trzy godziny. Pegilen i Vogel dotarli do celu już o zmierzchu. Zmarłych im tego wieczoru nie pokazano, ale właściciel hotelu opowiedział im wszystko, co potrafił.

Para przybyła poprzedniego dnia i zajęła dwa sąsiadujące pokoje. Natychmiast udali się na spacer i wrócili do obiadu w jak najlepszych humorach. Pytali, czy można przepłynąć się łódką na drugi brzeg jeziora, zadawali inne pytania, śmiali się i żartowali. Jak się zdaje, po udaniu się do swych pokoi nie kładli się do snu. Jeden ze służących słyszał ich kroki późno w nocy. O piątej rano kobieta zeszła na dół i prosiła o przyrządzenie kawy. Następnie nowoprzybyli zabrali się do pisania listów. Wczesnym jeszcze rankiem ponownie poszli na spacer, wrócili na śniadanie i wręczyli list prosząc by wysłać go natychmiast do pana Pegilena w Berlinie. Pytali, o której godzinie list zostanie wręczony. Odpowiedziano im, że koło trzeciej lub czwartej popołudniu. Znowu udali się na spacer, ulokowali się na piaszczystym brzegu małego jeziora i zażądali kawy. Służącą odprowadził do hotelu z poleceniem wymycia filiżanki i przyniesienia jej z powrotem. Idąc do hotelu, służąca usłyszała wystrzał, ale pamiętając wesołe twarze i żartobliwy nastrój przybyłych, sądziła, że zabawiają się strzelaniem. Po minucie czy dwóch rozległ się drugi wystrzał; służąca poczuła, że stało się coś złego, przebiegła się, wypuściła tacę z rąk. Przybiegła na brzeg i ujrzała w niewielkim zagłębieniu piasku siedzące naprzeciw siebie dwa trupy. U nóg mężczyzny leżał pistolet; inny, jeszcze naładowany, leżał opodal. Było po wszystkim; śmierć nastąpiła natychmiastowo.

O świcie Vogel i Pegilen udali się na brzeg jeziora. We wgłębieniu, powstałym po wykarczowanym pniu, leżeli zmarli; ich twarze były nad wyraz spokojne, nawet radosne. Pegilenowi wydało się, że w porannej mgle wydają jakieś niezwykle światło. Adolfinie miała ręce złożone na piersi; niewielka różowa plama widniała na jej białej sukni koło serca. Kleist pół-leżał pół-

siedział naprzeciw z przestrzeloną głową. Lufę pistoletu włożył tak głęboko w usta, że twarz nie odniosła żadnego szwanku. Była ona również spokojna, jaśniała na niej taka sama radość. Zgodnie z prośbą Adolfiny, wypowiedzianą w jej liście i w innych listach, znalezionych w hotelu, Pegilen i Vogel postarali się, by tegoż dnia, w tym samym miejscu wykopano mogiłę. O dziesiątej wieczorem, w ciemnościach, pod ulewnym deszczem, pochowano zwłoki Adolfiny Vogel i Kleista. Krzyża na grobie nie postawiono; dopiero po pięćdziesięciu latach ogrodzono go łańcuchami i przywalono marmurową płytą.

W gazetach ukazało się zawiadomienie o śmierci Adolfiny Zofii Henryjety Vogel, z domu Keber, ułożone przez jej męża. Była w nim mowa o tym, że Adolfina umarła szczęśliwa, że towarzyszył jej w śmierci wierny przyjaciel, oraz wyrażona była prośba by powstrzymano się od przesyłania wyrazów współczucia. Pegilen również ułożył notatkę, przeznaczoną dla prasy, ale podówczas nieopublikowaną. Wspominał w niej o wzniosłości ducha zmarłych i o niezapomnianym wrażeniu, jakie na nim wywarły szczęśliwe ich twarze. Przyjaciele smucili się w milczeniu; znajomi plotkowali i osądzali, — te osądy trwają i po dziś dzień. Co prawda, obecnie wiemy nieco więcej, niż wiedzano wówczas; film ostatnich dni zrekonstruowany został we wszystkich szczegółach; wiemy, że Kleist nie był wariatem, że nie miał bezpośrednich powodów do samobójstwa, że prawie na pewno Adolfina nie była jego kochanką. Czy jesteśmy jednak w stanie pojąć, rozwikłać do końca wszystko, co nawikłało się w jego duszy, wszystko, co połączyło ze sobą losy tych dwojga? Możemy tylko jeszcze przedstawić fakty i wyłożyć ich hipotetyczny wewnętrzny związek.

Przez całe życie Kleista pędził los — z miasta do miasta, z kraju do kraju, od narzeczonej do drugiej ukochanej, od przyjaciela do przyjaciela. Również i jego twórczość szła przez ciągłe konwulsje. Nawiedzał go zachwyt, pisał po całych nocach, a potem palił napisane. Uznania nie doczekał się. Najgenialniejszy z genialnych jego dramatów, „Książę Homburg”, nie znalazł wydawcy za życia. Goethe ustosunkował się do niego wrogo. Namiętne pożądanie stawy nie zostało zaspokojone. Rozpacz szła na zmianę nadziei. Nienawiść opanowywała go z taką samą nadmierną, wszystko niszczącą siłą, jak miłość. Wierny przyjaciel wydawał się nagle zdrajcą, a on sam — choć już zaczynał zdawać sobie sprawę ze swego talentu — najostatniejszym z ludzi.

Od dawna już szukał śmierci. Nie jako konsekwencji zmęczenia i rozpacz, ale dlatego, że śmierć zaczęła mu się wyda-

wać jedynie trwałym, niezmiernym celem miłości: opanowała go erotyka śmierci i prawdopodobnie właśnie dlatego szukał współnika do samobójstwa. Niejednokrotnie proponował przyjacielom zastrzelić się razem. Proponował to samo kobietom, które go kochały, proponował żonie swego stryjecznego brata, Marii Kleist, która duchowo była dlań najbliższym człowiekiem na świecie. I oto w Berlinie, gdzie postanowienie dojrzało ostatecznie, poznał Adolfine Vogel i poczuł od razu, że ma przed sobą istotę, jakiej już dawno szukał po omacku, na oślep, wkoło siebie. Po miesiącu czy dwóch po pierwszym spotkaniu poznał ją bliżej, zaczął bywać w domu, zaprzyjaźnił się z mężem, polubił jej śpiew i kiedyś wieczorem, gdy śpiewała piękniej niż zwykle, powiedział: „Es ist zum Erschiessen schoen”.

Adolfina odgadła prawdziwy sens tego, niemal banalnego, powiedzenia. Adolfina była chora (najprawdopodobniej na raka). Jej wiara w zagrobowe życie była tak silna, że śmierć wydawała się jej czymś jak najbardziej pożądanym i bezbolesnym. Zapytała Kleista, czy zgodziłby się ją zabić. Kleist z zachwytem odpowiedział potakująco, dodając, że jednocześnie zabije i siebie. Od tego dnia znaleźli się stanie, równoznacznym dla nich ze szczęściem.

Akceptacja śmierci, wzajemna zgoda na śmierć, gotowość śmierci wspólnej, przyjętej przez przyjaciela dla przyjaciela, wszystko to doprowadziło ich do swego rodzaju miłości — do upicia się nie miłością, lecz śmiercią. Dla niego, dla Henryka, Adolfina zaczęła nazywać się Henryjettą; listy, jakie do siebie pisywali, składały się prawie w całości z typowo dziecięcych nazw i zdrobniałych słów; zakochani nie mogliby prowadzić rozmowy bardziej pieśczośliwie i tkliwie. Wszystko było już postanowione, ale oni nie śpieszyli się: oczekiwanie śmierci dawało tyleż rozkoszy, co i sama śmierć. Nareszcie zdecydowano się wybrać dzień. W wigilię Kleist spalił wszystkie swoje rękopisy, w tej liczbie również rękopis „Książę Homburg”, który doszedł do nas w przypadkowej kopii. Postanowiono wyjechać za miasto i tam wykonać plan, dawno przemyślany i omówiony w najdrobniejszych szczegółach.

Adolfina powiedziała mężowi, że jedzie do Poczdamu. Po przybyciu do Wansee udała się wraz z Kleistem na przedśmiertne rozpoznanie terenu. Kleist zamierzał pierwotnie zastrzelić się na łódce, na środku jeziora, ale Adolfina przekonała go, mówiąc, że zwłoki ich znajdą osobno i wówczas, być może, nie zechcą pochować wspólnie. Kleist zgodził się. Obeszli wokoło jezioro i znaleźli zagłębienie w piasku, zdawało by się, jak gdyby umyślnie przygotowane dla nich. Dzisiaj? Po cóż się śpieszyć! I oto wracają do hotelu, przy obiedzie żartują, idą na górę do swoich pokoi, ale radosne podniecenie nie pozwala im na sen. Piszą listy, żegnają się z krewnymi i przyjaciółmi, a cały czas im się zdaje, jak pisze Kleist w jednym z tych listów, że jak pasażerowie powietrznego balonu unieśli się wysoko ku niebu, ponad wszystkimi ludzkimi troskami i udrękami.

Listy są już wysłane do Berlina, tym samym ustalona godzina śmierci. W chłodny zimowy dzień, schodzą weseli, pod rękę ku jezioru, rzucają kamyki do wody, gonią się po płaskich brzegach. Stara służąca, która przyglądała się im z oddala, mówiła, że nigdy w życiu nie zdarzało się jej widzieć takiej szczęśliwej, wesołej pary. Oto ją zawołali i kazali przynieść kawę na to miejsce wybrzeża, które jest bardziej strome. Radośnie patrząc jedno na drugie, wypili kawę; służąca odeszła; Kleist rozwinął zawiniątko, które *niósł pod pachą, wyjął pistolety; Adolfiną oparła się o skraj wgłębienia; Kleist wybrał miejsce na piersi, przystawił pistolet i bez drżenia wypalił. Prawdopodobnie kobieta nie zdążyła nawet krzyknąć. Różowa plama wystąpiła na białej sukni; usta uśmiechały się, głowa odrzucona była do tyłu, oczy patrzyły ku niebu. Kleist, nie tykając drugiego pistoletu, nabił pierwszy jeszcze raz, usadowił się pewniej naprzeciw Adolfiny i tak samo natchniony, jak wówczas, gdy pisał płomiennie wzburzone, zarazem metaliczne i konwulsyjne, rozpędzone, przeganiające jeden drugiego wiersze swoich dramatów, tak samo natchniony i zimny, wsunął możliwie najgłębiej lufę w usta i, nie odrywając wzroku od zmarłej przyjaciółki, opanowaną ręką spuścił kurek pistoletu.

Władimir WEIDLE

(Przełożył z rosyjskiego Józef Łobodowski)

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedyne pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec

Ukazuje się trzy razy tygodniowo.

W każdą niedzielę dodatek.

Korespondenci: we Francji, Wielkiej Brytanii, Włoszech, Kanadzie, St. Zjednoczonych, Wenezueli, Argentynie, Australii i Nowej Zelandii.

Ogłoszenia: 1 cm. 1 łam. — 4,20 DM (1 dol.).

Za słowo w ogł. drobnych 0,20 DM (5 ct. am.)

Redakcja, administracja, drukarnia:

17a, MANNHEIM-SANDHOFEN, 4094 LSCO Schoenau
US Zone, Germany.

Trzy pokolenia

Książka Melchiora Wańkowicza pt. „Trzy Pokolenia”, której pierwszy rozdział drukujemy poniżej, jest powieścią, obejmującą pół wieku emigracji polskiej do Kanady. Rozgąszczona akcja wyrasta z dziejów czterech ludzi: Gąsiora — fernala małopolskiego, Bombika — ofiary strajku dzieci we Wrześni i Klekota — bojowca 1905, łódzkiego robotnika — wszyscy przybywają w pierwszym dziesiętku bieżącego stulecia do Kanady. W 1929 przyjeżdża eks-legionista, sierżant Pasik, eks-wójt.

Losy tych ludzi z trzech dzielnic, z czterech stanów, z epoki przed niepodległością i z życia Polski Niepodległej, rozkwitają losami ich dzieci i wnuków, wplecionymi w rolnictwo, fabryki, poszukiwania złota, traferstwo i w ciągle korelacje z życiem w Polsce do której akcja raz po raz się przenosi.

Na polach pobojozwisk drugiej wojny spotykają się nieraz już nie mówiący po polsku ich potomkowie z krewiakami z Polski, którzy przeszli różne losy. Połowa książki zostaje poświęcona dziejom tej emigracji polskiej po II wojnie. Ci najpierwsi są budowniczymi kościołów, ci z epoki Pasika budowniczymi stowarzyszeń, ci z obecnej emigracji wnoszą wartości ogólnoludzkie w sawiklanej międzyepoce. Toteż problematyka książki obraca się koło dwu zagadnień — oscylowanie prądów cywilizacyjnych między dwiema półkulami globu oraz doszukiwaniem się pod nadbudówkami patriotycznymi, religijnymi, kulturalnymi prasurowca duszy ludzkiej, najprymitywniejszych instynktów stanowiących fundament życia.

PRAWO CIĘŻKOŚCI

Ojciec Stanisława Gąsiora, prezesa komitetu parafialnego, był w Polsce komornikiem to znaczy nie miał własnej chałupy. Z jakichś tam rozdrobnionych działów zostało mu pół morgi gruntu. Tyle żeby nieco warzyw zasadzić.

Stary Gąsior więc pracował u dziedzica, Mowszy Kimelmana.

Prezes Gąsior nabożnie rozkłada palce, wyliczając wszystko co ojciec jego otrzymywał za rok pracy: więc 48 koron rocznie, czyli 18 centów amerykańskich tygodniowo. Do tego ordynaria: 6 fur drzewa, pastwisko na jedną krowę, ale tylko na lato; dwa korce (czyli 8 buszli) żyta; dwa korce kukurydzy; dwa korce jęczmienia, pół korca grochu, pół korca owsa dla kur.

Mineło więcej jak pół wieku. Ale Gąsior, który potrafił w Kanadzie dojść do tego, że za jedną transakcją sprzedawał sześć tysięcy buszli, wylicza nabożnie z dna pamięci te krwawo ciulane korce.

Z tych 48 koron trzeba było oddać osiemnaście koron rocznie za komorne. Cały więc obrót gotówkowy rodziny wynosił 30 koron czyli sześć dolarów rocznie.

Mięso rodzina jadła tylko raz do roku — na Wielkanoc. Nie stać ich było na trzymanie świni. Trzymali dziesięć kur, ale ani jedno jajko nie szło dla nich. Jajka całkowicie i mleko z nędznej krowiny w trzech czwartych szło na sprzedaż. Matka hodowała konopie, z których robiła płótno i szyla koszule i portki do pracy. I jeszcze na tej swojej pół mordze znajdowała ukryty kąt, gdzie w tajemnicy przed policją hodowała parę krzaczków tytoniu na użytek męża.

Kupienie butów zabiera półroczny zarobek. Ale potem te same cholewy służyły przez całe życie, tylko się dawało nowe przyszwyy. Chleb jadło się oszczędnie. Podstawę jedzenia stanowiły kartofle i kapusta.

Mały Stasio, niedożywiony chłopczyzna z rozdętą brzuszną, potrafił sobie budować w tej biedzie świat marzeń, który zapewne nie był mniej kolorowy, niż świat marzeń kanadyjskich wyrostków o kowbojach i gangsterach.

Tylko ten kto zna ubóstwo życia komorniczego, zrozumie, czym dla tego życia był kościół. W niedzielę przed chłopczyzną otwiera się czarodziejski świat, witraże, figury, feretrony, srebrne dzwoneczki, organy i chór, kadzielnica, bogato wyszowany ornat... rety, czyż więcej kolorowych wrażeń daje torontońskiemu chłopcu Santa Claus jadący ze sztucznymi reniferami na ciężarówce?

Chłopczyzną spotyka czarowny awans społeczny. Wystrojony w komeżkę — służy do mszy świętej. Jest — z tej strony balustrady potrzęsa srebrnymi dzwoneczkami, a kiedy trzepie wykute *Introibo ad altare Dei, ad Deum qui beatificat juventutem meam* — czyż nie jest ważniejszy od najbogatszych gospodarzy, którzy prowadzą księdza podczas procesji pod baldachimem?

Świat, w którym żyje mały Stasio jest odcięty od wszelkiego awansu społecznego. To jest świat, który nawet nie słyszał legend o Rockefellerach sprzedających w młodości zapalki. Ten świat nie jest płynny, a zeszywniały. Może tam, na tamtym świecie, wszyscy są równi, ale tu, ten świat jest z woli Bożej podzielony na wodoszczelne przegrody. Nie przeciągniesz się do panów, kiedyś chłop. I kiedyś u syna Kimelmana syn Gą-

siora będzie otrzymywał 48 koron rocznie, aż póki nie zetleje i nie ustąpi miejsca swemu synowi.

Jedyny prześwit w świat — to kościół. Z dawien dawna było, że kmiotkowie zostawiali książętami kościoła. Dla synów chłopskich seminarium duchowne było jedynym przełazem własnie za balustradę społeczną, w inny, kolorowy, odmienny świat.

Przed małym Stasiem nagle roztacza się ta wizja. Proboszcz upodobał go sobie, chce zająć się jego kształceniem na księdza.

Mieć syna księdzem — to marzenie każdej chłopskiej rodziny. Ale nie komorniczej. To — za daleki splendor w tym niepewnym świecie. W tym świecie trzeba literalnie z dnia na dzień wydierać kęs, by włożyć go do niepobielanego sagana. Wyżyłowanej pracą Gąsiorowej jedyną namacalną nadzieją na stare lata są te czterdzieści osiem koron fornałskich, te korce ordynarii, które po ojcu odziedziczy syn. Kto ją będzie żywił na starość? Człowiek jak ta szkapa — jak się zjeździ, nikt nie zadba o niego; ani dziedzic ani ksiądz ani nikt. Do księdzostwa daleko, do grobu bliżej. A parę groszy Stasio już by mógł zarabiać.

Zagałdał męża. Stary podrapał się w głowę i na drugi dzień poszedł do Kimelmana. Zdjął czapkę, pocałował dziedzica, jak się patrzy, w rękę i poprosił o pracę dla syna.

Stasio idzie na pańskie. Ma już osiemnaście lat, pracuje za dorosłego chłopca, ale jest płacony 40 halerzy tzn. osiem centów amerykańskich dziennie i na swoim wikcie.

Ojciec i syn wstają za ciemna. Matka spuszcza bosc sękatę nogi na polepę izby i biegnie rozjarzyć lampę naftową. Są lampy z okrągłym knotem, ale te spalają więcej nafty. Gąsiorowa nie ma czasu na przyrządzanie śniadania — wychodzą do pracy na czczo. Gąsiorowa bierze butelkę z odbitym dnem, do której wstawiono mniejszą butelkę napelnioną naftą i zatknietą knotem własnej roboty. Z tak przemyślnie zrobioną latarnią idzie doić krowę. Karmi kury. Nosi drzewo. Nosi wodę. Rozpala piec. Warzy strawę.

Ojciec z synem robią na dworskim. Ziemia, sens ich bytu, jest cudza. Jest niema. Nie oddźwięknie, nie odpłaci. Pot, który w nią wsiąka nie zwiększy tych 48 koron rocznie. Grzbiet, który boli, nie wyboli ani jednego kartofla więcej do przepisanych dwu korey, nie ujmie godziny pracy. Z dawna tak ustanowione, że zgina się kark od ciemna do ciemna. Wszystko rośnie z tej ziemi, rozplenia się Bogu na chwałę, ludziom na pożytek, tylko nie im. Ta ziemia ma dla nich rękami Kimelmana dwa korce i dwa korce i dwa korce. Jej urodzaje nie cieszą, jej zasuchy nie smucą.

Pomiędzy ludźmi krąży jakiś list. Przed jakimś czasem ktoś jakiś z trzeciej wsi pojechał do Hameryki. Teraz nadszedł od niego list, że jest w jakiejś Kanadzie, może to taki powiat w tej Hameryce, to nie ważne, ale ważne by było co pisze, gdy-

by nie to, że pewnikiem łże: pastwisk w tej Kanadzie ma być wiele kto zamarzy, a za 10 dolarów dają 112 morgów.

We wsi Gąsiora najbogatszy gospodarz ma jedenaście morgów. A tu za 10 dolarów to znaczy za jednoroczny swój zarobek miałby dziesięćkroć! Stary Gąsior się śmieje — tegi to musi być łgarz. Ale mały Stasio marzy: co by robił, gdyby miał 80 morgów. Ale marzy tak jak się marzy o czapce niewidce, o kiju samobiju, o latającym dywanie. Nie wyobraża sobie świata nie podzielonego między „panów”. Tak już postanowione w porządku świata, że chłop jest dla ziemi, nie ziemia dla chłopca.

Gąsiorowa dopiero na ósmą zdąży wyruszyć ze strawą dla nich. Jeśli to jest lato, mają już za sobą trzy cztery godziny pracy na głodno. Gąsiorowa musi naprzód iść do dworu dowiadywać się, na którym polu pracuje. Potem niesie te dwójki w słotę i w spiekę. Dwójki gliniane przemysłnie lecz beznadziejnie owija szmatami. Bogać tam — zimną strawę donosi.

Stary Gąsior zasiada z synem w rowie. Dzisiaj kobieta dołączyła duży kawał chleba. Gąsior nożem robi znak krzyża na bochenku, całuje go i tnie ruchem sakralnym. Resztę chleba zostawiają na obiad. Czasem Gąsiorowa przyniesie białego sera, ale nie zawsze, bo mleko sprzedają. Wieczorem, gdy wrócą, będą mieli kapuśniak bez okrasy, albo barszcz z kartoflami w łupinach. Albo bliny z kartofli. We święto — kluski na mleku.

Ale kiedy się ma osiemnaście lat, to dusza ludzka potrzebuje marzenia jak ptak wody. Cóż ma z tych 40 halerzy? Ojciec mu zabiera zarobek z pięciu dni, zostawia mu tylko czterdzieści halerzy na tydzień. Dwanaście najtańszych papierosów kosztuje 14 halerzy. Silny więc pełnowartościowy robotnik pracuje za pięć kiepskich papierosów dziennie.

Gdzież wzleci z tego poziomu marzenie, kiedy matka zakazała iść na księdza?

Kiedy nie można służyć Bogu, to jeszcze jako druga i już ostatnia droga awansu społecznego — zostaje służba cesarzowi.

Widomy symbol tej służby — to wioskowy żandarm. Noś jakże wspaniały czarny melonik filcowy z kogucimi piórami. Ma mundur zielony, buty jak się patrzy i „gwerę” przez plecy. Idzie sobie przez wieś i tylko pogląda. Jeśli kto zapala na ulicy papierosa, zapisuje go do sztrafu: władza boi się pożarów. Jeśli wyjmie kto z kapciucha tytoń własnej plantacji grubo krajany — zapisuje sztraf: władza broni zazdrośnie dochodu z wyrobów tytoniowych. Zobaczy świnię bez kołczyka w uchu — zapisuje sztraf: władza pilnuje kontroli uboju.

Wszyscy się boją pana żandarma, kłaniają się mu, częstują.

Stasio wysługuje się żandarmom, jak przedtem księdzu. — Czyści im buty, lata na posyłki, natłuszcza rzemienie. Przy tych sakralnych funkcjach wpada w upojenie. Na ścianie wisi w białym mundurze sam cysarz Franc Josef z bokobrodami, dwie

gwiazdki na naramiennikach pana kaprała migoczą jak najprześwietniejsza konstelacja.

Pan kapral docenia ten wniebowzięty zachwyt. Tak ma być — bo przecie co władza to władza. „Ty jesteś frechowny Kerl — mówi — z ciebie zaś ale byłby rychtyczny żandarm”.

I pewnego razu zaszedł do Gąsiorów. Gąsior jest wprawdzie biedak, niczego się na cysarskiej służbie nie dorobił prócz zegarka niklowego za dobre strzelanie. Zegarek jest wielki jak cebula z dwugłowym austriackim orłem. Wisi przy nim brelok z medalem Franc Josefa. Cesarz w białych bokobrodach ma pensjonarskie wypieki i tkwi w napisie „Gott erhalte” („Boże zachowaj cesarza”).

Żandarm i stary Gąsior całkiem zgadzają się co do tej misji, którą przepisy służbowe powierzyły Bogu na ziemi.

— Nie myślcie, że z waszego syna nie może być żandarm — łaskawie poucza — przeca skądys żandarmy muszą się brać i tyż są ludzie, no nie? A jak się dostanie na żandarma, to chyba lepsze będzie miał życie jak u Kimelmana? Patrzcie na mnie: dwie korony mam dziennie, a jak na patrolowaniu jestem to trzy, a jak służbę do drugiej wsi, to cztery. I jestem cysarski...

Gąsiorowa wkładała właśnie chleb do pieca na długiej drewnianej łopacie. Pośpiesznie piec założyła blachą. Czarne ręce schowała pod fartuch na znak uszanowania:

— Boję się, panie Finanz, chodźć po proszonem na starość.

Pan żandarm zwycięsko podkręcił nasmarowanego pomadą węgierską wąsa, który co dzień rano ujeżdżał w „Kaiserbindzie”. Spojrzał porozumiewawczo na starego Gąsiora, co oznaczało, że głupia baba nie rozumie tego, co rozumieją oni, cysarstwo.

— Będą przeca jemu z lonu abhaltować i wam wypłacać.

Wydobył z torby żandarmskiej formularz i wywiódł aplikację jako że Stanisław Rudolf Gąsior uprasza prześwietną cesarsko - królewską komendę żandarmerii o przyjęcie go do służby.

Nie minęło głupich kilkanaście tygodni, kiedy do chałupy wkroczył pan kapral ponownie. Nie zdejmując melonika z kogucimi piórami nastawił szpikulce naszuwaksowanych wąsów w sposób najbardziej urzędowy i kazał młodemu Gąsiorowi podpisać otrzymane wezwanie. Dopieroż nacieszywszy się przestraszeniem Gąsiorowej zdjął koguci ogon z głowy i oświadczył, że *Kaiser-Koenigliche Polizei Kommando* wzywa tegoż wyżej wzmiankowanego Gąsiora w przedmiocie jego podania od takiej to a takiej daty na komisję lekarską w Czortkowie.

— Przeca jakoby w *Leber* miał defekt wasz syn — uspokajał Gąsiora, albo *Hers* mu nie gilotował, to by nie mogli go przyjmować.

Stasio raz tylko poza rodzinną wsią był na odpuszcie o dwie polskie mile. Toteż pan wachmistrz obiecał wsadzić go do wagonu osobiście jako że papiery na przejazd przysłali, a tam „na

foksalu w Czortkowie to już ciebie weźmie na policję patrola". Gąsiorowa utkwiała wzrok bolesciwy w obraz święty. Na obrazie był wyobrażony Bóg na tronie sprawujący sądy i tuż pod jego nogami diabelska patrola zgarniała widłami osądzonych, którzy lecieli brunatnym ciurkiem w ogień piekielny.

Jechał zamknięty w pudle wagonu, a za oknami migała ziemia. Dotąd on po tej ziemi się włókł jak żuk za swoją owadzią sprawą, przekopywał ją, zrychał jak glizda. Teraz ta ziemia leci przed nim oszalałym korowodem poletek pociętych w paski. Czasem zdawało mu się, że jest w głębokim śnie, że oderwał się od ziemi i leci. Teraz sen stawał się rzeczywistością. Prawo ciężkości, składowa najistotniejsza część jego bytu, zostało zaatakowane.

Newton, kiedy mu na głowę spadło dojrzałe bezwładne jabłko, wydedukował, że „każde ciało zachowuje właściwy mu stan spoczynku lub ruchu, dopóki nań nie podziałają siły stan ten zmieniające”.

„Właściwy stan spoczynku lub ruchu” reprezentowała matka i Kimelman. Żandarm wkroczył jako „siła stan ten zmieniająca”. Jakież siły „podziałają” nań nadal w tym świecie, który nagle oszalał i biegnie przed nim w galopadzie?

Na razie konsekwentnie działały panażandarmowe siły „stan ten zmieniające”. Podeszły do niego rytycznie w takichże kogucich ogonach ze szpikulcami na gwerach i poprowadziły na policję. Przede wszystkim wepchnęły go do łaźni. Przez mózg przeszło niejasne wspomnienie cukrowni, do której odwoził dziedzicowe buraki. Cukrownia drżała i dygotała ogromną sprawą przetwarzania, ale przede wszystkim buraki zwalano do mycia. Ileż brudnej melasy wycisną z nich potworne tłoki, nim po iluś tam przeczyszczeniach — zabłyśnie cukier.

Tłoki czekały już w postaci siedmiu panów cywilnych i w mundurach, siedzących za stołem pokrytym zielonym sukniem. Wepchnięty nago znienacka przed ich oblicze, wstydził się okropnie, starając się ręką zakryć „przyrodzenie”. Był przez życie i z pokoleń uczony, że juści zapewne coś jest warta jego dusza nieśmiertelna, ale co do ciała wyrażano obrzydzenie, wyceniające to ciało najwyżej na dziewięć dolarów i sześćdziesiąt centów rocznej usługi. Teraz miał oto owo, pogardzane, deprecjonowane ciało pokazać świetnemu gremium siedmiu dziedziców.

Po pukaniach, zagładaniach tam gdzie nie trzeba i oglądaniach, od których płonął, zrozumiał to jedno, że jest *gueltig* tzn. buraka ludzkiego nie zbrakowało, tylko pchnięto na taśmę zmian.

Początek tej taśmy objawił się natychmiast w postaci stołu, za który go pchnięto i „kumiśnego” gulaszu, którym go uczęstowano. Wszedł gruby zupak, ten ci miał aż trzy gwiazdki (więcej niż pan kapral) i wygłosił do pochłaniających gulasz

krótkie, a jędrne przemówienie, że to u matuli tylko na Wielkanoc zdarzało się im próbować mięsa, a tu zaś będą mieli na cysarskim mięso na co dzień, byle pamiętali co zaś są i z czyjej ręki żyją.

Uwieszony pod sufitem cysorz płonął panieńskim rumieńcem w siwych bokobrodach i wydawał się nie starym panem, tylko aniołem-stróżem pofruującym nad tym gulaszem.

Tak jak go przywieźli, tak go odstawili z powrotem. Ze stacji w Husiatynie miał do domu siedem kilometrów. Było przedwieczorną porą. Pola, biegnące wzdłuż zielonej skrzyni wagonu nagle zakrzepły w martwym połyskliwym werniksie; posuwał się wzdłuż nich, jak dawniej i one usiłowały, jak dawniej, pachnąć mu podorywką i rozrzuconym gnojem. Ale nozdrza jego nie chwyciły zapachu. Gwiazdy pierwsze wylazły na niebo, ale mrugały nie jak dawniej, całym nieogarniętym firmamentem Bożym, tylko po trzy, po trzy, jakby się trójkami urwały z naramienników pana Fuehrera, jakoby całe niebo zasnucone zostało tymi naramiennikami. Gwiazda, z którą chadzał po kołędzie, gdyby tak ponownie wejść na niebo chciała i prowadzić do stajenki, zajeżdżały w tym mrowiu cysorskich gwiazdeczek.

Minęły trzy miesiące. Pewnego razu pan kapral stanął w progu staszkowej chałupy z miną niezwykle uroczystą. Dzierżył w ręku papier, wzywający Stanisława Rudolfa Gąsiora do szkoły żandarmskiej.

Papier ten staremu Gąsiorowi zapachniał kaserną i kumiśnym cysarskim chlebem, ale Staszce wydał się czardziejskim dywanem: siadaj tylko i szybuj i znowu ci ziemia zawiruje pod stopami, znowu nie będziesz się czołgał po niej jak żuk.

Za to Gąsiorowej wydał się papier skrytem szatańskim. Widziała na odpuszcie obraz, który długo się przymierzała czy by nie kupić i nie powiesić w chałupie ku zbudowaniu małego Staszka. Diabeł na tym obrazie ubrany w zielony fraczek (podobny nawet do panakapralowego mundur), wyciągał ku grzesznikowi niegdyś podpisany cyrograf. Podniosła fartuch do oczu i podjęła *recitativo* jęklących skarg najwyższym falcestem.

— Najświętsza Panienska nie da ukrzywdzić dziecka — podnosiła zrozpaczoną twarz do Matki Boskiej Ludźmierskiej, wiszącej na ścianie. Matka Boska Ludźmierska wprawdzie nie powinna sobie zaprztać głowy jakimś Stasiem spod Husiatyna, bo jej panowanie było pod Karpatami. Ale trafiła do chałupy Gąsiorów w spuściznie po babce, była niejako przyadoptowana. U nóg jej dodano węża, którego miażdżyła swą stopą, a naokoło obrazu ktoś kiedyś powiesił ku zbudowaniu serc i uciecze rojów much — girlandę papierowych róż.

Franc Josef, wiszący bok o bok z Matką Boską zgodnie przez lata, nagle stał się patronem diabelskiego cyrografu i przeciwnikiem Matki Boskiej Ludźmierskiej w jej walce o matczyną i o kimelmanową sprawę. Jego widomy zastępca, kapral, splunął zatem z dysgustem na podłogę, otarł szpikulce wierzchem dłoni, zasiadł przy stole, wydobyl z torby mapę i powiedział demonstracyjnie do starego Gąsiora:

— Słuchajcie Józefie, sługowaliście przy dragonach, to rozumiecie, że teraz syna dajecie na ochotnika w służbę Najjaśniejszego Cysorza. Abyście zaś wiedzieli, co służba ta znaczy, popatrzcie no tu. To jest Bośnia. Najjaśniejszy Pan przepędził z niej Turków i posłał ekscellencję Kallaya. Ale tamci ludzie są bardzo *preck*, mahometany kłócą się z Serbami, Serby z Kroatami. Cysorz potrzebuje żeby tam przyszli *echte schwarze gelb*, nasze Austriaki i takim co byli w wojsku, a jeszcze syna będą mieli w żandarmach da ziemię. Da ziemię darmo i na wieki.

Ziemia!...

Stary Gąsior, jak zwykle w uroczystych momentach, kiedy miał do czynienia z władzą, wydobyl swój zegarek z austriackim orłem i począł nakręcać kluczykiem, który wisiał przy breloku. Gąsiorowa zrozumiała z tego, że decyzja jest nieodwołalna. Siorbając nosem przysiadła zydeł i nadrapała we wskazanym miejscu jako niepiśmienna krzyżyk zamiast podpisu — zgodę rodzicielską na to, że niepełnoletni syn idzie do policji.

Od tego czasu wszystkie rozmowy w komorniczej chałupie obracają się dookoła ziemi. Ziemia ta ma być nie tylko darmo, ale bez podatków na długie lata. I ekscellencja Kallay daje ziarno na siew, pożyczki bezprocentowe na inwentarz. Bośnia jaśnieje w marzeniach jak kraj mlekiem i miodem płynący. Już wiedzą, jak wybudują chałupę, już się ugodzili niemal gdzie jakie poletko pociągną.

Prawo ciążenia, prawo bezwładu podważone zostało i u starych Gąsiorów wstającym z dna duszy, zatraconym instynktem człowieka — zdobywcy.

Następuje wstrząs — w szkole żandarmerii trzeba płacić dwanaście koron miesięcznie tzn. tyle ile gotówką stary Gąsior otrzymuje na kwartał.

Dopieroż wdaniem się miejscowego posterunku władze uwzględnią, że adept będzie praktykował w swojej wsi. Ze zdwojoną gorliwością pucuje moderunek żandarmski i w przerwach pomaga robić zestawienia. Otrzymałszy należną atestację, po trzech miesiącach uzyskuje prawo noszenia munduru. Czuje się w nim jak wówczas, kiedy włożył komżę ministranta. Wprawdzie nie wolno mu jeszcze na czapkę włożyć bączka żandarmskiego, ale bliżej mu już do bączka, niżby było do księżej tonsury: ma jechać na trzymiesięczną praktykę do Bośni.

O pacyfikacji Bośni nie wiele wie uboga wieś galicyjska. Natomiast wiadomo, że jest to kraina, w której leży obiecana...

ziemia. Ojciec chodzi ze synem po polach, pokazuje próbki gruntu. Zdalo by się, aby łąka nie była podmokła, jak u Wilkosza... Żeby zaś nie wrzępiły takiego piachu, jak u starej Agnieszki... Jeśli woda będzie, to brać, na hodowanie gęsi zdadne, wierzba przyda się na łyko; byle tylko wody za grunt nie policzyli.

Gdyby ktoś powiedział Gąsiorom, że istnieją mapy, podręczniki, encyklopedie, że na dobrym świecie wszystko jest już wymierzone, wyważone, przeliczone, że gentleman siedzący w Londynie daje telegraficzne dyspozycje gentlemanowi w Toronto, co ma kupić dla niego — nie wierzyłby. Ta jakaś Bośnia wisiała na niebie marzeń za mgłami, ale w blasku.

Nagle nieznane ciało niebieskie odwróciło się ciemną tarcią. Od jakiegoś chłopaka, będącego przy wojsku w Bośni przyszedł list, że nie ma chwili spokoju, że śmierć czyha zza każdego węgla. Jakby przeczuwając, że to w tym kraju strzałami w Sarajewie pocznie się za lat czternaście pierwsza wojna światowa, że to z tego kraju setki tysięcy głodnych i obdartych ze wszystkiego ludzi będzie pędzonych w niewiadome, zaścielać trupami drogę, nieszczęsny szwarz-gelb wojak pisał, że „jeśli byście tu mieli jechać, to od razu skoczcie do Zbrucza z kamieniem u szyi”.

Dopieroż Gąsiorowa wszczęła lament.

— Mamo — mówi Staszek — już przyszło wezwanie. Złapią mnie jako dezertera, zgnoją w więzieniu...

Stary Gąsior począł kręcić kluczykiem w zegarku, ale tym razem nie wywiercił z dwugłowego orla żadnego natchnienia. Ptaszysko zdawało się ostrzyć dzioby obu swych głów, aby szarpać smakowitego gąsiora. Różowy na gębie cysorz królował po dawnemu z Matką Boską na ścianie i udawał, że o niczym nie wie. Matka Boska patrzyła surowym obliczem, jakby mówiła: „od sutannyś uciekł, od Kimelmana chciałeś uciec, teraz byś i od munduru uciekał?” Wszystko się zamglało, jedni tylko grzesznicy walący się brunatnym ciurkiem do piekła zdawali się realni.

Ale była już w gąsiorowej izbie narosła inna siła — przewycięzania bezwładu. Było już zaszczerpione ziarno szaleństwa, które dławione, wyrasta rebelią Szeli, puszczone pędem, wystrzela we światy wiarą i żarliwością „Mayflower”, krytym wozem pionierów jadących na wschód.

— Ojciec — przełknął ślinę Staszek — muszę zaraz uciekać, bo mnie złapią. Byłście dali sześćdziesiąt koron — dojadę do morza. Będę czekał u morza: sprzedacie krowę, dojedziecie z matką.

Zegarek z dwugłowym orłem już nic nie znaczy; morgi Kimelmana nie nie mówią; Matka Boska Ludźmierska wisi martwo na ścianie. Gąsior czuje się zgubiony.

— A do jakiego morza, synu? — pyta bezradnie.

Staszek sam nie wie nic, poza tym, że kto się za morze schowa, to się i schował. Morze? Gdzież jest ono? Czy na wschód, czy na zachód słońca? Czy przez jedno czy przez siedem panowań, przez które zawsze każą iść w bajce za szczęściem? Myśl jego gorączkowo pracuje usiłując pełzną jak mucha po zamglonej szybie, za którą majaczą nieznane światy. Czuje, że jeśli spadnie, to już na amen. Musi przemóc ojca, którego mądrość kończy się na granicy ostatniej dziedzicowej miedzy. Musi zmobilizować przeciw wiedzy i wiekowi i powadze i doświadczeniom ojca, które już nie nastarczą — wiarę, wizję młodości, prężność dziewiętnastu lat.

Kurczy się pod tym zapytaniem ojcowskim, skupia wolę i wówczas przylatuje skrzydlate, kiedyś zasłyszane słowo — nazwa tego amerykańskiego powiatu: „Kanada!...”

— Pojedziemy do Kanady i za dziesięć talary kupimy sobie gospodarkę, że ino...

Gąsiorowa popłakuje siedząc na skrzyni. Już nie ma sił protestować. Jest na tej skrzyni jak wędznica roślina, którą straszliwym zabiegiem wyszarpano z ziemi, rozrywając cienkie pierze, daleko biegnące w głąb gleby korzonki.

Już nie ma rady. Palec losu przypisał Gąsiorów do szaleńców Bożych. Jeśli nie wyjadą — zmarnieją.

Jakże się wymknąć niespostrzeżenie z codziennej służby? Stasio bierze urlop trzydniowy rzekomo na ślub do sąsiedniej wsi.

Poszedł istotnie do tej wsi, ale nie na wesele. Stał z boku drogi, kiedy go mijal barwny korowód we wstęgach, z muzyką, z pohukiwaniem. Trzymał w ręku tłumoczek, do którego matka włożyła zapasową koszulę utkana z własnego lnu, potężny bochen chleba i stwardniałą gomółkę sera. Trzeba było zyskać na czasie. Szedł na przelaj polami, a za nim gonili okrzykami jego kraj, którego już nie miał zobaczyć.

Przeszedłszy nielegalnie granicę, jako że mężczyznom w wieku poborowym nie wydawano zagranicznych paszportów, znalazł się jak drobinka wirująca w systemie międzyplanetarnym. Nie miał pieniędzy i nie znał języka. Ale już rychło poczęła nań oddziaływać potężna grawitacja ciała zaoceanicznego — Kanady. Już zaraz za granicą natknął się na bezbronno ogłupionego zastraszonego chłopca ukraińskiego, który, będąc katowany przez kaprała, oddał mu uderzenie i zdezerterował. Chłopak, szukając oparcia, chętnie dopłacił Stasiowi co mu brakło do biletu do portu. Już dwie drobinki niesło do morza. W porcie wirowały ich wielkie ilości. Stasio nie miał na przejazd, agent dał mu podzienną pracę nim nie doczeka rodziców. Coś go tu już brało na skrzydła. To „coś” to było 40 milionów niezasiedlonych akrów, należących w Kanadzie do kolei.

W dalekim Husiatynie nie czuć było tego prądu i należało wyrwać korzonki z ziemi bez niczyjej pomocy. Jeszcze lódź życiowa była przycumowana na mocnym sznurze — na tej pół mordzie i krowie. I pół morgi i krowa poszły w cudze ręce — z mocnym targiem, z przybijaniem ręką, z przypiciem i z obyczajowymi życzeniami — ale z tej całej pompy w kieszeni starego Gąsiora znalazło się 240 koron. Teraz, gdy ziemia i krowa znikły, było jakby kto cięciem topora przeciął linę. Poderwał ich pod siebie prąd. Gąsiorowa, stojąc nad tobołami na peronie dworca Husiatyńskiego, zalał się na duchu. Nigdy w życiu nie jechała koleją i obawiała się, że wagon się przewróci. Skierowana do ubikacji w wagonie, cofnęła się gwałtownie, ujrawszy czyjąś postać; dopiero musiano tłumaczyć, że to jej własne oblicze w lustrze. Niosło ją gdzieś w świat nie mówiący katolickim językiem i zobaczenie Stasia w tej apokaliptycznej zawierusze nie mogło jej się zmieścić w głowie. Kiedy nagle zobaczyła go stojącego na peronie w koszuli turkusowej, którą mu podarował agent i... w krawatce, przedarła się przez tę krawatkę i rzuciła mu się ze szlochaniem na szyję. Monitował ją, żeby tego zaniechała, bo tu nie wieś. To tylko na wsi pastuch za całoroczne pasienie otrzymywał dwie koszule.

W domu noclegowym długo rozpatrywała turkusową koszulę. Koszula przetarta na kołnierzu i podarowana przez panią agentową za wyszorowanie schodów, koszula, która miała zamienić już na zawsze wyroby z husiatyńskich konopi, była jakby inwestyturą, płaszczem lennym narzuconym przez możnego feudała na ramiona wasała.

Lenno jednak ze spieniężonego gruntu i krowy było za małe, by przedostać się przez wielką wodę. Tedy agent dał zniżkę. Tedy agent dał podpracować. Husiatyn nie potrzebował Gąsiorów, miał ich za wielu. W „powiecie Kanadzkim” widocznie trzeba było robotnika. Właśnie przed rokiem „North Atlantic Trading Co” zaczęło od linii kolejowej pobierać po funcie od głowy zwerbowanego emigranta.

Tkwili w tym pudle okrętowym oskorupieni złożami nieufności. Wiózł ich kto chciał, sprzedać ich mógł gdzie chciał, zawieźć, gdzie mu się podoba.

Gąsiorom nigdy ten możliwy świat nie świadczył za darmo. Przywykli, że za dobrocią idzie cygaństwo. Dobroć wydawała im się jak ta kielbasa, którą wyciąga hycel — życie, aby psa upiąć i obdrzeć ze skóry. I u nich z głębi krtani gotów był wyrwać się wark nieufności.

Ten nowy świat witał ich na okręcie... białym chlebem, to znaczy czymś, co się jadło tylko na weselach, na chrzcinach, na pogrzebach i na Wielkanoc. Brali nieufnie trójkątne płatki chleba, który przypominał watę. Czy taki chleb bywa w bochenku? W bochenku, który się całuje i przeprasza, jeśli wypadkiem upadnie na ziemię, o który się prosi Boga „chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj”, który się żegna nożem

na krzyż, zanim go się rozetnie, który się łamie ruchem sakralnym i daje ze słowami przedwiecznymi Tego, który go łamiąc mówił: „Jedźcie a pożywajcie — oto jest ciało moje”.

Ten nowy świat przynęcał ich „pajem”. A przecież, kiedy Stasio był mały, pułk c-k ulanów, któremu wypadły ćwiczenia w ich gminie, urządził dla dzieci wiejskich przyjęcie w dniu święta pułkowego. Wniesiono góry różowych ciastek ładowanych kremem, ale żadne z dzieci czegoś takiego wyglądającego nie pewnie nie odważyło się włożyć do ust.

Ten nowy świat kładł sztucze przy jedzeniu. Gąsiorowa, monitowana przez syna, że ma używać widelca, sumitowała się, że język sobie pokłuje.

Za to nie było ani sagana kapusty, ani garu kartofli. Pierwsza rozchorowała się Gąsiorowa. Nie mając pojęcia, że istnieje choroba morska, pewna była, że to z tego „tchlego jedzenia”.

Kiedy lekarz okrętowy obchodził okręt, narobiła krzyku, uciepila się koi, jakby ją już mieli odrywać i wlec do szpitala, gdzie „kroją ludzi”.

Twardy do ciebie jechał, Kanado, materiał ludzki, oskorupiony ciemnotą, jak oskorupione jest ziarno tające potęgę wzrostu.

Podjeżdżali ku brzegom Kanady. Jechali płytkimi wodami, rajem dla ławic śledzi i dorszy, dla łososia, makreli i halibuta.

Jechali przez skręt trzech prądów straszliwych: mroźnych — Labradorzkiego i Grenlandzkiego, przynoszących aż tu góry lodowe, niosących masy ryb; i wbijającego się między nie ciepłego Golfstromu niosącego plankton rybnym z zimnych prądów, zbijającego je w ławice, błogosławiącego polom i ogrodom, farmom i pasom owocowym jabłek, brzoskwiń, moreli i winogron, plantacjom tytoniu.

Ale nie widzieli tego, spoczywając na dnie luku jak ziarno siewne przeznaczone do siewu nowych przeznaczeń tego kraju.

Kiedy okręt wjechał na rzekę Św. Wawrzyńca, ten potężny 750-milowy śródlądowy trakt wodny, przestało kołysać i Staszek wyciągnął starych na pokład. Cichy czas nie widzieli morza ani jego przestworu. Teraz spoglądali na daleko biegnący ląd. Może ich tam wożono w kółko, żeby więcej zedrzeć za przewóz do Kanadyjskiego powiatu?

Okręt zwolna podchodził do nadbrzeża w Quebec. Nie tak to dawno, przed pół wiekiem, na spragnione pola Luizjany wlewał się czarny pognój siły roboczej, pompowany przez *Middle West Passage*. Ale wówczas jeszcze cicho było w Kanadzie i po bezkresnych preriiach Assinoboia i Manitoby przesuwali się tabuny bawołów. Teraz, odkąd kolej w 1885 przecięła stopy i połączyła dwa oceany — prerie, spragnione rąk roboczych, czekały na żywe ładunki w portach atlantyckich.

Ładunek ludzki, który na rozpoczynające się stulecie, był to bowiem rok 1900, wwoził okręt przybijający do Quebec — był jedną z czołowych fal wielkiego przypiływu.

Pokład roił się ludźmi w długich płóciennych spodniach spiętych w kostce, lnianych koszulach wyrzuconych na portki, przepasanych kolorową krawką, w kożuszkach bez rękawów, włosiem na wierzch, bez względu na skwar (bo był to ostatni dzień maja), w szerokich kapeluszach ze słomy żytniej, plecionych własnym przemysłem w domu.

O twarz ich uderzył wiatr Quebec, tego samego Quebec, który światowa wyrocznia geografów, prof. Emm. de Martone w swoim trzutomowym dziele opatruje nadrukiem „climat polonais”.

Gąsior stał w tłumie wyniosły, czarniawy, wyżyłowany pracą, trzymając w ręku kosę, której ostrze przywiązał do drzewca. Obok jego białej postaci niska przysadzista Gąsiorowa w najwspanialszej swojej toalecie — koszuli z cieniutkiego płótna, której bufiaste rękawy pokryte były grubym na pół cała pancerzem haftu i z sierpem w dłoni. Stasio oganiał tłumoki, wśród których znajdował się worek z ziarnem siewnym.

Wszystko było przygotowane, jak widać, na nowe życie w kanadyjskim powiecie z wyjątkiem potrzebnych dziesięciu „talarów” na zakup ogromnych włosów.

Wymienili pieniądze, dostali papierek i nieco wielkich jak koła dawnych miedzaków kanadyjskich.

— Synu co znaczy ten zielony papierek?

Okazuje się — pięć dolarów.

A tu nie tylko na zakup ziemi trzeba. Tłum zachwiał się jak trzcina: okazuje się, że tylko tych wypuszczają na ląd, którzy będą mogli wykazać się posiadaniem dwudziestu pięciu dolarów na rodzinę.

Przez barierę ktoś woła po polsku:

— Skądęście?

— Z Husiatyńskiego powiatu. Ale nas nie wypuszczają bez pieniędzy.

Rodak przez barierę podaje brakujące dwadzieścia dolarów na pokaz. Człowiek w baranym kożuchu wkracza na Ziemię Wolności, łamiąc na przywitanie pierwsze prawo, które go spotkało. Będzie łamał bez skrępu wszystkie nieliczne prawa, które mu drogę zabiegają: osiedleńcze, budowlane, prohibicyjne, podatkowe. Człowiek w baranym kożuchu pochodzi ze świata, gdzie prawem był przymus. W dalekiej prerii, w której osiadł nie ma policjantów z kogucimi piórami na melonikach, którzy będą pisać sztrafy. I nie ma luizjańskich nadzorców z batami. Człowiek w owczej skórze pójdzie budować ten kraj według swego rozumienia. Widać przyniósł w sobie jakieś prawa, nie znane ani żandarmom, ani nadzorcom, ani panom w spodniach pepita, w wysokich kolnierzykach z czarnymi fontaziami, piszącym w Ottawie okólniki.

Kiedy zielony papierek okazał się tylko pięciu dolarami i rodzina Gąsiorów zrozumiała, że ma się pożegnać z nadzieją na własną ziemię, zesunęło się w nich wszystko w odrętwienie. Człowiek z komorniczej izby, wyprążony pracą, deszczami, upałami, prywacją, ulegający asenterunkom wojskowym, podatkowym zarządzeniom i innym niezrozumiałym kataklizmom przyrody, ma odziedziczoną po wiekach zdolność popadania w drętwę. To co u wyżej sformowanych stworów ludzkich wyraża się jako rozpacz, bunt, histeria, apatia, melancholia, poczucie beznadziei — okokonia się w nim w drętwę. Jest to ludzka drętwota, bo tai dynamit życia. Jest jak ziarno pszeniczne z faraonowego grobowca, które, kiedy mu dano warunki, wykiełkowało po sześciu tysiącach lat.

Więc — najprymitywniejsza troska — przetrwać. Zgromadzić żywność — troska wszystkich organizmów zapadających w długi sen. Ma się, podobno, jechać trzy dni koleją, a dalej?... I zielony papierek rozplywa się, a do tobołów przybywa jeszcze jeden toboł — z chlebem i słoniną.

Matka i ojciec i syn, w swoich szarych ubraniach na szarych tobołach, które przysiedli w wagonie, są jak poczwarki, z których nie wiadomo co wypączkuje dla tego kraju. Sennym nierozumiejącym okiem widzą feerię obrazów biegnącą za oknami. Raz to są farmy, to znowu lasy, to znowu nocą budzą się z półdrzemki na stacyjkach nad połyskliwą wodą.

Wreszcie ostatni dzień wynurzył im między Port Arthur a Kenora kraj dziki, postrzępiony skalami. W ich położeniu obecnym jedynym poratunkiem i ucieczką mógł być dziedzic. Ale na próżno ich wzrok obmacywał każdy głaz, biegł za każdym lasek nikłej olchy, osprzątał brzegi jezior — nigdzie, nigdzie śladu ludzkiego osiedla.

Przecież ta prowincja, Manitoba, była ustanowiona zaledwo przed 30 laty, kiedy liczyła zaledwo półtora tysiąca białych ludzi i 10.500 metysów. Wprawdzie przez te lat trzydzieści za przeciągniętą koleją chlusnęło ćwierć miliona ludzi ale cóż to było wobec obszaru prowincji, który był niemal zupełnie równy obszarowi Polski, która miała powstać po wojnie. Tam, u nich, w Husiatyńskim na kilometr kwadratowy wypadało 70 ludzi, kiedy tu jeden człowiek wypadał na kwadratową milę.

Wyładowano ich w Selkirk za ciemna. Do siedzących na tłomokach podszedł Ukrainiec, agent kolonizacyjny, świecą latarnią. Podnosił ją wysoko, oglądając, taksując.

— Dokąd jedziecie?

Z tobołów poszło bezradne stęknienie. Ale niebawem, na ciepły dźwięk znajomego języka, człowiek-jeź zaczął się rozkręcać, wysuwać pyszczkiem na świat:

— *Skażył żeś jak to bude z tym nadilom ziemi?*

— *Dadzą wam homsteda.*

— *Kołyż ja ne maju hroszej...*

— Nie macie dziesięciu dolarów? To nic — nie musicie ich zaraz płacić. Poczekają. A ziemię dadzą. Byleście osiem kawałków drzewa ułożyli jako początek domu — to już ziemi nie odbiorą. Chodźcie do baraku. Poczekacie dzień dwa, zbierze się kilka rodzin i pojedziecie.

Jednak — otrzymają ziemię. Czy to możliwe? Skoro pierwszy brzask wkradł się do baraku, wyszli patrzyć na nową ojczyznę.

Siedli pod ścianą, ziemia jeszcze spowita była w cienie. Przyleciał wiatr od zachodu. Płatną ciepłą szmatą po policzku. Wzdął się, nateżył, uderzył w ścianę baraku.

— Wietrzny dzień — mruknął Gąsior.

— A może u nich tak zawsze? — jęknęła Gąsiorowa.

Ale zaraz już zmiłkli, bo od wschodu zajaśniał rąbek horyzontu i począł się rozżarzać. Niebawem kula płomienista poczęła iść do góry. Rzekłbyś, jakiś kosmiczny agent parcelacyjny wyszedł z kulistą lampą jak ten wczoraj, który prowadził do baraku i prezentuje przyszłe gąsiorowe gospodarstwo.

Ziemia poczęła się wyłaniać. Wstał — widok stępu. Gąsiorowa chlipnęła trwożnie; kto też to widział gdzie: ani jednego domu, ani jednej drzewiny jak okiem sięgnąć. Gąsiorowa przywykła, że ziemia popaskowana była mozaiką chłopskich splechotków drobnionych i rozdrabnianych, biegnąca w dal siecią miedz granicznych.

Tymczasem tutaj leżała przed nimi ziemia „jak piersi otworzona boże”. Preria — nietknięta, nieujarzmiona, wynawożona przez stulecie pożarami lasów i traw, loess żyzny naniesiony wiatrami odskakującymi z przedhistorycznych lodowców.

Gąsior, jak urzeczony, wpatrzył się w to bogactwo niczyje, biegnące aż po widnokrąg. Ukląkł, a za nim żona i syn w nie-wzruszonej wierze, że lądy się pozmieniały, kraje, cesarze, ale to słońce jest niezmiennie i ten Bóg, który nim rządzi. Rozpoczął:

— *Ojciec nasz, któryś jest w niebiesiech... Święć się Imię Twoje...*

— *Przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja* — podjął syn.

Gąsiorowa, rozpostarłszy uroczyste kiecki po ziemi, wyrwawszy się z trwogi, którą nawiał na nią ten wiatr i step, szybkim, zawodzącym z lekka jazgotliwym recitativem dołączyła:

— *Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj...*

Słońce już weszło wyżej i zalało step, który począł też modlić się zapachem rozwierających się ziół.

I tak modlił się człowiek pospolu z ziemią w tym pierwszym roku nadchodzącego stulecia.

Już na drugi dzień przyjechały trzy inne polskie rodziny, a na trzeci dzień — człowiek w mundurze.

Nareszcie coś robiło się rozumiało. Jakaś władza. Od czasu urzędników celnych w Montrealu nie widzieli nikogo w mun-

durze, Pan Bóg umundurował świat i tak ma być: na szczycie stoi cysarz Franc. Josef z bokobrodami w białym mundurze ze wstęgą przez ramię; na samym dole żandarm z ich wsi w meloniku z kogucimi piórami. Pytali rodaka, który im pomógł wyładować w Kanadzie, jak wygląda tutejszy cesarz. Zobaczywszy portret Wilfrida Laurier w cywilnym tużurku, były dragon cesarski zaambarasował się wielce i powziął wątpliwości, że nie przyjechał do żadnego porządnie urządzonego kanadyjskiego powiatu ze starostą na czele, tylko może do jakiegoś interesu, którym rządzi Żydzi.

Pan w mundurze przywołał agenta Ukraińca jako tłumacza, rozłożył przed ludźmi w kozuchach mapę i tłumaczy:

— Pojedźcie, wszystkie cztery rodziny, do Sandilands. Tam też jest barak, w którym możecie przenocować. Stamtąd, patrząc — puka po mapie, pójście naprzód na zachód („Za słońcem” — tłumaczy Ukrainiec), potem na prawo sześć mil („dziesięć kilometrów” — tłumaczy Ukrainiec), potem na prawo sześć mil, a potem znowu na zachód sześć mil... Tam jest wasz *homestead*.

Wirują te mile, te kierunki w głowie, ale się milczy, kiedy władza mówi.

A władza staje się coraz mniej zrozumiała:

— Tam znajdziecie takie paliki zabite w ziemię — wyjmuję przywieziony na pokaz żelazny palik — a na nich będzie zaznaczone: 22 *sekcja*, *township* 3, *ranch* 9, *East*, i *meridian*.

Młodemu Gąsiorowi żyły nabrzmiwały na czole. Powtarza żarliwie: „*East, ranch, meridian...*”

— Właśnie — stwierdza z zadowoleniem władza w mundurze — jak znajdziesz palik, to patrz: z tej strony korona, to pokazuje na zewnątrz, a z tej numer, to on pokazuje na działkę. Możesz wybrać jaką chcesz kwadrę.

Gąsior patrzy z szacunkiem na koronę, która zaraz z drugiej strony wskaże numer — jego działki numer, jego ziemi. Patrzą, czepiając się wzrokiem umundurowanej postaci, która odjeżdża wraz z czarodziejskim palikiem, z koroną, z numerkiem, z *townshipem* i z *meridianem*.

— Nie bądź durny, człowieku — mówi Ukrainiec — tam w Sandilands wszędzie las, w lesie rządowi geometryści przecięli wąskie przesieki. Choćbyś chciał, w bok nie zejdziesz.

— I tam, na końcu tego *meridiana*, będzie moja kwadra?

— Jakbyś wiedział, ciemny człowieku — „my” (bardzo wspaniale brzmi to „my” w ustach takiegoż ciemniaka, który przybył przed trzema laty) kroimy cały land na *townships*, a taki *township*, to na jeden bok ma sześć mil. To dopiero ten *township* jest podzielony na 36 *sections*, to znaczy bok każdej *section* ma jedną milę, a taka *section* to jest 640 akrów, to po naszemu 450 mórg. Dopiero *section* jest podzielona na cztery kwadry po 160 akrów. I taką jedną kwadrę wolno ci wziąć.

Przecie to ze sto mórgów będzie tej ziemi?

— Bez pieniędzy — wyrwa się drżącym głosem Stasio.

— Jakbyś widział — śmieje się Ukrainiec — a jak się dorobisz, to ci wolno wziąć jeszcze kwadrę... I jeszcze... Całą sekcję — śmieje się z efektu.

Gąsior z niezadowoleniem pociąga obwisły wąs. Władza, no to władza. Ale ten, ledwo wylazł od chłama, już się natrząsa. Sekcję... 450 mórg... Sam dziedzic Kimelmann nie miał tyle.

WYZWANIE PUSZCZY

A do Sandilands trzeba było jechać za własny pieniądz. To szczęście, że jeszcze starczyło — jeszcze Gąsior otrzymał 3 centy reszty. Na trzy osoby rodziny — trzy centy. Stary zwyczaj kazał zmarłemu pod język wkładać centa — jakaś pozostałość indo-irańskich wierzeń, przefiltrowana aż w greckie czasy w wierzenia o opłatach, składanych Charonowi i trzymająca się wsi słowiańskich dwa i pół tysiąca lat potem. Rodzina Gąsiorów miała tyle, by opłacić symboliczną przeprawę na tamten świat.

Charon kanadyjski okazał się dosyć dobrodusznym Niemcem z wielką fają, zwisającą mu na piersi w wygiętym cybuchu. I ten ich otaksował dokładnie przy świetle latarni, bo przyjechali za ciemna i ten ich pchnął do baraku.

Znów rano ze słonkiem wybiegli patrzeć na świat Boży i stanęli zdumieni. Wokoło drewnianej stacyjki zwarł się las. Wysoki, nieprzeświecony.

Rodzina Gąsiorów była z równin husiatyńskiego powiatu. Tam, w Selkirk, straszył ich silny wiatr, niezamieszkały step, ale ich uboga wyobraźnia mogła wyczarować z tego stepu marzenie o zagonie.

Tutaj byli otoczeni przez nieznany żywioł drzewny, który wydawał się wrogim. Ten wróg zarastał każdą piędź ziemi, broń, aby nie stała się rolą.

Niebieski *blue-jay* ptak nieznany w Polsce, sfrunął na najniższą gałąź i krzykliwie skrzeczał. W wielu wsiach wiercono, że „zły” wciela się w egzotyczne ptaki i przylatuje wieścić nieśczęścia.

Ale czas było na kolejny obrót dnia. W Polsce zaczynał się ten obrót jeszcze szarym świtem modlitwą i szedł odmierzonym kręgiem zajęć do ciemna. Istnienie ludzkie, choćby tak skromne, jak istnienie Gąsiorów, rozchylając się do wschodzącego słońca modlitwą wraz z ziołami, szło swymi nawykami za słońcem, przepełnione sensem istnienia, jak przepełniona sensem istnienia jest najskromniejsza roślina.

Na okręcie, na kolei, z tej rośliny ludzkiej odrywano listek po listku. Miotanej chorobą morską Gąsiorowej zwidywał się światami udój, a skurczony na pryczy, wymorzony na „tchlem jadle” Gąsior przymykał oczy i zwidywało mu się, że idzie z kossą w pole. Tak może biednym czarnym braciom jego, wiezionym na targi z drewnianymi widłami na szyi zwidywały się pochody z bębnieniem „tam-tam” i życie w dżungli.

Ale odjęto im cały rytuał dnia i schli. I jak roślina wypija już ostatnią kropelkę wody, która ta się w rozkopanej od korzeni ziemi, tak Gąsiorowie czepiali się jedynej pozostałości z rytuału dnia, której im nie odjęto — pacierza.

Wszystko tu się gięło, trzeszczało pod parciem straszego świata — nawet ten pacierz. Bo oto nie Gąsior, jako należy, tylko modlitwę zaczęła spontanicznie Gąsiorowa.

Padłszy na kolana, wlepiając wzrok w emaliowanego na niebiesko cudaczego ptaka, w groźną czarną ścianę lasu za nim, mówiła starą modlitwę polską, pozostałą z czasów najazdów tatarskich, głodów i zarazy:

*Pod Twoją obronę uciekamy się święta Boża Rodzicielko...
Naszymi prośbami racz nie gardzić. Ale od wszelakich złych
przygód racz zachować.*

Mężczyźni przyłączyli się do niej. W czarnej puszczy kanadyjskiej słowa zagubionej modlitwy drżały jak ostatni listek na wątłej roślinie, z której obdarto wszystkie inne liście.

Puści korzenie, czy utraci i ten ostatni żywy liść i stanie się suchym badylem, który wiatr prerii poniesie, aż oprze się o śmietnik jakichś slumsów?

Tak modlących się zobaczyła żona Niemca, który ich wczoraj powitał. Niemiec był agentem imigracyjnym, naczelnikiem stacji, naczelnikiem poczty, właścicielem sklepu i przemysłowcem drzewnym. A na dodatek — lekarzem, aptekarzem i przedstawicielem władz bezpieczeństwa. Poza tym lingwistą, który niemieckiego zapomniał, angielskiego się nie nauczył, natomiast porósł gwarą polską i ukraińską, jak stara strzechy mchem.

Żona jego, Polka urodzona w Ameryce, nie mówiąca już niemal po polsku, знаła zaklęcie starej modlitwy i wciągnęła Gąsiorów do męża.

Stary Reimer, tak bowiem nazywał się jedynowładca Sandilandu siedział na worku maki i starannie odważał dawki chininy, które okręcał w papierową bibułkę i układał w blaszanym pudełku po herbacie.

— *No ja...* — powiedział wysłuchawszy zawiłej historii o meridianie i zerknąwszy okiem na papiererek, na którym Ukrainiec w Selkirk nakulfony numer działki — *no ja... sechs miles gerade, dann sechs rechts and sechs znoruj napoprzód.*

— *Sechs miles gerade* — powtarza z nabożeństwem Gąsior, prostując się: mówią do niego językiem cysarskim, którym odbierał komendy przez długie lata żołnierki.

Ale baba, jak to baba. Nic jej nie imponuje: ani niemiecki, ani długa faja, ani gruba dewizka na panareimerowym brzuchu. Plasnęła w dłonie i zawiodła:

— Oj Jezusie, o Matko Boża Ludźmierska, o zginąć przyjdzie w tym lesie pośród wilków... o! czarna moja godzina, w której zachciało się jechać...

Reimerowa ją zmiotygowała:

— *Uspokójcie się. Niech chłopcy idą, wy tu zostańcie. Na jutro wrócą. Nic tam nie ma straszego w tym lesie, każdy jeden zwierz boi się człowieka.*

Gąsior z synem poszli. Prawdę mówił Reimer, że zbłądzić trudno. Przesieka była wąska, zaledwie na cztery stopy szeroka. Górą gałęzie się łączyły i szły jakby czarnym tunelem, wdrażając się w głąb zielonej masy lasu. Gdzież to dziedzicowe sześć furek drzewa rocznie, nabożnie zużywane co do ostatniej szczepki.

Wielkich wrogich zwałów wody starali się nie widzieć. Lasu nie widzieć nie mogli — on ich wchłonił. Byli jak ludzie rzućeni z pokładu w ocean zieleni, który zamknął się im nad głową. Dawne to czasy, kiedy jacyś ich praprzodkowie pionierowali po puszcach słowiańskich. Przez wieki zgięte w parobczańskim wyrobku pokolenia Gąsiorów przytępiły w sobie zdolności wzroku, węchu i słuchu jak konie ciągnące wagoniki w kopalniach.

Toteż trwożnie wyteżali niećwiczone uszy na ciszę leśną, bo to rozumieli, że z obu stron zbitej zielonej ściany czai się czujne, drapieżne, obserwujące ich życie.

Z tej tajemniczej głębi raz tylko przemknął tajemniczy gońiec — gadzina zyzakowana pomarańczowo, czarno i białą. Zapanowała na tym błysku przez przesiekę, którym przemiotnęło się to wrogi i obce i z wolna przekroczyli szeroko rozstawiając kroki to miejsce, w którym mignęło.

Było wszystko jak mówił Reimer: sześć i sześć i sześć mil. Słońce już było dobrze nad głową, kiedy Staszek zawołał:

— *Kolek...*

Istotnie — stał kolek taki samiuteńki, jak ten który okazywał pan w mundurze w Selkirk. Koroną był zwrócony do ścieżki. Zajrzeli od tamtej strony — był numer. Numer ich działki, którą mogli zaraz brać.

Oczy ich bezradnie błędziły po ścianie lasu: ani tu tej działki obejrzeć, ani zmierzyć. Staszek usiłował wejść głębiej, ku prześwitowi, który zdradzał jakby obecność polanki, Rozległ się suchy grzechot i chłopak śpiesznie wrócił.

— *Co to grzechocze, synu?* — zainteresował się Gąsior.

— *Jakiś waż ogonem rucha i tak grzechocze jakby grochu w pęcherz nasypał* — mówił raczej ubawiony chłopak.

Przypominając, że pan w mundurze im mówił, że mogą wybrać którąkolwiek z działek. Odnajdują dalsze paliki. Gąsior chodzi, a przymierza się, a mruczy. W Polsce to by był mądry. Rozcierałby on i doradzający kumotrowie ziemię na rękę, wachałby, kładł na języku, miarkowałby czy aby grunt nie będzie podmaćkać, albo suszyć i z której strony będzie wiatr i czy składna figura (tzn. kształt kupowanej ziemi, którą nieraz przechodziły paski gruntu sąsiadów) i jak się ma ku drodze.

Ale tu, w tym lesie, bądź tu mądry człowieku.

Więc Gąsior podniósł głowę i tylko oblicza: ile i jak wysoko tego świństwa rośnie, które trzeba będzie karczować.

Wybrał działkę nieco więcej przzerzedzoną i powiada:

— To tu...

Staszek chodził za nim krok w krok, nabożnie poglądając to na ojca, to na działki. Tak boso chłopięta w płóciennych porciętach z nabożeństwem zwykli asystować rolnym obrządkom ojców. Jest w tym zapamiętaniu chłopięcym, kiedy, poprawiając spadającą na oczy ojcowską czapkę, usiłują basowym głosem pokrzykiwać na konia, żarliwość kultu spływającego z prawiaków.

Teraz na słowa ojca podniósł głowę, wietrzyk mu zwiewa z czoła pływające włosy i mówi:

— Będę pracował z wami i na waszem. Ale przecie poszło mi za osiemnasty rok to i na mnie zapiszą działkę.

Wobec czego zapisali Staszka kwadrę przy ojcowej.

Słońce przechodziło na drugą stronę, kiedy ruszyli z powrotem. Niebawem przesiekę zapelnili roje komarów, przez które przebijali się jak przez watę. Ile jeszcze i jakie plagi zaczną tu na nich wyłazić? Stary Gąsior szedł ponuro, targając obwisłą węgą. I Staszek zaprzestał rozmazywania krwi po twarzy.

— Znalazłyście wasz majątek? — pyta na drugi dzień rano Reimer, a brzuch mu się trzęsie i popod oczy rozbiegają się uweselone zmarszczki.

Gąsior traktuje Reimera jak władzę. Życie jego biegło między władzą dziedzicą, księdza i żandarma. Gąsior nie bardzo jeszcze wie, jak się do takiego Reimera mówi, jak się go tytułuje, jak się go wita. Przecie dotychczas nie układał nigdy stosunków z otaczającym światem samodzielnie. Wszystko było podyktowane odwiecznym obyczajem.

Więc, człowiek-jeź, wypróbowaną metodą wsuwa się w siebie i czeka. Wyciąga zapisane przez Staszka numerki działek i podaje.

— Ho, ho... — śmieje się Reimer — tośta już dziedzice — trzysta dwadzieścia akrów. Reimer wie, że aby mieć działkę należy skończyć 21 lat. Ale nie chce im psuć marzeń.

Pogryziony przez komary Gąsior, mający w nogach trzydzieści sześć mil a w brzuchu zacierkę na wodzie z ostatniej garści mąki, którą z tobołów wytrząsnęła żona, a w kieszeni trzy centy, przestępuje z nogi na nogę.

— No, to z Bogiem, na gospodarstwo — mówi Reimer — kiedy ruszacie? Jakby wam co trza było, to tam obejrzcie w łożu.

Jakby co trza było...

Gąsior kładzie na stół trzy centy.

— Z tym my tylko dojechali... — mówi głucho.

Zapuszcza rękę w kieszeń. Wyciąga mały przedmiot, zawinięty w szmatkę. Rozwija. Ukazuje się nikłowy zegarek

z austriackim orłem, z kluczykiem, otrzymany za strzelanie, chluba rodowa, amulet legitymujący wobec żandarmów...

— Gdyby tak (potyka się, nijako tu powiedzieć „Wielmożny Pan” ani „Ksiądz proboszcz”, ani „pan Zugsfuehrer”)... gdyby tak daly co pod zastaw.

— Zegarek zostawić możecie na przechowanie — mówi Reimer — żeby wam w puszczy nie zerdzewiał, ale fantować go wam nie będę.

Bierze książkę z półki i pisze mrucząc:

— Daję wam dwie siekiery, łopatę, kapelusze słomiane z moskiterami, kociolek, peklowanego mięsa trocha, trocha słoniny, mąki. Odrobicie. Żonę zostawcie, dam jej strawę za odrodek przy domu. Wracajcie sami, zróbcie jakie legowisko i wróćcie po kobietę. Zresztą róbcie jak chcecie, słuchajcie mojej rady.

Gąsior nie wie jak się dziękuje takiemu storekeeperowi, żadne z obrzędowych podziękowań tu nie pasuje. Ruszył grdyką i mówi:

— To pójdziemy zara.

Upatrzyli ze Staszkiem pod pagórką miejsce, wkopali łoż, podsypali, narzucili suchej trawy. Rozglądając się za wodą, znaleźli dołek, w którym woda pokryta była drobnymi robaczkami. Cedzili wodę przez koszulę do kociołka i pili.

Po dwóch dniach wrócili po matkę. Reimer dopisał do rachunku deski, ramę oszkloną, piłę, naftę i sól i jeszcze mąki i jeszcze słoniny i „pekenfleiszu”. Reimerowa podarowała kaganek naftowy i kilka starych saganów. Reimer to wszystko swoim koniem podwiózł sześć mil, dalej już zaczynała się przesieka i zwałił na ziemię. Gąsiorowie nadarli tyka z drzew, poskręcali, poobwiązali się i poszli.

Dotarli na miejsce, Gąsiorowa zważywszy brzemię, usiłowała nastawić pomętłale oczy na nowe gospodarstwo. Kiedy mgła zeszła z oczu, ujrzała dziurę ziejącą we wzgórk i po swemu poczęła lamentować.

Kiedy na drugi dzień wyszli z nory, trąciła zdumiona męża:

— Owce?

Ujrzał we wskazanym kierunku bure grzbiety sunące między krzakami. Nie wiele potrzebował czasu, aby rozemnać stado wilków.

Wczoraj Reimer rozhojniał się przy pożegnaniu i obiecał na rano dowieźć jeszcze kuchenkę. Trzeba więc było iść. Gąsior wziął siekiere ze względu na wilki i poszedł. W oznaczonym miejscu leżała już zwalona kuchenka. Znow skrzył tyka w powrót i wwałił na plecy. Szedł długo te powrotne dwanaście mil raz po raz odpoczywając. Doszedł na dziewiątą wieczór, kiedy już mrok zgęstniał. Zastał spłakaną żonę, która sądziła, że go zjadły wilki.

Późno było, przecie wielki ewenement nie pozwolił im zaraz pójść spać. Zapalili w kuchence. Rury jeszcze nie mieli, dym

czarnymi kłębami walił na boki i siał się nisko, ale oni błogosławili ten dym, bo odpędzał komary.

Z kuchenki pobłykiwał ogień. Trzeci element człowiek brał w posiadanie. Najpierw — ziemię; potem wodę, którą pił przedzając przez koszulę; teraz — ogień, półujarzmiony jeszcze, ogień, źródło władzy nad puszcza. Za jego obrab cofały się strachy i złe siły tej puszczy. Zobaczywszy ogień, Gąsiorowa przestała chlupać. Zbudziły się w niej moce, które każą wic gniazdo.

Sięgnęła dłonią za koszulę. Tam na wyschłych piersiach spoczywał czarny szkaplerz. Szkaplerz był święcony na Matkę Boską Szkaplerzną w ich kościółku. Kiedy wzięła go w rękę, buchnęło wspomnienie: kościółek drewniany ze spadzistym dachem, po którym chodzą cienie odwiecznych lip; pogwar cichy sąsiedzki na dworze przed kościołem.

Kłękła pod drzewem i modli się. Ogień za nią rzuca ciepły kojący blask. Tego dnia w puszczy kanadyjskiej powstało — nowe osiedle.

Wtedy powstaje w ciągu trzech dni — *log cabin*. Jeśli nasze prasłowiańskie osady budowano na palach w jeziorach, to gdyby kiedyś z jakiego mumifikującego popiołu dziejów odgrzebano ten kraj — znaleziono by przede wszystkim jako symbol — *log cabin*. Sądzę, że winien by powstać taki kanadyjski *Scan-sen* — Park Narodowy, w którym by rozsiano wzory różnych *log cabin*, odgrzebane po pustkowiach, przewiezione, odrestaurowane. Gdzie olbrzymie pnie, podciosane tylko z dwu stron, trzymają się jeno zaciosem węglów. Mech je uszczelnia brodaty, we wnętrzu olbrzymi komin jest dominującą częścią mieszkania. Nierzadko schody wewnętrzne prowadzą na galerię drewnianą pod pułapem.

Jeśli się patrzy od szkoły, od historii stylów, jeśli się patrzy od stołów kreślarskich, rysownic, konkursów architektonicznych, to się wysuwają potężni budowniczowie od Vitruwiusa przez Brabante, Wrena po Corbusier.

Jeśli się patrzy od duszy ludzkiej, to się wydaje, że style narzucały epoki swoim kolorytem duchowym.

Jeśli się patrzy od materiału, to się widzi, jaką rewolucję wzniosła cegła, a potem beton i stal.

A jeśli się patrzy od jaskółki, budującej zawsze tymże kształtem i miarą, to widzi się ziarno, które wyrasta tymiż kształtami drzewa i Gąsiora, polskiego chłopca, mieszkającego w bielonej lekko stawianej chałupie, jak własnym instynktem włącza się w rytm tego kraju i buduje najpierw *log-cabin*, zanim zacznie budować życie gromadzkie nowej ojczyzny.

Kiedy już stanął dom o dachu krytym trawą, o szparach między okraglakami (logami) upchanymi sianem zmieszczanym z gliną i o powale z cienkich drążków, na które narzucono tejsze gliny zbitej z sianem — powstaje kwestia: co włożyć do gęby.

— Idź synu do Reimera — mówi z westchnieniem Gąsior. On ma roboty przy lesie, to ta może jest człowiek ludzki, nie wszystko będzie zabierał na spłaty i procenty.

Mówi i sam nie wierzy. Zdawien i od najpierwszych czasów człowieka, dług który raz zawisł na plecach fellacha, rai, kulisa, peona, contadina czy słowiańskiego kmiotka, już z tych pleców nie zlaził do śmierci.

Gąsior wzdycha. Jego ojciec miał niewiele, ale zawsze dwie morgi i dom własny. Gąsior pamięta jak przez mgłę wysokiego postawnego ojca (powiadano, że to zbożną pracą wielce wydatnego dziedzica zostało podrasowane pół wsi), który nosił jeszcze nie zanikły wówczas strój — niebieską kamizelę z drobnymi złotymi guzikami.

Wieść niesła, że wróciwszy jako postawny wojak z cysorskiej służby, sprosił kumotów do knajpy i rozochocony pokrzykiwał do karczmarza: „Zapisz, Żydzio, na ścianie — umrę to ci grunt zostanie”.

Stary Kimelman, karczmarz, w pilśniowym czarnym kapeluszu z szerokim rondem, w białych pończochach, w których jego przodkowie przywędrowali przed trzystu laty z Hiszpanii, ze zwisającymi spod kamizelki otwartego chałata sznurkami cycele, noszonymi od moźjeszowych czasów, podkręcał długie lśniące pejsy zwisające mu grajczkami aż do szyi, za każdym razem mówił przymilnie: „Nu, czemu nie, panie wojak” i pisał kredą na tablicy.

Wypyty wówczas rum zaciążył nieznośnym brzemieniem nad życiem gąsiorowego ojca. Grunt istotnie przeszedł w ręce Kimelmana, którego syna to właśnie, dziedzica w żółtych sztylpach z ostrogami całował Gąsior w rękę, prosząc o dniówkę dla syna.

Poszedł teraz sklamrzyć do nowego dziedzica, którego sobie odnalazł na drugiej półkuli.

— Niech przychodzi — chętnie zgadza się Reimer — do stanie 75 centów za załadowanie wagonu. To mu winno wziąć rychtyg dzień pracy.

A widząc, że Gąsior coś waży, wyjaśnia:

— I wikt do tego.

Ale Gąsior obraca w głowie tę sprawę ojcowych doświadczeń:

— Panie Reimer, a jak to będzie z procentami? Dużo to naliczycie?

Reimer jakiś czas nie może zrozumieć, aż wreszcie wybucha śmiechem:

— Ten dług to ja wam zapiszę na mortgage na chałupę coście postavili, zresztą rób jak chcesz, słuchaj mojej rady.

Gąsior już nie śmie pytać. Jest wciąż nieufny, ale jakoś uspokojony tym śmiechem.

— To Stasio lepiej będzie zarabiał jak u Kimelmana — waży Gąsiorowa — tam miał 20 centy dziennie i bez wikt.

Mężczyźni się śmieją. Matka jeszcze nie rozumie, że cent centowi nie równy, że kanadyjski cent jest wart dwa i pół centa austriackiego.

— Będzie zarabiał więcej jak trzy korony dziennie i wikt.

Gąsiorowa jest stracona. Kiedy tak, siedząc przy blaszanej kuchence (do której już, z łaski Reimera, doszła i rura) strzeże po fartuchu rękami pod wrażeniem zawrotnej sumy, jest jak kura, której spętano nogi, rzucono na wóz i wiozą — nie wiadomo, czy na zarznięcie czy do ładnego kurnika.

Stasio począł pracę w środę i na koniec tygodnia Reimer zapisał mu na spłatę długu pierwsze trzy dolary.

Po dalszym tygodniu pracy obliczył, przeciągnął grubą krykę i powiedział:

— No, to z nami kwit: odrobiłeś cały dług.

Za trzeci tydzień wyrzuca pieniądze na stół — cztery i pół dolara. Daje dalszy towar „na rachunek”. Stasio przynosi prowiant do domu i wykłada zarobek.

— Bogu dzięki — mówi ojciec — widzimy pieniądze w domu.

Nie umieją tego wyrazić, ale czują: potężna jakaś fala bierze ich na grzbiet. Nie umieją tego wyrazić, ale czują: wielki dech sprawiedliwego życia doszedł do nich z tej Kanady.

Nie umieją wyrazić tego, ale czują: już będą temu krajowi wdzięczni i wierni na śmierć i życie.

Pierwsze wysunięcie macek w ten nowy kraj, z którym łączność dotąd mieli jedynie przez Reimera. Nieoceniony Reimer naraił gdzieś tam roboty żniwne. Roboty były daleko. W tym ogromnym kraju wszystko jest daleko i przybysz spod Husiatyna czuje się jak Guliwer w kraju olbrzymów. Można wprawdzie było jechać koleją, ale wydawanie pieniędzy wydawało się zgrozą.

Zostawili matce pół worka maki i poszli. Szli cztery dni. Ale doszli do niebyle czego — do 80 centów dziówki na pełnym wikcie. Po głupich siedmiu tygodniach wrócili: ojciec zarobił \$ 30, a syn \$ 35.

Siedząc w lesie Gąsiorowa przez całe siedem tygodni nie miała wieści od nich, bo i przez kogo? List do Reimera by doszedł, ale nie poszłaby sama przez puszcę. Nie poszła nawet ani razu do sąsiadów, tych trzech polskich rodzin, z którymi przyjechali razem i które osadzone były w puszczy gdzieś blisko. Jadła makę oszczędnie, aby starczyło, dłużyła ziemię pod ogród i barykadowała się na noc.

— Masz — powiada Gąsior wywalając 65 dolarów — rozum jeno, kobieto, że to 325 koron. W kraju przez cały rok razem z synem nie zarabiał stu.

Ruszyli się kole obejścia. Naznosili na kopną zimę sześć worków maki. Wykarczowali ze ćwierć akra. Trzeba było ko-

zenie podcinać, walczyć ogromne drzewa, porać się z obcinaniem gałęzi, z przecinaniem pnia, z wywlekaniem oddzielnych części, z wyrwaniem resztek korzeni z ziemi.

Bratanek Reimera jedzie na roboty leśne w Ontario. Stasio rusza z nim razem. Wielki to szmat drogi. Młody Reimer ma parę koni, sanie z budą i piecyk na saniach. To jest ich dom, chroniący na noclegach w zadymki stepowe.

Stanęli na miejscu przed Bożym Narodzeniem. Zarabiali utrzymanie i 25 dolarów. I papierosy otrzymywali do woli. I darmowy powrót koleją. Stasio wrócił na pierwszy kwiecień z 75 dolarami.

Starzy tymczasem nie zasypiali gruszek w popiele. Cóż, zdawało się, było robić na osiedlu, w którym pola były nie zasiane, ogród nie założony i nie było żadnego inwentarza? A przecież człowieka w kożuchu łączy z życiem jedynie praca. Jest ona musiem, wydziela się z jego organizmu biologicznie jak płyn morwowca. Zatamaj tę sekrecję, a organizm zginie.

Morwowce, kładzione nie na liściu jedwabiodajnym, jeno na nieprzyjaznym blacie marmuru, póty usiłują snuć ze siebie nitkę, aż giną.

Więc i Gąsiorowie, kiedy już nie było do roboty, bo z zamarzłej ziemi nie można było karczować pni — cieli narębane i w bok zwleczone drzewo na sagi. Po co? Kto i czym te sagi zwlecze do Reimera? A gdyby nawet, to nie wcześniej jak za rok, kiedy drzewo przeschnie.

Gąsior w baranicy, ładujący z trzema centami, nędzarz, który nie miał choćby kury — otwiera... roczny kredyt Kanadzie. Sagi rosną — Stasio zastaje siedemnaście sagów po 4 na 4 na 8 stóp.

I równocześnie rodzina Gąsiorów przechodzi w tym zaczepianiu się o ziemię kanadyjską wszystkie szczeble sądzone człowiekowi na ziemi, odkąd pierwsza ludzka stopa stanęła na niej.

Mają — tylko te sześć worków maki. Ani mleka, ani jaj, ani okras. I kiedy warzą w swoim kociołku jałową bryję, puszcza dokoła wzbiera utajonym gargantuicznym nadmiarem mięsiwa. To mięso przebiega przez ich polankę, świecąc płowymi bokami jeleni. To mięso czochrze się i posapuje w krzakach kolczastym ciałem jeżozwierza. To mięso podrywa się z mchów pyrkotem leśnego ptactwa, kipi na gałęziach, wabi wielką gamą głosów.

Człowiek umieszczony w lesie, człowiek — koń kopalni — z zabitym przez pokolenia pracy pańszczyźnianej instynktem, sennie otwiera się na te głosy puszczy, jak otwiera się szczerzący wrócona jej żywiołowi. Człowiek nie odważa się spróbować egzotycznej jeźdźdźki, w której może tkwić diabeł, człowiek, jak jego najpierwszy praprzodek, nie ma nie tylko broni palnej ale i łuku. Wzrok jego pomyka łakomie za kicającymi w prześwitach puszczy tłustymi jack-rabbits. Toż to zając, polski zając.

I Gąsior poczyną stawiać sidła. Poczyną rozeznawać ściężki, którymi się przemyka długouchie mięso. W najwyższych miejscach zastawia pułapki. Zarzuciwszy tę wędkę w zielony ocean, przychodzi świtanie, by zdjąć z wnyku trzepoczące się zająca — wydiera zamkniętej na dzień puszczy resztę jej nocnego życia.

Jest więc dom, jest nieco grosza, kawał wykarczowanego pola świeci surową łysiną. Nic na nim jeszcze nie zasiane. Widać sadzone Gąsiorom przejść przez stadium przedrolnicze, pasterskie.

Krowa... Krowa, to symbol zaciepłego życia, to jest drugi szczebel po ognisku, skupiający rodzinę. Krowa, — to rezerwa pokarmu w dni, kiedy łowy się nie udały. Krowa — to pierwsze podparcie niemowlęstwa. Jej mleko — to pierwsze najprymitywniejsze kupony renty z początkującego kapitału. Krowa to obowiązek regularnego dojenia, więc pierwsze porządkowanie życia. Krowa — to pierwsza jednostka obiegowa dawniej i pierwsza legitymacja standardu społecznego obecnie, w Husiatyńskim powiecie, to sakralna forma posagu, odszkodowania. Kiedy krowa zdychała, życie rodziny spadało na niższy szczebel. „Przyszła po mleko” — mówiły pogardliwie gospodynie o ubogiej komorniczce, której nie stać było na krowę. Kiedy się zakupywało krowę za długo ciulane grosze i wchodziło się, ciągnąc ją na sznurku do wsi, miało się taką minę, jaką ma kapral, kiedy się pokazuje kompanii po raz pierwszy z nową gwiazdką Zugführera.

Niebawem właściciel krowy nawiedza księdza proboszcza z oselką masła. Całuje go w rękaw, oznajmia, że to od własnej krowy i po długich kołowaniach oświadcza, że to jego kobita ma żyłaki i cosik przestoić całej mszy nie może.

Proboszcz kiwa głową. Wie, że kobita jest jak koń i harowna, ale nie honor nie mieć ławki, choćby w samym koniuszku kościoła, skoro się ma krowę i skoro się dąży do posiadania następnej. Proboszcz zakonotowuje sobie oselkę, żyłaki, perspektywy na drugą krowę i petent zostaje wciągnięty do koleжки kandydatów.

W puszczy gąsiorowej nie ma proboszcza i nie ma sąsiadów. Ale tkwią w tej rodzinie niezmiennie prawa pączkującego życia. I co dzień z wieczora, kiedy ściągają za pierwszego zmróku z roboty, aby zjeść strawę jeszcze za półciemna, bo nafty nie ma — odchodzą rozmowy na temat krowy.

Pierwsza poczęła ją Gąsiorowa. Gąsiorowa reprezentuje w rodzinie element niezadowolenia. Na wszystko reaguje lekliwym zawodem, ale to nie przeszkadza, że jej wyschłe ręce rzucają się żarliwie na każdą robotę. Gąsiorowa — to nie defetysta. Po prostu — to system. System przestrzegania i system dopingu. Nie ma głowy na te tam decyzje życiowe, ale jak najazgocze przeciw nim, to może te ryzykanckie chłopcy coś więcej wezmą na rozum, bo chłop, wiadomo, już by leciał jak się

co zamarzy. Czasem to pitulenie przemoże — jak z tym nie-pójściem na księdza. Kiedy nie pomoże, jak z wyjazdem do Kanady, Gąsiorowa jest zażartym pomocnikiem, ale nie przestaje chlipać. Chlipanie teraz jest nie po to, aby odwieść od decyzji, ale aby wzbudzić ambit w swoich mężczyznach. I wynędniała zżarta pracą Gąsiorowa spełnia rolę, którą spełniał wspaniały klan jej poprzedniczek piskliwymi okrzykami wzmagających się łę cięcia turniejowych toporów.

Naprzód więc były długie tygodnie jazgotania, jak to właśnie o tym czasie ona, Gąsiorowa, chadzała do wieczornego udaju. Suchotnicza krowina zakupiona na jarmarku za najędźniejszego grosz wyrastała w tych opowiadaniach do rozmiarów fontanny zalewającej gospodarstwo Gąsiorów mlekiem.

Gąsior słuchał ze zniecierpliwieniem wyliczeń, ile to serów w ich gospodarstwie suszyło się na płocie, jak się piętrzyły nieskończone oselki masła, ile to pieniędzy płacił za masło posterunek żandarmerii, czego to za mleko nie zakupiła u Żyda. W tych opowiadaniach Gąsiorowa była omal Popeą kąpiącą się w mleku.

Gąsior spłukał i wychodził z izby — niby za swoją potrzebą, a właściwie aby schronić się od głupiego babskiego gadania.

Wówczas na drugi dzień Gąsiorowa poczyniała z innej beczki. Jak to, bywało, Gąsior wrócił z pracy a spieka była okrutna. Z rozchelstanej koszuli brązowe ciało żniwiarza emanowało nagromadzony całodzienny skwar. Wówczas ona szła po kartofle do dołu, tającego wieczny chłód, wyjmowała porowaty gładyšek zsiadłego mleka, przynosiła na urwanym liściu kapusty, na którym błyszczały krople wieczornej rosy oselkę zimnego masła i krajała duży łomec pachnącego razowego chleba.

Widać do mężczyzny trzeba trafić przez żołądek. Kiedy bowiem syn oddał zarobione 65 dolarów, Gąsior, przeliczywszy starannie pieniądze, burknął:

— Będzie tego z czubem na krowę...

Teraz Gąsiorowa natychmiast zmieniła front. Gdzie to kto słyszał ciężko zarobiony grosz, jedyny jaki mają, ryzykować. Czy to wiadomo, jakie tu krowy? Oszukają i tyle... I czy kto słyszał w tej Kanadzie o jakich jarmarkach?

Odtąd do końca będzie już Gąsiorowa zajadłą przeciwniczką kupowania krowy.

Oganiając się od jej terkotania, ojciec z synem co dzień wieczorem rozważają sprawę krowią. Te rozmowy nie są bynajmniej prowadzone pod kątem konkretnego zamiaru — kupienia krowy. Ot, tak, rozmowa towarzyska.

— Krowa, jak ma być mleczna — mówi Gąsior — to jej żyłę wzdętą idącą od pępownicy łatwo wyczujesz.

— Ale pierwsza rzecz — daje się wciągnąć Gąsiorowa — to żeby miała duże wymię.

— To się samo rozumie — mówi z niezadowolaniem Gąsior; kobietę trzeba utrzymać w przekonaniu, że nigdy nie mądrego ani ważnego nie powie — ale trzeba szukać, ażeby oprócz

czterech głównych cycków miała dwa trzy mniejsze; to najpewniejszy znak. I żeby tłusta była; i żeby, jak jej zmacasz zebra, to żeby zebra daleko od siebie były.

Tak gadali niby to o niczym, aż wreszcie pękło. Tego dnia stary Gąsior po robocie w polu, idąc na obiad, zeszedł pod klon, aby zabrać gładyszek naciekły klonowym sokiem; w wywierconej w pniu dziurze tkwił kołek, po którym kapał sok.

— Stasiu, a przynieś-no świder, trzeba w drugim klonie szpunt wsadzić — krzyknął na syna.

A kiedy Stasio przybiegł z narzędziem i wracali do domu, mruknął:

— Widzi mi się, że jutro świtanie może ruszysz?

Stasio kiwnął głową.

Po posiłku wspólnie dokonali gwałtu nad matką, zmuszając ją wywlec pieniądze z jej wiadomych zakamarków.

Nazajutrz świtanie, jeszcze za szara, oboje podprowadzili syna, nie szczędząc nauk:

— Uważaj, Stasiu, żeby krowa nie była po wielu cielakach — dreptała z przejęciem pogodzona z losem Gąsiorowa.

— Po rogach poznasz — przypomniał Gąsior — nie patrz, czy rogi cienkie, czy grube, bo to nie znaczy nic. Skóra, co innego, masz za uchem zmacać — czy cienka. Ale na rogach patrz obręczy: ile obręczy tyle cieląt krowa miała.

Młody Gąsior szedł aż pod Winnipeg. Upatrzył u farmera krowę białą w czarne łaty. Głowę miała małą i kształtną — taką kazał ojciec brać. Ogon też oznaczał mleczność — długi i cienki, chrząst dochodziła krowie do kolan, a włosie do pępka. Na rogach dwie obręczy tylko. Po dwu cielakach, niemal jałówka. Farmer mówi, że przy końcu kwietnia się ocieli.

W Polsce teraz nastąpiłaby część najważniejsza — targ. Obie strony wzywały sąsiadów, swoje rodziny, kumotów na świadków, bożyłyby się ile też taka krowa daje, wycierałyby po raz nie wiem który, wicchiem jej boki, macały, opukiwały, odskakiwały od siebie ze skrajnym oburzeniem, zarzekały się całkowicie kupna i odchodziły stanowczo i na zawsze, goniłyby za sobą, albo nawracały dorzucając koronę i zaklinając się, że to robią tylko powodowane czystym altruizmem. Wreszcie, kiedy różnica w żądanej i dawanej cenie stawiała się całkiem znikoma, rzucano na jej wypełnienie albo część „litkupu” to znaczy pośrednictwa, które zarabiał zziębnięty pośredniczący w kupnie Żyd, albo „postronkowe” (napiwek trzymającemu) — cokolwiek byle uratować honor i nie zejść ostatecznie z ceny lub nie przeplacić.

Teraz sprzedający kładł połą sukmany na rękę, kupujący potężnie w nią uderzał. Transakcja stała i obie strony szły do szynku na „maharycz”, to znaczy zapisać kupno. I zapijając, płacili za „maharycz” wielokrotnie różnicę ceny, o którą szedł kilkugodzinny targ.

Farmer zażądał dwadzieścia dolarów.

Stasiowi piknęło serce: nie marzyli z ojcem że cena będzie tak niska. Wobec tego mówi do farmera jak się należy:

— Już też weźmiecie piętnaście dolarów. Sami widzicie, jakie ma cienkie rogi...

Farmer nie rozumie się na porządnym, jak należy, targowaniu się:

— Za tę cenę krów nie mam.

— I krowa wychowana w stadzie: będzie rwać w las...

— To kup dwie. Patrz na tę — ocieli się tak samo w kwietniu. Cena ta sama — dwadzieścia dolarów.

Stasiowi zatyka dech. Za 40 dolarów przyprowadzi ojcu dwie krowy, kiedy na jedną liczyli wydać trzydzieści dolarów. I taka piękna ta druga krowa. Krasula... Z pręgą przez grzbiet...

Jeszcze próbuje targów, bez żadnej wiary w ich wynik. Kiedy nagle farmer mówi:

— Na homestead siedliscie? No jo, to wam ciężko. Sam tak zaczynałem. Wiesz co, chłopie? — Bierz obie krowy za trzydzieści dolarów.

I znowu inaczej, niż w Polsce. Owszem, nie można powiedzieć — i w Polsce miał naród miętkie serce. Niech komu wybił grad pole, niech kto spłonął, zewsząd wyciągały się pomocne ręce. Niech umarł żywiciel i została wdowa z drobiazgiem, skrzykiwano się „na tłokę” — zbiorową pomoc w uprawieniu pola, w żniwach. Ale odbiegła już od setek lat tradycja pionierstwa. Kto nie miał nic, nie był szanowany. Nie szanowano w nim ukrytego potencjału mięśni, bo mięśnie były za bezcen. Z całego dawnego nakazu pionierskich czasów tlił tylko „podróznego w dom przyjąć” i włożenie chleba do podróżnej sakwy.

A tutaj — Reimer otwierający kredyt, pracodawca na żniwach, darujący dwie koszule, pracodawca w lesie, dający darmo papierosy, ten tu farmer...

Ten tu farmer dodał człowieka z koniem, żeby pomógł prowadzić krowy o dwa dni drogi i nic za to nie zażądał.

Na kwiecień 1901, na zakończenie pierwszego roku pobytu, zawitał na wykarczowaną polanę ważny gość.

W obórze dla dwu krów, którą postawili z okraglaków, patrzyła cała rodzina Gąsiorów jak urzeczona w nowonarodzonego byczka. Stanął na podściółce, czarny, wilgotny, na ogromnie wysokich nieproporcjonalnie nogach, a matka, ta krasula z pręgą przez grzbiet, kończyła go oporządzać.

Byk... Pierwsza prasła, wprzęgnięta przez człowieka, wyzwoleńca ludzkich mięśni, prekursor traktora, przynosił kanadyjskim Robinsonom skład nowego życia.

Jakże szybko szło życie Gąsiorów, miesiącami omal mierząc tysiące lat minionych epok. Egzystencja ich poczęła się z pieczary — z jamy w ziemi. Przeszli okres myśliwski. Krowy

rozpoczęły okres pasterski. Ten czarny byczek był zwiastunem poczynającego się okresu rolniczego.

Gąsior gospodarskim okiem usiłował ocenić nowy przybytek. Czarny byczek stał w snopie światła, które kładło się z wąskiego okienka, stał jak onyksowa rzeźba starego kultu.

Staryż to bowiem towarzysz człowieka, ów Bos Primi-genius, który już w okresie neolitu się przydomowił którego zażywali mieszkańcy osiedli na palach, który przez całą epokę brązu wiernie towarzyszył człowiekowi, który na 3,500 lat przed Chrystusem odbierał w Egipcie część boską.

Gąsior jest ciemny chłop i o tych sprawach nie wie. Ale wiedzą o tym drobinki krwi przetaczające się w jego żyłach. Wziął miękkie chrapy cielęcia w rękę:

— Jakże to? Rychło będziemy kartoflisko orać?

Jeżeli chleb był pożywieniem sakralnym, jeśli chleb święcono, jeśli chleb stawiano na grobach zmarłych, jeśli chleb żegnano przed rozcięciem bochenka i jeśli chleb całowano, gdy upadł, przepraszając za zniewagę — to dlatego, że przez długie tysiące lat, kiedy formowały się nasze obyczaje — nie było kartofla.

Gdyby jednak Kolumb odkrył Amerykę nie w 1492 po Chrystusie tylko w 1492 przed Chrystusem, to zapewne najszacowniejsza modlitwa ludzkości prosiłaby o „kartofla naszego powszedniego”, Chrystus z Apostołami nie przełamywałby się chlebem, tylko dzielił kartoflem, a komunikanty wypiekano by z mąki kartoflanej.

Ziemniak — chleb ubogich... Po to przecie Pan Bóg stworzył ziemniaka, aby i biedak miał co łupić ze skóry.

Ten kartofel — chleb ubogich Europy, który w końcu XVIII w. potrafił spowodować specjalną wojnę (Kartoffelkrieg) kosztującą 20.000 zabitych, ten kartofel, którego nieurodzaje w Irlandii zaludniły Stany Zjednoczone, — w kraju, z którego pochodzili Gąsiorowie reprezentował największy areal ziemniaczany w zachodniej półkuli. I wszystko szło na spożycie wewnętrzne.

Kiedy w 1949 roku prasa komunistyczna podniosła alarmy, że samoloty alianckie rzekomo rozsiewają nad Polską stonkę ziemniaczaną tzw. *colorado beetle*, niszczące radykalnie kartofle, świat śmiał się z tych nowych wymysłów, nie rozumiejąc, że takie zagrożenie budzić musiało by w sercach chłopów większą trwogę, niż zapowiedź wojny bakteriologicznej. Kartofle dla Polaka są tym, czym ryż dla ludów azjatyckich.

Tego milego perkotu warzących się ziemniaków brak było w saganie kanadyjskiego Robinsona. I wszystkie rozmowy obierały się dookoła tego.

Kanadyjczycy są tak dumni ze swoich *Department Stores*, że opowiadają z zadowoleniem historię o *Department Store Eaton*, który ogłosił, że ma wszystko na składzie, a jeśli by

się zdarzyło, że ktokolwiek nie otrzyma tego co mu się zamarzy, otrzyma dziesięć dolarów.

Taką premię bez obawy dla rodziny Gąsiorów mógłby wyznaczyć pocziarz, naczelnik stacji, przedsiębiorca drzewny tudzież „Storkiper” Reimer. Nie dlatego iżby mógł, jak sklep Eaton, dostarczyć nawet jarmułkę, której zażądał chytry Izraelita, ale dlatego po prostu, że marzenia Gąsiorów miały bardzo zwężony zasięg.

Gąsior więc pewnego dnia szedł do Reimera — przewieźć się — o kartofle.

— Czemu nie — przekłada Reimer faję z jednego kąta ust w drugi — tu na kampie byli robotnicy, nie zjedli wszystkiego, tam jest nieco zsypanych kartofli. Zgniją jak nie weźmiesz, to ci je dam darmo. Zresztą rób jak chcesz, słuchaj mojej rady.

I zaraz mu powiódł ziemniaki te sześć mil, po których już nie było drogi.

Wwałił Gąsior kartofle na plecy, przydzwigał. Zasiadła Gąsiorowa na zydlu, rozłożyła podolek — w jej ruchach było zadowolone uczucie zadawnienia z jakim się siada ponownie do bridża po dłuższej przerwie. Śniade palce biegną po kartoflu jak palce wirtuoza po klawiaturze, nóż, wprawny jak lancet chirurga, wycina oczka. Gąsiorowa chwali, że kartofle dorodne, że oczka w nich nie tkwią głęboko. Po 4 - 5 sadzeniaków wydobywa z jednego kartofla.

Czarny byczek buja sobie na swobodzie, ale jego mama już pociągnęła radlisko. Ziemia jest piaszczysto-glinkowata, sama ta na kartofle.

Obie krowy są już cielne i nie wiadomo co robić z nadmiarem mleka. Wtedy zbliża się realizacja nowego marzenia: na leży kupić prosięta i spasać nimi mleko. Już z dawna koło zagrody coś gdać, a za ciemną jeszcze zdziwionej zahazardowanej w nocnych łowach puszczy rzuca kogut wrogie wyzwanie: „Jestem — herold osiedla. Cofaj się, puszczo...” Ale do tego pogdakiwania kur, do ciepłego poczoehrywania w obórze brak jeszcze lubego pochrzakiwania świnek. Obejście Gąsiorów ma narastać dźwiękami jak kompletująca się orkiestra, ma pęcznieć zapachami wszelkimi, jak łaka dzika a zestrojona, która brzęczy pszczołami Bogu na chwałę.

Dowiedzieli się, że gdzieś u farmerów-Francuzów będą wczesne prosięta — już na św. Annę. Stasio idzie piechotą, by oszczędzić na bilecie. Wybiera dwa najmniejsze prosiaczki za trzy dolary i wraca koleją. Reimer, odbierający pociąg, widząc worek, w którym rusza się coś żywego, wybucha entuzjazmem:

— O, you, rich man...

Żona jego koniem podwiozła owe sześć mil. W kraju pionierskim nie ma zawiści, tylko radość, gdy ktoś się z bogacza.

Podchodząc do domu, kręci prosiaka za ogon. Luby kwik przepełnia polankę i chórem anielskich dźwięków wypełnia jestestwo Gąsiorowej. W tym zwiastowaniu jest zapowiedź obrazu sadła, boczk, kielbas i podgarłanki i peklowanego mięsa.

Staje już — trzeci budynek: chlewik. Gąsior wydłubał w drzewie koryto. Ściągnął wraz z żoną i synem dwa stofuntowe wory otrąb. Nasuszył siana. Namądrzył się zrobić sanie i nasciągał nasuszone siano, ustawił stertę przy samej oborze.

Stoi sterta dźwignięta najlepszą sztuką. Śpiczasty jej szczyt, z którego sterczy drąg, falistą linią wygina się w kopułę spływającą strumą ścianą ku ziemi. Kopuła jest obczesana, równiutka, woda po niej spływa gładko w obkopany rowek.

Teraz już polana wykarczowana w lesie, świecąc sylwetami trzech budynków i sterty, grając głosami wszelakich zwierząt, świecąc okienkami w ciemną noc — coraz triumfalniej kogucim pianiem obwieszcza zwycięstwo nad puszcza.

CYWILIZACJA I INSTYNKT

Jeśli zalew puszczy i prerii przez osiedla i przez cywilizację przyrównać można do nawodnienia terenu, jeśli zacieki tej cywilizacji jak gąsiorowa osada przyrównać do oka jeziorzek powstałych z opadów, to powiedzieć sobie należy, że oka te by wyschły, gdyby gdzieś świadome ręce nie budowały nawadniającego zasilającego kanału.

Taki kanał przebiegała przez te ziemie *Canadian Pacific Railway*. Przez prerie i puszcze przebiegały się teamy budowniczych. Ledwo przesunął się pierwszy pociąg, ciągniony przez zabawne samowarki z cienkimi kominami, na wysokich cienkich kołach, już na wszystkie strony przyskały zeń osiedleńcze kropelki.

Cywilizacja jest jak żywe srebro — uderz w nią pięścią, a drobinki rozpyłone znowuż zbiegać się poczną. Stasio Gąsior, drobinka, która odskoczyła w puszcza, na drugą jesień pobytu ściga na roboty przy planie kolejowym. To już — kraj adaptacji poczyną pracować nad duszą imigranta. Nie przez nauki, przemowy, agitacje. Stasio mieszka w baraku z innymi narodościami, porozumiewać się musi wspólnym językiem angielskim, uczy się uzgadniać sposób pracy z innymi, dzieli ten sam kontrakt. Prawa głęboko wpisane w duszy, samoswoje, surowe, z którymi wylądował w Quebec, którym tak wspaniale był posłuszny w puszczy zostawiony sam sobie, poczną się doheblo wywać, dopasowywać jak bierwiona jego log-cabin do budowy wspólnego kanadyjskiego domu.

Zarobił 80 dolarów, ale powrót koleją kosztowałby cztery dolary. Wraca więc pieszo trzy dni, robiąc po czterdzieści mil dziennie. Jest późna jesień, dmie przeraźliwa nocna wichura. Kraj jest jeszcze dziki, rozsiani nieliczni farmerzy boją się przyjmować na nocleg. Ostatnią tylko noc spędza pod dachem, ale dwie poprzednie w stertach, zatykając dziury od chłodu, trzęsąc się z zimna tak, że cała sterta się telepie, coraz to biegając dookoła sterty aby nie szczeznąć z zimna. Całe jeszcze szczęście, że ma buty wyłożone minkami, które ojciec łapał w puszczy.

Kiedy dobiega do Reimera, stary go częstuje herbatą. Namiętnie lubi te opowiadania o zarobkach, przygodach, wędrówkach. Potrafi godzinami opowiadać historie a to o takim jednym, który wracając ze żniw w dwa dni przeszedł 110 mil, a to o innym, który gdzieś dostał za pracę dwa woły i przypędził je aż do Sandiland — 550 mil. W oczach Reimera ten kraj rośnie i to wzrastanie zrobiło z grubego Niemca, który by w rodzinnej Bawarii żłopał piwo i grał w kręgle — romantyka.

— No i co, nie uświrkłeś? — dopytuje, dolewając do herbaty rumu.

— Nie uświrkłem — odpowiada dwudziestoletni Stasio, potrząsając jasną czupryną, ale się nagłodołwał i namarzył. Tego dnia com dostał nocleg, to już było chyba blisko końca... Na późno napytałem jakiś budynek. Nędzna to farma była, prawie tyle co nasza. Gospodarz nie chciał mnie przyjąć jako że jedną stancję mają, ale gospodyni się zlitowała. Zrobiła paja, aż mnie kiszki wyrывało, kiedy czulem jego zapach. Podzieliła paja na cztery części, dała jeden kawalek mężowi, jeden sobie, jeden mnie, a czwarty odstawiła na szafkę. Rozmawiałem z nimi grzecznie, ale cała dusza moja była przy tym odstawionym kawalku.

— No, jo — kiwa głową ze zrozumieniem Reimer — człowiek jak bardzo głodny, to się w nim to tak zemknie, zaciśnie w żołądku, że i nie czuje. Ale dopiero jak pierwszy kęsek żołądek otworzy, to nie daj Bóg...

— Oni spali na łóżku, a mnie narzucili słomy w kacie. Nie mogę spać, ino mnie rwie do tego paja. Wicie — gdyby dolara zażądali, to bym chyba dał. W nocy wicher powstał, cała chałupa chodzi, krowy poczynają na łańcuchach się miotać. „Idź no obacz” — mówi gospodyni do męża — „czy aby kto się nie dobiera do obory”. Gospodarz wyszedł, a ona mówi do mnie — „korzystaj chłopie, żeśmy są same...”

— O-o-o... — zainteresował się Reimer — no i cóż ty, Staszku?

— To wicie, ja udał głupiego, że to niby ona mnie na tego paja zaprasza. Skoczył ja i wraził cały paj w gębę.

— O-ho-ho... — śmieje się Reimer aż mu brzuch skacze, toś ty frechowny kerl. Kobitę za paja wymienił... O-ho-ho... Catherine, chodź no tu... O-ho-ho... — jeszcze paja jej użarł za dobre słowo.

Ale wyprowadzając przed dom odchodzącego Stasia, żał mu się zrobiło, że tak wykpił chłopaka. Położył mu rękę na ramieniu i zajrzał w oczy:

— Zaś, ale, Staszku, to ty wcale nie taki *dumm*. Nie patrz co się z ciebie naśmiałem. Bo ty miałeś recht. W tym kraju to pierwsza rzecz do gęby mieć coś włożyć i uszparować. Wszystko inne przyjdzie samo. Ale kto o tym nie pamięta, ten tu do niczego nie dojdzie. Zresztą rób jak chcesz, słuchaj mojej rady.

Kiedy wrócił do domu, okazało się, że rodzice nie tracili czasu. Odradzające się instynkty wprowadziły ich wpród do puszczy jako do spiżarni pełnej smakowitego mięsa. Teraz wnużali się w nią jako w czarodziejski ogród, zaplantowany przez Boga, obfity w skarby zamknięte na siedem pieczęci.

Z kraju przynieśli ze sobą kult dla ziela wszelakiego. Co kilka wsi tkwił jakiś zielarz lub zielarka, który przechowywał tradycje ciemną strużką sączące się z zarania ludzkości. Strużka zapadała się w mechach przesądów, by znowu wyzwać się na światło dzienne i błyskać czarowną najczystsza powierzchnią. Budowana empirią tysiącleci, narosła skomplikowana wiedza o ziołach. O tym, jakie mają właściwości, o tym jak należy je zbierać, suszyć i zażywać.

W każdym miesiącu zbierało się odmienne zioła. Inne zbierało się na nowiu, a inne w pełni, inne w czasie kielkowania, a inne po przekwitnięciu. Wszystkie zbierało się o rannej rosie, ale znowuż jedne były skuteczniejsze, jeśli je zbierać było na podmokłym gruncie, a inne — na wyniosłościach. Te były lepsze, rosnące w zaciemnionym miejscu, po puszczech, a inne w pełnym słońcu, na łąkach.

Do tej czarodziejskiej kadzi złożonej z tysięcy odmian, z pór roku i pór księżyca, jakości gruntów, wiatrów, temperatur i rosy, wlewały się potężne strumienie innych imponderabiliów.

Pierwszy strumień — ułomności ludzkie. Wyrażane cudacznym językiem prymitywów, którzy leczyli bliźnich na to, że „krew się zapaliła”, albo, że „robak szpik wyjada”, albo, że „serce przewróciło się”, albo że mężczyznom „macica do gardła wskoczyła” — te ułomności wlewały się do zielarskiej kadzi rurą głębokiej mądrości ludowego doświadczenia, mozołnie, ale pewnie przez tradycje pokoleń wiążącego przyczynowo łańcuch zjawisk.

Do tajemniczego świata ziół, do nieodgadnionego świata schorzeń wlewał się drugi strumień — wierzeń, zaczerpniętych z głębokiego pogaństwa, ledwo polukrowanych po wierzchu chrześcijańską terminologią. Powstawał z nich obszerny kodeks zaklęć, zamawian, warunków, przy zachowaniu których jedynie użycie danego zioła mogło być skuteczne. Należało zażywać, na przykład, o wschodzie słońca, albo zwracając się w stronę wschodnią, albo wymówiwszy taką a taką, zwykle doczepioną do terminologii katolickiej, formułkę zaklęcia.

I znowuż, tonąc w odmętach przesądów, pływały w tym wszystkim szlachetne cząstki najszczytniejszej myśli ludzkiej: prymitywne wskazania o zażywaniu lekarstw na czczo, o interwałach w przyjmowaniu lekarstw, o dozowaniu, ubrane były w malowniczy obrzęd przepisów niemal sakralnych. A przy tym wszystkim — świeciła swoje triumfy najmodniejsza metoda leczenia sugestią, albo psychoanalizą.

Zamawiaczka róży mogła formułę odziedziczoną przekazać komuś na łożu śmierci.

Do tego był przywiązany nieodłączny warunek: zamawiająca nie mogła czerpać ze swego procederu korzyści materialnej pod rygorem, że zamawianie nie będzie skuteczne.

Zamawianie wstrzymywało płynącą krew, kiedy kosa albo siekiera albo nóż sieczkarni głęboko przecięły rękę lub nogę. Zamawianiem ukrócano napady epilepsji. Brodawki tępiono przewiązywaniem ich w nasadzie czerwoną nitką. Ale nad wszystkim królowała tajemnicza władza ziół. Była nawet Matka Boska Zielna w tym polsko-katolickim politeizmie.

Gąsiorowa była kroplą tylko wypłyniętą przez ten ocean wiedzy i przesądów. Pojęcia nie miała ani o wydzieraniu ziemi pokrzyka-mandragory, do której korzenia należało uwiązać czarnego psa i popędzić go żeby targał wyrwającym sznurem o samej północy, przy czym woskiem należało zatkać uszy, bo jeśli wyrwany korzeń okazał się samcem, wydawał tak przeraźliwy jęk, że człowiek który go usłyszał stawał się obłąkany. Nie wiedziała jak warzyć lubczyki, po których zażyciu przywiązuje się ludzkie serce na dołą i niedołą. Nie знаła czarnych praktyk warzących zioła przerywające ciążę, a zupełnie w mroku wieków utonęły ponure nauki o truciznach.

Gąsiorowa gospodarowała sobie ziołami w puszczy, jasno, prosto, po Bożemu, jak ją nauczyła matka, a matkę babka. Zbierała żywokosty, zdatne na zaziębienie, suszyła ziele lipowe i dzikie maliny wywołujące poty, liśćmi arniki leczyła skaleczenia, naparstnicę zbierała „na wypadek jakby w dołku ściśnięto” to znaczy, jeśli odzywała się nerwica serca. Zbierała „dziewięciosił”, ziele mające działanie stymulatywne. Rozkładała na czystym płótnie na trawie rumianek, aby sechl w słońcu i przynosił ulgę w cierpieniach żołądka. Z soku wyciśniętego z muchomorów preparowała truciznę na muchy, które zagnieździły się od czasu ufundowania chlewu i obory w olbrzymich ilościach.

Wtedy Reimer nauczył ją szukać s n a k e r o o t (Asarum Canadiense) — ziele węzowe, które skupował dla jakichś centrali. Płacił za funt wysuszonego zioła 40 centów. Gąsiorowej przypominały się dziewczynskie czasy, kiedy z dzbanuszek wysyłała ją matka do lasu zbierać poziomki i pani Kimelmanowa płaciła jej jakieś miedziane pieniążki „co łaska”. Tu nie było łaski. Po sezonie wypłacił Reimer 37 dolarów.

Jakoś tu zewsząd „same” idą pieniądze. Zgięty kark, praca od świtu nigdy w pojęciach Gąsiorów nie były czymś pomnażającym bogactwo. Za to w starym kraju tylko się mogło przeżyć. Skoro tutaj zaś oprócz przeżycia, pęcznieją węzółki Gąsiorowej przemyślnie poutykane a to za obrazem, a to w rogu pod nogą łóżka — znaczy pieniądze przychodzą „same” one się nie należą, szczęście je przynosi.

Szybko przybywają pieniądze i szybko rodzą się cieleta i szybko tryska mleko i szybko sypią się niesione jaja i szybko narasta na świniakach warstwa sadła i szybko wychyla się z zie-

mi zielona nać, ale czyż jest coś szybszego, coś niedościglejszego na świecie, niż marzenia ludzkie?

Marzenia, które wcielają się w sądach ludzkości albo jako rojenia o skarbach Szamtu, o lampie Aladyna, o czapce-niewidce, o bożkach domowych znoszących wszelkie dobro, o olbrzymach wyzwolonych z butelki i pracujących na człowieka, o kurach znoszących złote jaja, o obietnicach wyrwanych złotej rybce załapanej w sieci, marzenia ucieleśniające się w wierze w bogi dobrotliwe, boginki miękko-serce, półbogów, spieszących z pomocą, dobrotliwych świętych prowadzących w niebie resorty poszczególnych „welfarów” — teraz w wyobraźni Gąsiorów uosabiają się jako cztery pary wołowych nóg. Po nocach ich przesładuje skrzyp jarzma nałożonych na potężne karki, wizja siły pierwotnej zaprzężonej do służby człowieka.

Obaj Gąsiorowie poszli kupować woły. Kupili dwa za 40 dolarów. Tyle prawie ile matka wzięła za ziele węzowe.

Przyprowadzili je, oganiając zielonymi gałęziami od much. Woły szły ciężko łapiąc nogami, przeżuując żukę. Wolny pochód szedł tropą zarosłą wyciętą ongi przez geometrów. To nie był już pochód pierwszy ludzi przemyskających się z lękiem, objuczonych workiem maki z Reimerowej łaski. To szła — siła.

Umieścili woły pod prowizorycznym przykryciem na palach, wyszli ranem rodziną sycić się dostatkiem: kury, dwie krowy, dwa cielaki, dwie świni, dwa woły.

Zasiadł Gąsior pod ścianą, narządza ze sznurów uprzęż. Dobiegła od obejścia Gąsiorowa, szyje naszelniki z płótna, upycha siano, żeby się woły nie otarły. Stasio struga z wysuszonego już dawno drzewa jarzmo. W najbliższych dniach pójdą z siekierami poszerzać te dwanaście mil pieszej ścieżki. Zaprzęgają sianie i powleką aż do Reimera.

Kiedy tak rodzina pracuje — śpiewają. Te śpiewanie przy pracy, to nie strojna pieśń dziewcząt, które idą w pole. Śpiewanie składa się z pomruków, recitatywów Józefowej, pogwizdywań Staszka, jakichś leitmotywów Gąsiora, jawiących się i ginących.

Jasno jest na polanie leśnej, gdakliwie, chrząkliwie, mykliwie. Ziemiaki pyrczą w garnku, i kto by Bożym uchem słuchał tę pieśń, zrozumiałby hymn śpiewany przyszłej drodze w świat:

O woły moje woły... Ty Łaciaty i ty Krasy... O woły moje woły... Narządźmy wam jarzmo na znak władzy ludzkiej i miłościwej opieki człowieka. Będziemy was żywić zażywnymi otrąbami, a po nocach puszczać na rośne łąki. Będziecie w dostatku, chronione od deszczu i od dzikiego zwierza.

Przerąbamy wam, woły nasze, ścieżkę zieloną, ścieżkę zarosłą. Wynurzy się ścieżka zarosła do drogi wielkiej żelazostem chrześnej. O woły moje woły... Wypłyniemy naszym trudem cierpliwym w świat, huczący świat, w którym płynie rzeka dziejów.

O woły moje, woły... Trud nasz cierpliwy samotny zmienia powierzchnię ziemi, wzbiera miastami, okrętami idącymi, gdzie słońce nie zachodzi. Z naszego cierpliwego trudu rodzą się sprawy niedościgłe naszemu rozumowi, jak zorze, jak błyskawice na niebie.

Jesteśmy wy i my, o woły moje, jedną pieśnią świata. W trudzie naszym jest szczęśliwy blask. Z trudem naszym idziemy do braci naszych — żywiołów ziemi: do ognia czyszczącego, do wody pojącej, do wiatru chłodzącego, do grzejącego słońca, do przemyskającego zwierza, do pachnącego ziela.

O woły moje, woły... W trudzie naszym jesteśmy jedno z mądrością ludzką, z geniuszem ludzkim. Jesteśmy pracownikami laboratoriów, wymierzamy kształt powstających form, wy czarujemy tajemnice w zrozumiałe prawdy.

O woły moje, woły — prasiło, prapraco, pratrudzie...

Teraz przydało się nacięte przed rokiem, przeszło przez lato drzewo. Zimą rolnik nie ma do roboty, a wszak za rolników poczęli się już uważać. Pół zimy wozili te sęgi, otrzymali za to 41 dolarów. Nie bogato. Ale właśnie w Kanadzie był jeden z kolejnych kryzysów i w Winnipeg „siedzieli ludzie jak komary w jamie”.

Od stycznia poczęli nowe drzewo rąbać, aby przeszło do przyszłorocznej zwózki. Radosna to robota, bo to zarazem — karczunek. Z wołami idzie rażniej. Stasio napytał gdzieś koło stacji linę porzuconą.

— Czyja to lina?

— Jeden kontraktor kiedyś tu pracował i porzucił — mówi obojętnie Reimer.

Kanada przelewa się bogactwem, ale Gąsiorowie, bywało w starym kraju rozcinali zapalkę na dwie części, aby jedną zapalką można dwa razy było zapalić. Gąsiorowie wnieśli do tego nie tylko pracę ale i zaciętką oszczędność.

Teraz Gąsior podcina korzenie, Stasio kieruje parą wołów, ciągnących linę uwiązaną wysoko. A kiedy kładzie się drzewo, które mężczyźni przepiłowują na sztuki, Gąsiorowa obcina i odciąga boczne gałęzie. Wykrot nasyciony żywicą będzie spalony i jeszcze bardziej wzbogaci dziewiczą ziemię. Polana się poszerza. Gąsior już jest panem na pięciu akrach wykarczowanej ziemi. Kogut przedświtami coraz triumfalniej rzuca puszczy osiadłe wyzwanie.

Póki dłużej tak a owak, to ta jeszcze było niczego. Ziemia, wiadomo — dobra do pory. Kiedy na niej czolgają się mrówki ludzkie, żyją je po spole ze wszystkim co na niej rośnie i co po niej chodzi.

Ziemia jest jak dziewczyna. Póki wolna — cieszy oko i uśmiechnie się i chętnie usłuży. Ożeń się z tą dziewczyną, niech-no stanie się kobietą, która zaszła w ciążę, pracować na cię będzie człowieku, ale już tam o uśmiechach nie ma mowy. Tylko ha-ówka, byle z czasem nadażyć.

Niedy polana przestała być polaną, wypalono wykroty i stała martwy ugór, stało się jakby ci Robinsoni, żyjący niefrasobliwie z bandoskich dorobków skończyli konkury i wzięli ślub. Ślub — z ziemią. Oj, będzie odtąd to obnażone pole ciągnąć każdą kroplę potu, każdy odłożony cent, ciągnąć a wymagać, a ziarna na siew, a pługa, a brony, a młynka. A potem... może... młóckarki? Droga już teraz jasna: droga nieskończonej ofiary aż do wyżyłowanego życia, aż po śmierć. Nikt tej ofiary granic nie zakreślił: ani ksiądz na kazaniu, ani polityk w programie stronnictwa, tylko ona i ona jedynie — ziemia. A żądania jej są bez końca.

Człowiek w baranicy, który ładował w Quebec z prawami, których nie potrafiłby opowiedzieć, to prawo znał. Wrosło w nim było równie silne drugie niepisane prawo: przedłużania gatunku.

W Whipsnade, słynnym otwartym Zoo pokazują kopiec wysoki na kilka jardów usypany z zeschniętych listowia, gałązek i szpilek jodłowych przez indyka australijskiego. Indyk pracuje kilka miesięcy nad zbudowaniem tej piramidy, rozmieszcza w niej dziury jednakowej wielkości, przyprowadza małżonkę, każe do każdej dziury złożyć po jajku, zasklepia otwór, po czym nieustannie pilnuje temperatury. Rano i wieczorem odsłania każdą z otworów, wsuwa weń torbę zwisającą mu u szyi — naturalny termostat i zależnie od temperatury powiększa ilość ściółki na otworze lub zmniejsza.

Jak termostaty niekoniecznie są wykonywane w laboratoriach tak prawa niekoniecznie są pisane w Ottawie.

Puszcza, w której żyli Gąsiorowie, budziła się do wiosny. Ledwo puściły lody ścinające leśne kahuze, już w śnieżnych jeszcze okiściach buzować się poczęło miłosne życie.

Jeszcze za czarnej nocy rozlegał się na dalekich zapadłych w lasy mokradłach krzyk żurawia-strażnika. Według wierzeń myśliwów ptak, któremu wyznaczono dyżur, stoi przez całą noc obyczajem żurawim na jednej nodze, w drugiej jednak trzymając kamień, który mu nie pozwala zasnąć. Teraz — podejmuje stado do dalszego lotu na północ.

Kiedy już klangor żurawi dzwoni w niebie i klucz ich płynie uformowany w kształt drewnianego klucza z drewnianym bełtem, którego do zamykania log-cabin przed wizytą rosomaka używa traper kanadyjski — drozd, organista leśny wyskoczył na czubek najwyższego chojara i zalewa puszcę porannym hejnałem.

Na ten apel chowa się noc Borgiów, noc dzikiego zwierza, wstaje świt, w którym jeszcze pod balkonem Capuletich śpiewa Romeo. Drobiazg leśny się budzi i puszyste okiście śniegu ku-

rzawia miłosnym kotłowaniem. Spazm, poczęty przez kanadyjską czarnogłową sikorkę (*Parus atricapillus*) idzie coraz szerszym zasięgiem, jak z zapalki idzie pożar po puszczy. Drobiazg ptasi, którym bramowane są brzegi polan, szaleje. Minęła groźna noc i jest czas na gody.

Jack-rabbit, pomykliwy zajęć kanadyjski, wypasiony na doskonałościach ziemi dziewiczej, nie ścigany gończymi ani ogarami jak jego europejski brat, nie brany w kotły przez zaciskające się koło myśliwych, tym niemniej nauczony moresu przez lisa, kunę, rysia, wilka, sowę i jastrzębia, młkliwy tłusty filister tający po zarośniętych załomkach swoje smaczne ciało, nagle pod wiosnę dostawał miłosnego szału. I jak spokojny buchalter albo urzędnik pocztowy z nagłą na wiosnę nakłada światoburczy jaskrawy krawat, bierze gitarę i wykrada się w godzinach urzędowych z biura, tak Jack-rabbit nagle we wstającym dniu w puszczy stawał słupka i rzucał w przestrzeń zabawne podtatusiałe i pojękliwe wołania.

Kiedy indziej by się mu to nie upiekło, ale teraz wszystko było głuche na zew żołądka, żadne miłości.

W dzień słońce nakłada tłumik na ten niesamowity wrzask. Chyba nieliczne leśne wróble, hołota, gzią się po krzakach, ale bo też to przybłądy z osiedli ludzkich nieświadome puszczańskiej etykiety. Dzieciol błękitny odmachnął się na ogonie i huknął w korę. Posuwa się tak ku górze i kuje z wyraźną dezaprobatą na wróble złe manieri.

Ale potem znowu schodzi noc i puszcza, nim kos obwieści zmianę dekoracji, nim wstanie ptasia operetka, rozstawia kulisy szekspirowskie. Z jej głębin idzie wilcze wycie, wycie, poczynające się nisko przy ziemi, wibrujące coraz wyżej, idące niebawem wierzchołkami drzew. A potem postęk i cisza. I znowu postęk i głuchy niedźwiedźny mek łosia. Mek idzie po niskich najniższych nutach i ma w sobie takie napięcie żądy, że las przycicha na chwilę. Potem zaraz huka urągliwie puszczyk — potwór ptasi z pędzlami na uszach. Pomiędzy odwiecznymi drzewami zbrodnia i miłość.

Młody Gąsior był częścią tego świata, który wzbierał sokami na wiosnę. Jak szalone darły się poprzez białą skorupę przebiśniegi, pączki nabuchały na drzewach. Staszka opanowywały ciągotki tak wielkie, że z łałem przypominał szczęście sprzedane za misę soczewicy tzn. za ćwierć paja. Ale i w starym pod ten wiosenny dech ruszała się i buzowała krew, tylko obiekt jego pożądań zwracał się w innym kierunku: wśród całej zieleni, przepychu wiosennego, feerii, leżało jego karczowisko nagie, martwe, wywrócone do świata calizną.

Odkąd wykarczował pole, był nieswój. Stało przed nim zadanie nie żeby przeżyć, ale żeby tworzyć. Ziemia czekała, a całym jego inwentarzem była siekiera i łopata. Naokoło jego wykarczowanego poletka ścisnął się las ogromną siłą zarostu.

Kiedys, kiedy przyjechali na tę drewnianą stacyjkę Reimera, widzieli stary pług zarzucony w burzanach. Nie zrobiło to spe-

cialnego wrażenia na człowieku, który oglądał się za robotą „na pańskim”, którego koncepcją życiową było — „przeżyć”.

Teraz — z naglą stanął przed tym plugiem porażony wizją. Patrząc w zieloną ścianę puszczy, rozumiał, że był tu już przed nim ktoś, kto z tą puszczą walczył.

A więc — były widocznie na tej ziemi nawroty. Poprzednie inicjatywy, zamulone, zarastane przez puszcę. Nie od razu podaje się ziemia bizona, pożarów, zarostu stepowego. Bije w nią ludzka fala — fala za falą — i odpływa?

— Byli tacy co próbowali — mówi Reimer-Ben-Akiba — chcesz to żelastwo? To bierz, tylko więcej tam rdzy jak żelaza.

Przywiózł-plug. Uproszczona jego linia układała się w kształt jednego z najpierwszych hieroglifów, jakie odcyfrował Champollion. Szacowny kontur... Gąsior o hieroglifach nie wiedział ale kształt pluga wciągał wszystkimi fibrami duszy.

Narychtował jarzma na wołach, przeżegnał się szerokim znakiem Krzyża Świętego. Stasio prowadził woły, bo nim się nie zeznali — oracz husiatyński z manitobskim wołem — nie szło łatwo. Gąsior im rzucał uświęcone „Wišta”, „hajta”, „ksob” — tak przyrosło w jego rozumieniu do wołowego jestestwa, jak przyrodzony jest ryk albo żwaczka — ale na bydłęta to nie działało. Dopieroż przypomniał pouczenia sprzedającego woły farmera i huknął „Je” (w prawo) i „Ha” (w lewo). Woły posłuchały i takie były pierwsze słowa angielskie Gąsiora i taka pierwsza lekcja języka tego kraju.

Obłoki jasne i skłębione zeszły nisko na polanę. Wiatr przewiewał spoconą koszulę. Czarne skiby odwalaty się bruzda za bruzdą. Było o krok od domu, a przecież Gąsiorowa wyniosła mężczyznom „w pole” obiad. Podług zwyczaju. Na dobry znak, że tu pola bezkresne wydłużają się w puszcę, że stanie na nich zastęp oraczy i że trzeba będzie im obiad donosić.

Kiedy wieczorem las zabierał się do swych nocnych brewerii, pole Gąsiorowe w świetle księżycowym leżało nie jak martwizna w buchającym życiu. Miało w nie paść ziarno — ziarno nowego porządku i nowych praw.

Melchior WANKOWICZ

(Dokończenie nastąpi)

KONTAKTE

MIESIĘCZNE SPRAWOZDANIA Z KONGRESU
WOLNOŚCI KULTURY W NIEMCZACH

Bezplatna wysyłka

Berlin-Zehlendorf, Schmarjestrasse 4

WYDAWNICTWA

OFICYNY POETÓW I MALARZY

Bronisław Przyłuski. — **A K O R D**. Poezje.

Z ilustracjami Aleksandra Wernera.

□

Federico Garcia Lorca. — **W I E R S Z E**

Tłumaczył Jan Winczakiewicz.

□

Tymon Terlecki. — **P A R Y Ż**

Z rysunkami Mariana Bohusza-Szyzki.

□

W I E R S Z E I P I E Ś N I P O W S T A N I A W A R S Z A W S K I E G O

Opracował Andrzej Pomian.

□

Wszystkie tomiki w pięknym wydaniu bibliofilskim, na specjalnym papierze, tłoczone na ręcznej prasie oraz numerowane.

Cena tomiku fr. 450.—

Dostarcza na zamówienie:

“ LIBELLA ”

SKŁADNICA KSIĄŻKI POLSKIEJ

12, rue St-Louis-en-l'Île — PARIS-IV

Tel. DANTON 51-09

POLSKIE SŁOWO NA OBCYZNIE

Największa na emigracji

KSIEGARNIA
POLSKA

ORBIS

38, Knightsbridge, S.W.1.
LONDON, Gt. Britain

WSZELKIE NOWOŚCI WYDAWNICZE
W JĘZYKU POLSKIM

Wydane gdziekolwiek na świecie
Na składzie zawsze ponad 3.000 tytułów

KSIAŻKI ANGIELSKIE:

Polonica, zagadnienia środkowo-wschodnio-europejskie,
współczesne problemy wojny i pokoju.

Polecamy również:

POLSKIE PŁYTY PATEFONOWE

własnych nagrań.

Płyty wysyłamy zagranicę w przesyłkach
specjalnie opakowanych i ubezpieczonych.

KATALOG KSIĄŻEK I PŁYT NA ŻĄDANIE BEZPŁATNIE.

Film

*Skrada się i dusi
wiatr firanki targa
...na płóciennych ustach
fotouśmiech zadrgał...*

*Galopują konie
w lustro opalowe
słońce, słońce, sen
figury i błyski*

*fikcja się rozrasta
i po serce sięga...*

*baloniki
race
fontanny
feretrony
krzyżówki i linie
karuzela zdarzeń
fabryka marzenia
podróże fantazji po srebrnej krainie.*

*Kobiety jakich nie ma!
Ludzie biali i czarni
mikroby tańczą dżiga
a ludzie dobrzy lub tylko źli.*

*W czarodziejskiej latarni
magiczny przemija sen.*

*Straszne jest mieszkanie
i własna dusza
po tej brylantowej
rewii Judasza.*

*Ekran kłamie
techniką, nauką,
oblędny motyl usiadł
na reklamie
oblakany skrzypek
po gwiazdach tnie.*

Ale czy film jest sztuką?

Tak?

Nie?



*Dawno już człowiek wierzył w swoje cuda
i tam jest filmu pra-początek,
a pijak to jest człowiek, co wybrał uludę
i w cudze treści swój zakłada wątek.*

*O, mój święty Franciszku, twe małe jasełka
maszerują teraz w blasku reflektorów;
oltarz się zmienił w maszynę, wyszły lalki z pudełek
hymn strzelisty się zmieni w złoty bal potworów.*

*Teatr powstał z jarmarku i kuglarzy,
szopką wędrował, aż do miana sztuki —
nie spoczął człowiek, gdyż wciąż jeszcze marzy.
jeszcze wierzył, że zdola sam przed sobą uciec.*

*Poezja, nim w księgi została zaklęta,
nosiła się dziadowsko ustna i bajeczna,
śpiewały ją pastuchy, kwiliły gęśle,
mali ludzie czuli — coś w tym jest —
jest wieczna.*

*Muzyka? Mój Bachu, weź to ukelele,
spróbuj jednej struny dla swego geniusza,
zagraj Sebastianie struną po kościele...
(Bach drwał Panaboży struny nie namusza).*

*Pradziad spojrział w strumień i zobaczył posąg,
(miał już na ramieniu siekierę brązową)
przeraził się rzeźby dziad, stojący boso,
a wnuk już wyrzezał Józefa brzoźowo.*



*Z jarmarku,
Spod lasu,
poprzez gusła, głędy,
rozpalona w stosach
ciałami czarownic
rosła RZECZ na świecie do kształtu Legendy.
Zapala się rojem
krocie złotych ognisk.*

*(Doktor Flamming
znalazł ducha*

w pajęczynie Baby Jagi —
doktor Flaming Jagi słucha
pajęczynę swą rozpina
nad naszym spokojnym snem
czuwa penicylina)

Na burgundzkich odpustach
jakiś oszust sprytny
(gdy świętego Gwalberta w pogodę wypadło)
rozpina pod niebem francusko-błękitnym
zwykłe prześcieradło.

Zbierają się gapie...
Comman sava?
Cóż to będzie za zabawa?
Kuglarz?
Magik?
Lekarz?
Tragik?
Birbant?
Aktor?
Silacz?
Faktor?
Dureń?
Szalbierz?
Śpiewak?
Balbierz?
Comman sava?

Podeptana, podeptana była trawa.

Człowiek skrzynkę kręci
prześcieradło życiem chlusta
chłopi życiem wniebowzięci
otwierają usta.

Myśli siedzą w prześcieradle!
Wszystko leci, jak w zwierciadle:
kangur skacze...
kogoś gonią...
tkają tkacze...
domy ploną...
Dziw nad dziwy!
Czar prawdziwy...
Czar!

W nędzy, cicho umierali
dwa bracia filmowi...

Sztuką jest film
geniuszem łączy
rzeźbę
poezję
malarstwo
teatr
muzykę wreszcie
spaja je, łączy
i w przestrzeń rzuca.

Chwytaście piłki,
już myśleć więcej nie trzeba
artyści zabalsamowani
w emulsję taśmy filmowej
oddają wam niebo,
byście nim przystroili swój ubogi świat.

Winda

Z cyklu „Miasto”.

1.

Windo, nowoczesno karoco
neonowa rakieto rozłańczonego miasta
gondolo dzisiejszego człowieka
tobą otoczony — ad astra
samotnik w niebo ucieka.

Windo — marzenie o lotnictwie
matka latawca i balonu córa
ambicjo małych o pływaniu
górką.

2.

poptyniemy piętami
zakochane ptaki
parami
jak anioły
przefruniemy sufity —
będiesz błękitna — będę błękitny,
spotkamy się szczytem

spotkamy się ustami
na piętrze szesnastym
neonowymi pasmami
ślizgać się nad miastem

winda jest smukła
w pędzie
dzielimy czas na włókna
w błękicie
snujemy przędzę

modro od twoich oczów
od pędu radośnie
w piersiach gra nowoczesność
zamknięci w tej pozytywce
dźwięczymy coraz głośniej
anioty
ikary
winda jest naszym kościołem
gdzie cię poślubiłam bez miary.

3.

Windo — złudzenie bezkresu
naręczono zaręczona z wiatrem
niedokończoną śpiewana pieśnią
— bo parter.

Koncert

(reminiscencje)

I.

Odpinali koturny.
Smukły Amagos, przewodnik chóru,
zapracowany wieniec dnia dzisiejszego,
umieścił niedbale na głowie posągu
Apollina.
Zazdrościli mu starzy histrioni
w strasznych maskach.

Tłum klaskał, klaskał...
Mała dziewczynka z orszaku Hestery
szukała Amagosa.

— Tu jestem, Sepio.
— Bilet od naszej pani...
— Na Apollina... coś pisze?
— Nie wiem, panie.
— Zachowaj tę drahmę.

Histrioni zrzedzą,
Amagos czyta:

„Uwieńczonemu Hestera chce
róż do wienca dodać
w alei cyprysów
o księżycu
z pękiem irysów...”

Amagos teraz jest triumfátorem
wybiega —
tłum opuszcza amfiteatr.
Jakaś stara kobieta
prowadzi kozę,
przyszła z nią na spektakl.
Uśmiecha się kobieta do wybrańca Olimpu
„Szczęśliwy jesteś i piękny, Amagosie,
pokolenia cię będą sławić”.
Zwiędte są piersi kobiety z kozą,
boska jest Hestera, córka Noregesa.

II.

Dobrze, że usiadłeś blisko, człowieku
o czarnej skórze.
Zdaje mi się, że słyszę twoje serce
połączone z chórem,
na darmowym koncercie.

Czarny bracie, którego nie rzeźbią rzeźbiarze,
którym pogardza biała suka —
czemu z uśmiechem na twarzy
tej dziwnej muzyki słuchasz?

Dobry chłopcze, kłam ta
muzyka zawiera — fałszywy jest fortepian...
Czemu zdradziłeś tam-tam,
wodzu piękny — w tanim kapeluszu?

Ogłuchłeś i płynię przez ciebie rzeka
zapomnienia,
rzeka, tocząca się afrykańskim buszem.

Czemu siedzisz wsluchany
w świecidełka obce, w zakłete fortepianem,
pogromco lwa
i słoniu?
To twój pogrzeb grają na trombonach.

Aida była niewolnicą,
ty ukolysany księżycem,
słuchasz jej skargi na włoskiej operze.
Gardzę twoim uniesieniem,
kocham cię jako zwierzę,
które jest równe zwierzęciu.

Usiadłeś, czarny bracie, w tłumie,
muzyka cię cieszy jak corrida,
afrykański, niegdyś, byku.
Siedzimy tu razem, czy ty to zrozumiesz?
Ty obok mnie,
a ja obok Żyda,
wolni wśród parkowych trawników
zastuchani...
Za nami miasto opada fontanną
i chce mi się płakać nad nami
przekupionymi muzyką.

III.

Inny tam był koncert
przed bramą.
Może nawet to samo,
to samo może nawet grali.
Drewniane nogi wybijały takt,
Grali grajkowie niemiłosierni
i kaszlał tłum,
i płakał tłum.
Nad tłumem huczały werble.

Powiedz bracie, gdzie piękno znajdziesz:
czy w Ameryce
czy w ghetcie
czy w barakach Buchenwaldu?
Prawda w jakiej jest muzyce?
I jakiego igraszką jesteście żartu?
Powiedz mi, czarny bracie,
poco siedzimy w Grand Parku?

Z najnowszej poezji litewskiej

OD REDAKCJI

Tłumacz niniejszych wierszy Juozas Kekstas jest czołowym przedstawicielem nowej generacji poetów litewskich, dojrzałych w ostatnich latach międzywojnia, na wojnie i na wygnaniu. Obok niego do tej grupy należą: Kazys Bradunas, Alfonsas Nyka Niliunas, Henrikas Nagys, Vytautas Macernis i Vladas Slaitas. Poezje ich cechuje głęboki dramatyzm, spowodowany utratą Ojczyzny oraz ból ogólnoludzki, o częstym zabarwieniu metafizycznym. Opozycyjny stosunek do poprzedniego („niepodległościowego”) pokolenia, opawanego przez tzw. „realistów słowa” (swego rodzaju litewskich „Skamandrytów”, o ograniczonym zasięgu ideowym i formalnym) oraz generacyjna solidarność — nakazały tym poetom konieczność skupienia się w odrębną grupę i zmanifestowania swego poglądu na ubiegłą i nową rzeczywistość narodową i twórczą. Dobrym wyrazem ich dążeń jest piękna antologia poetycka, wydana w r. 1951 w St. Zjednoczonych pod znamienym tytułem — „ZIEMIA” („ZEME”).

Pragnienie

Podaj mi studziennej, zimnej wody,
Z ciemnej sieni ojców moich —
W dusznej drodze będzie lżej.
I chwyciłem pełen dzban.
I prysnęły w ręce, w garście
Łzy i krew.

Kazys BRADUNAS

Dzieciństwo

Ktoś mnie przez sen zawołał — Powstań!
Wtedy znalazłem w domu wiosnę, deszcz i wiatr.
Dziś czuję jeszcze większy głód;
Z pól idzie podmuch wiosny,

*Lecz ty nie wstajesz.
Tak rozpoczynam pieśń.*

Alfonsas Nyka NILIUNAS

Dęby

*One idą: wielki i posępny tłum.
Powolnie chwieją się ciężkie szczyty
I jak werbel daleki, jak grom
Bije echo pieśni ponurej:*

— Niesiemy wam niebo —
— Niesiemy wam krwawe niebo —
— Niesiemy umarte niebo —
— Niesiemy wam zmierzch — — —

*Ogromne i ciemne ręce
Konwulsją rannych konarów objęły
Stęzałą chmurę:
Szeroki i czarny grób.*

*One idą. Zachód słońca niosą.
Powolnie chwieje się wielki i posępny tłum.*

Henrikas NAGYS

Arka Przymierza

*Na każdym dachu tańczył księżyc,
Na rogu każdej ulicy na nas stulonych
Czekał księżyc,
I każde nasze słowo chwytal księżyc,
I każde westchnienie,
I każdą pieszczotę,
I każdy najdrobniejszy ruch naszych rąk
Zebral księżyc.
Och, dlaczegośmy wtedy nie umarli,
Bo po tym życie już nigdy nie było piękniejsze,
Moja umarła miłości.*

*I kiedy nas już nie będzie,
Kiedy przeżyje nas miejskiej ulicy róg,
I kiedy jego nie będzie,
Tego małego, miłego rogu,*

*Będzie trwał księżyc
I w wiecznej Arce Przymierza będzie on szukał
Naszej miłości wdzięku.*

Vladas SLAITAS

Człowiek

*Tu przyszedł człowiek, który wczoraj umarł,
Dlatego tyle ziemi w jego twarzy,
A strasznym i tragicznym jego wzrokiem tak ciężko płynie
[myśl.]*

*Z ostatniej kamionetki, jadącej z nocy
W świt,
Na bruk rzucony
Nagle powstał
I szedł niebieski w tramwajowym świetle,
Nierozumnie i rzewnie szalony.*

*Do zbliżającego się nieba wyteżył wzrok,
Chcąc uchwycić ostatnią spadającą gwiazdę.*

Juozas KEKSTAS

Wschód ziemi

*Chusta — Plama na czarnym krzaku.
U stóp — w powietrze wysadzone szyny.*

*Dlaczego stoję w białym cieniu
Nierealnego gmachu?
Od śmiechu słońca bledną place
I lecą w górę deszcze fontann,
Płynę ku wyspie traw niebieskich,
Dotknąwszy wzrokiem głębin nieba.*

*Wśród jezior małe, drobne, góry
Przysiadły, patrząc na mój lot —*

*Gdy wzrok rzuciłem w dół, ujrzałem
Krwawiącą ziemi wschód.*

Juozas KEKSTAS

Tłumaczył J. KEKSTAS

Archiwum polityczne

Polityczne konsekwencje cech narodowych

Poniżej zamieszczamy artykuł Dr J. Kolaja. Nie we wszystkim zgadzamy się z autorem, sądzymy jednak, że jest rzeczą zarówno interesującą jak i pożyteczną spojrzeć na problem stosunków polsko-czeskich w ujęciu przedstawiciela młodego, czechosłowackiego pokolenia.

Gdy T. G. Masaryk wyraził przekonanie, że wolna Czechosłowacja nie może istnieć bez wolnej Polski i przeciwnie, wolna Polska bez wolnej Czechosłowacji — nie zdawał sobie sprawy, że powiedzeniem tym nakreślił ramy przyszłych nieszczęść obu narodów.

W 1938 r. Czechosłowacja, a następnie Polska w r. 1939 — uległy przemocy najeźdźcy. Ten sam los spotkał oba kraje również i po roku 1945 z tą tylko różnicą, że kolejność została odwrócona. Nic więc dziwnego, że obcy, studiujący historię środkowej Europy, często wyrażają zdziwienie, że te oba kraje nie zdołały wypracować wspólnej polityki obronnej.

Tezą tego artykułu jest pogląd, że czynnikiem utrudniającym porozumienie, nie był problem spornego okręgu cieszyńskiego, lecz raczej różnice wypływające z odmiennych charakterów narodowych, oraz różnego ustosunkowania się Polaków i Czechów do Rosji.

Wydarzenia polityczne w okresie od 1848 do 1948 — tj. od pierwszego powszechnego słowiańskiego kongresu w Pradze, aż po inspirowany przez Moskwę komunistyczny zamach stanu — są na ogół dobrze znane. Przejdźmy zatem bezpośrednio do analizy czeskiego i polskiego charakteru narodowego.

Pojęcie „charakteru narodowego”, używane zazwyczaj przez pisarzy obu narodów składa się z elementów opisowych i normatywnych. Naszym jednak celem posłuży definicja, iż charak-

ter narodowy jest zbiorem wrodzonych cech odróżniających jedną grupę narodowościową od drugiej.

W moim przekonaniu najważniejszymi czynnikami formującymi charakter narodowy są doświadczenia historyczne i przeżycia, które są udziałem danego narodu. Toteż nie mogę w pełni zgodzić się ze zdaniem E. Chalupnego, który, jako zasadnicze w czeskim charakterze narodowym, podkreśla cechy defensywne, a źródeł ich dopatruje się w górzystym położeniu Czechosłowacji. W przeciwieństwie do Czechów, żyjący na nizinach Węgrzy odznaczają się dynamiczną ekspansją. Chalupny znalazłby zapewne analogiczne wytłumaczenie dla charakterologicznych cech Polaków. A przecież w epoce Husa, Czesi pod wpływem fanatyzmu religijnego byli zdolni zarówno do ekspansji jak i agresji.

Także i inna teza prof. Chalupnego nie wytrzymuje krytyki. Twierdzi on mianowicie, że język jest jedyną cechą charakterystyczną narodowości. Jeżeli bowiem wyłączy się różnice językowe — kulturę europejską uznać można za międzynarodową. Analizując właściwości języka czeskiego, Chalupny dochodzi do wniosku, że akcent na pierwszej zgłosce w czeskim wskazuje na „przewidywanie” i „inicjatywę” — jako dwa zasadnicze elementy czeskiego charakteru narodowego. Nie zmienia to jednak faktu, że wiele innych narodów mówiących językami, których akcent nie pada na pierwszą zgłoskę — odznacza się znacznie większą inicjatywą niż Czesi. Gdyby zresztą przyjąć język jako jedyny wskaźnik — jak w takim wypadku należało by wytłumaczyć różnice pomiędzy Niemcami a Szwajcarami, lub Francuzami i Belgami?

Rozpatrując przeżycia historyczne nowoczesnych Czech, wydaje mi się, że źródeł narodowego czeskiego charakteru, w jego obecnej formie, szukać należy w odrodzeniu narodowym z pierwszej połowy minionego stulecia. W owym czasie Czesi stanowili prawdziwą grupę mniejszościową, walczącą o zachowanie swojego języka. Czesi ówczesni przerażeni byli losem Łużyczan, którzy poczęli tonąć w „morzu niemieckim”. Będąc narodem małym, Czesi postępowali ostrożnie, aby uniknąć niepotrzebnych strat. Stąd ich mozolne podchodzenie do kolejnych zagadnień i nieufność do planów na szerszą skalę. A jednak i Czechom nie brakło romantycznego „kompleksu”. W swoim poczuciu małego narodu patrzyli na Rosję jako na wielkiego patrona i protektora. Mimo, że ów „kompleks starszego słowiańskiego brata” poddał żywej krytyce pisarze tej miary co T. G. Masaryk i Havlíček — do dziś duży odłam społeczeństwa czeskiego nie wyżył się tego nastawienia. Na powyższym przykładzie widzimy, że powszechnie przyjęte definicje Polaków jako „romantyków”, a Czechów jako „realistów” można przyjąć jedynie z poważnymi zastrzeżeniami.

Jeżeli teraz przejdziemy do rozpatrzenia sytuacji narodu polskiego na przestrzeni ostatniego stulecia, musi uderzyć nas, jak różne były kierunki historycznego rozwoju obu narodów

w tym okresie. Wiek 19 był epoką klęski Polaków i znaczył linię narodowego upadku, podczas gdy Czesi w tym samym okresie powstawali wolno do nowego, narodowego życia. Mimo klęsk Polska była jeszcze ciągle wielkim państwem, choćby tylko w duszy i w pamięci swoich obywateli. Polacy nie byli nieznaną grupą mniejszościową. Przedstawiciele polskiej kultury na emigracji tworzyli dzieła literackie o europejskiej i światowej sławie, a polscy przywódcy polityczni skupiali uwagę salonów europejskich na sprawie polskiej. Pomni na swoją rolę wielkiego europejskiego mocarstwa, Polacy usiłowali odzyskać niepodległość na drodze zbrojnej, rewolucyjnej walki o „wszystko, lub nic”. Tego typu przeżycia zostawiły głęboki ślad na psychice narodowej, umacniając poczucie własnej odrębności i gotowość podjęcia każdego ryzyka, bez względu na wielkość ofiar. Odwrotnie było z Czechami, których polityczny i kulturalny horyzont tchnął w owych czasach głęboką prowincja.

Niezależnie od wydarzeń historycznych 19-go wieku — różnice między Polakami, a Czechami są również wynikiem odmiennego charakteru społecznego przywódców obu narodów. Prof. Rose zwrócił uwagę na fakt, że polska inteligencja rekrutowała się głównie z warstwy szlacheckiej, podczas gdy czeska wyrosła ze stanu chłopskiego. Rozwój przemysłowy i ekonomiczna rywalizacja z Niemcami wprowadziły do życia czeskiego nowy element — kapitalizm. Natomiast polska elita społeczna pozostawała w większym stopniu pod wpływem kultury francuskiej i przez to stosowała inną — być może bardziej feudalną — skalę wartości.

Inteligencja czeska miała niepomierne większą styczność z masami, niż inteligencja polska. Jest rzeczą wysoce charakterystyczną, że czeski socjolog określa inteligencję (czeską) jako grupę „rozszalaną” — należącą w większym lub mniejszym stopniu do wszystkich warstw społecznych. Natomiast jego polski kolega, ukuł specjalny termin wyodrębniający inteligencję (polską) jako „ghetto intelektualistów”.

Prof. Roman Dyboski określa w następujący sposób różnice pomiędzy polskimi a czeskimi przedstawicielami warstw przodujących:

„Polacy — od wieków obrońcy Europy przed Islamem siłą rzeczy nabyli cech impulsywnej gotowości do bezinteresownych poświęceń i heroicznych czynów. Lecz równocześnie wykazują pewną niechęć do powolnego, żmudnego wysiłku i cierpliwego realizmu. Romantyczny, waleczny szlachcic-ziemianin (z jakich polska elita w głównej mierze się składała) stał się symbolem narodowego bohatera i wzorem doskonałości dla ogółu.

Natomiast młode czeskie pokolenie jest społecznością na wskroś demokratyczną. Czesi posiadają bezcenne zalety. Pracowitość, wytrwałość i oszczędność cechują ten naród rolników i rzemieślników. Ludziom przywykłym do tradycji szlachecko-

ziemianskiej łatwo może się wydać, iż Czechom nie dostaje pewnego wdzięku i postawy, cenionej u Polaków”.

Zastanówmy się teraz z kolei nad wydarzeniami dziejowymi pierwszej wojny światowej z następującym po niej dwudziestolecie niepodległego bytu obu narodów i zadajmy sobie pytanie jaki wpływ wywarły te przeżycia na charaktery narodowe czeski i polski? Wydaje mi się, że okres ten wywołał większe zmiany w charakterze czeskim, niż polskim. Ogromny wpływ prezydenta Masaryka na młode pokolenie czeskie, byt państwowy — wszystko to dało Czechom nowe poczucie własnej narodowej wartości. Dnie „małego narodu” poszły w zapomnienie. Nawet kapitulacja monachijska nie była oznaką utraty wiary w samych siebie i w swoją „misję”. Przeciwnie, w roku Monachium czeski charakter narodowy osiągnął poziom najwyższy. Zmarły profesor Kovarna powiedział o tym okresie: „Wdzieliśmy, że nasz naród nie utracił ani na moment oceny (sytuacji). Oto prawdziwy czeski patos, patos bez słów w którym kryje się milcząca determinacja rozwiązania każdego zagadnienia...”

W ten sposób, gdy warunki pozwoliły, Czesi zaczęli inaczej niż dawniej patrzeć na samych siebie i wytworzyli w sobie poczucie własnej wartości, które było jakby odpowiednikiem polskiego uświadomionego poczucia narodowego. Dlaczego więc wówczas — w okresie dwudziestolecia — nie powiodło się obu narodom wejść na drogę współpracy? Dlaczego bywały momenty, kiedy wzajemnie odczuwana gorycz wybuchała silniej jeszcze, niż przed rokiem 1918?

Polacy, prawdopodobnie, albo w ogóle nie dostrzegli zmian dokonujących się w czeskim charakterze narodowym, albo dostrzegli je w stopniu niedostatecznym. Dla Polaków Czesi byli wciąż małym państwem, którego polityka polegała na szukaniu oparcia we Francji. Z drugiej zaś strony, Czesi nie zdawali sobie sprawy z faktu, że Polacy dynamizowani swą niedawną przeszłością historyczną podejmują próbę przywrócenia Polsce jej dawnej pozycji jako mocarstwa europejskiego. Znając polskie niedobory w dziedzinie gospodarczej i wojskowej Czesi ośmieszali ten typ politycznego dążenia.

W ten oto sposób oba narody nie oceniali się nawzajem należycie. Drugą przyczyną, która według mojej teorii powodowała wzajemną niechęć było podświadome wyczucie wspólnego losu. Podświadomie Polacy i Czesi dążyli do współpracy, ponieważ jednak dążenia te zawiodły — problem cieszyński nabierał nieproporcjonalnie wielkiej wagi.

Dramatyczne dzieje ostatniego dziesięcia lat dostarczyły nowych doświadczeń i wprowadziły nowe elementy do charakterów narodowych obu narodów. Wydaje mi się, że tym razem większe zmiany można dostrzec u Polaków. Weźmy choćby fakt, że sześć milionów Polaków — z których większość pochodzi z wschodnich, rolniczych polaci kraju — osiedlono na uprzemysłowionych ziemiach nad Odrą i Nisą oraz na Śląsku. Wcześniej

czy później fakt ten musi wywrzeć wpływ na polską psychikę. Historia uprzemysłowienia innych krajów dostarcza przykładów na poparcie tej tezy. Nie ma więc powodu przypuszczać, aby w polskim wypadku miało być inaczej. Wydaje mi się również, że w konsekwencji ulegnie przemianie ideał „szlachecko-ziemiański”.

Ponieważ Polacy, Czesi i Słowacy przechodzą obecnie przez te same doświadczenia — można sądzić, że w przyszłości ich cechy narodowe upodobnią się do siebie. Miejmy nadzieję, że gdy 39 milionów Polaków, Czechów i Słowaków będzie znów mogło wypowiedzieć się swobodnie, wykażą wówczas na tyle zrozumienia, wzajemnej sympatii i szacunku, by dopomóc do stworzenia politycznego bloku wokół którego — lub raczej wspólnie z którym i inne narody środkowej Europy mogłyby połączyć się w politycznej współpracy. Gdyby bowiem i ta przyszła próba miała zakończyć się niepowodzeniem — byłoby to mówiąc słowami śp. generała Sikorskiego „całkowitą tragedią”.

Jiri KOLAJA

List z Wyspy

(Od londyńskiego korespondenta „Kultury”)

BLEDNICA PARTII POLITYCZNYCH

Na Zachodzie obserwujemy obecnie układ, którego zasadniczą cechą jest spadek napięcia między biegunami „rewolucji” i „reakcji”. Ów spadek napięcia nie jest konsekwencją ureakcyjniania się Zachodu, lecz jest rezultatem anemii wizji przyszłości. W chwili, gdy partie konserwatywne — jak np. w Anglii — przejęły wiele z programów lewicy — lewica wyraźnie zaczęła tracić rozpęd i dynamikę.

W Anglii, Labour Party znalazła się przy sterze rządów w roku 1945, w radykalnie i podwójnie zmienionej sytuacji. Zmienił się bowiem całkowicie układ światowy i równocześnie zaszły głębokie zmiany w strukturze imperium brytyjskiego. W r. 1889, w którym ukazały się słynne „Fabian Essays”, kardynalnym zagadnieniem była kontrola i sprawiedliwy podział dochodu społecznego. Fabianowie nie interesowali się ani polityką zagraniczną, ani przebudową gospodarki brytyjskiej. Dziś program „Welfare-State” jest w dużej mierze zrealizowany i klasyczny postulat fabiański sprawiedliwego podziału dochodów spadł w tabeli aktualnych zagadnień na ostatnie miejsce. Na czoło wysuwały się problemy polityki zagranicznej, bo w obecnym układzie

światowym ta grupa zagadnień wiąże się nie tylko ze sprawą pokoju, lecz wyżywienia i utrzymania stopy życiowej na znośnym poziomie. Należało by więc wnioskować, że nowi „Fabianowie” skupią całą dynamikę ruchu Labour Party na tym właśnie polu. W rzeczywistości jest wręcz odwrotnie. Labour Party nie tylko nie ma żadnej wizji i programu polityki zagranicznej, ale w pewnych punktach jest dziś w opozycji do polityki zagranicznej, zainicjowanej przez Bevin’a w r. 1950.

Jeżeli sądzić według „New Fabian Essays” — które ukazały się niedawno w redakcji „bevanisty” R. H. S. Crossmana — Labour Party szuka nowych źródeł natchnienia w sferze polityki wewnętrznej. Jak 50 lat temu, tak i dziś, „Fabianowie” sądzą, że ich główną misją jest poszukiwanie jeszcze doskonalszej recepty podziału narodowego bochenka chleba. Jakoś nie zauważono, że dziś, zagadnienie dowozu tego bochenka chleba jest problemem niepomiernie ważniejszym niż jego podział. Lecz problem owego dowozu wiąże się bezpośrednio z polityką zagraniczną. Socjaliści angielscy nie chcą pojąć, iż w dzisiejszym świecie polityka zagraniczna jest dosłownie wszystkim. Jest wojną lub pokojem, głodem lub dobrobytem, współpracą lub satelictwem.

Crossman, na łamach „The New Statesman and Nation”, cytując swą rozmowę z Nennim, który jak wiadomo w lipcu konferował ze Stalinem, Nenni sformułował przed swym brytyjskim gościem program socjalistycznej polityki. A więc, przede wszystkim, całkowita neutralność. Zwalczanie Planu Schumana, planów sfederalizowania Europy, i dążenie do uniezależnienia się od Ameryki. „W odniesieniu do tych zagadnień — pisał Crossman — stwierdziłem, że w znacznie większym stopniu podzielam poglądy (Nenniego) niż bym to był przypuszczał”.

W sumie, wydaje się, że Labour Party nie tylko utraciła w pewnym stopniu swą dynamikę, lecz również swą „fabiańskość”. Albowiem starzy Fabianowie w tym byli wielcy, że umieli odróżnić rzeczy istotne od nieistotnych. Anglia wiktoriańska — w perspektywie ówczesnego układu światowego — rozwiązała wspaniale zarówno swą problematykę gospodarczą jak i zagraniczną. Zagadnienie społeczne leżało natomiast odłożeniem. Sądzę, że gdyby dziś Fabianowie wstali z grobu, to w przeciwieństwie do nowych „Fabianów” — zajęliby się wypracowaniem nowego brytyjskiego programu gospodarczego i stworziliby nową wizję brytyjskiej polityki zagranicznej. To są bowiem dziś problemy zasadnicze.

Socjalizm angielski nie ma nic wspólnego z marksizmem i bardzo nie wiele wspólnego z socjalizmem kontynentalnym. Fabianizm nie miał nigdy charakteru utopijnego.

Jest rzeczą zdumiewającą i wartą odrębnego studium, iż typ uniwersalizmu, który budził w masach największy oddźwięk — miał zawsze cechy utopii. Weźmy rok 1848, którego ideologiczną rupieciarnią jest świat współczesny. Wszyscy rewolu-

cjoniści i reformatorzy tej epoki utrzymywali, że ich programy wiodą bezpośrednio do raju na ziemi. Dość powiedzieć, że nawet Robert Owen określił swój system ekonomiczny jako „drogę która zawiedzie ludzką do powszechnego szczęścia”. Choć Rosja nie miała tradycji 1848 r., dziś, Sowiety są jedynym państwem, które głosi utopijny uniwersalizm marksistowskiego „raju na ziemi”. Socjalizm europejski wyzbył się wprawdzie charakteru utopijnego, lecz utracił również cechy uniwersalne. Co było w socjalizmie uniwersalnego zagarnął komunizm.

Trzeba stwierdzić, że dziś w zachodnim świecie ani „rewolucja” ani utopia — nie mogą liczyć na powodzenie. Nikłe rezultaty propagandy komunistycznej w świecie anglosaskim wskazują m. in. na fakt, że okres wielkich rozczarowań po roku 1848 — pozostawił trwałe ślady. Utopijny uniwersalizm nie odpowiada już dziś psychice zachodniego człowieka. Lecz to jeszcze nie wszystko. W zbiorowej psychice zachodniej każdy uniwersalizm kojarzy się dziś z utopią i budzi nieufność. Idea „rządu światowego” jest projektem racjonalnym i nie obiecuje raju na ziemi. Jest to w gruncie rzeczy projekt administracyjny. A jednak idea ta — oczywista w swej słuszności i celowości — popularyzuje się wolno, ponieważ niewątpliwie jest ideą uniwersalną i wskutek tego przeciętny konsument gazet uważa ją za utopię.

Nasza epoka nie jest wiekiem ani atomu ani samolotu rakietowego. Nasza epoka — jest wiekiem polityki. W Sowietach i w państwach satelickich „upolitycznia się” obywatele od świtu do nocy i każdy — czy chce, czy nie chce — musi interesować się polityką. Tymczasem na Zachodzie obserwujemy zjawisko odwrotne. Wydaje się, że ludzie tracą zainteresowanie polityczne.

Ruch robotniczy nie potrzebuje dziś walczyć, protestować, mobilizować. Ruch robotniczy dziś po prostu... urzęduje. Klasyczny przykład, który wyraziście ilustruje ten stan rzeczy, dostarczają brytyjskie Związki Zawodowe. Jest dziś powszechnie wiadomo, że żądanie podwyżki płacy o 2 funty tygodniowo wysunięte przed kilku miesiącami przez „Confederation of Shipbuilding and Engineering Union” (2 i pół miliona członków) — przez zarząd Związku uważane było za całkowicie absurdalne. Ale żądanie to zostało przeforsowane przez skrajnie lewicową grupę, która nie dysponuje, w gruncie rzeczy, nawet poparciem 10 procent członków Związku. Lecz cóż stąd? Znakomita większość członków związków zawodowych nie interesuje się polityką i nie bierze czynnego udziału w życiu związkowym. I wskutek tego, zarząd Konfederacji nie był w możności zmobilizować i przeciwstawić owej skrajnie lewicowej grupie nawet 10 procent umiarkowanych głosów.

Rozpatrywane w szerszej płaszczyźnie, są to objawy alarmujące. Bierność polityczna — jak to widać świetnie na powyższym przykładzie — jest zawsze wykorzystana przez czujną i aktywną mniejszość komunistyczną. Jednak nie to jest najgroź-

niejsze. Prawdziwie groźną jest powszechność błędnej oceny sytuacji.

Masy na Zachodzie są tradycyjnie „uekonomicznione” i rozumują kategoriami anachronistycznymi, wierząc niezachwianie, że polityka zaczyna się i kończy na podziale narodowego bochenka chleba, oraz na kontroli tych, którzy ten bochenek krają. Podporządkowanie gospodarki celom politycznym wydaje się przeciętnemu obywatelowi na Zachodzie ponurą koniecznością, którą można usprawiedliwić wyłącznie wojną. I to wojną w czasie teraźniejszym a nie wojną w czasie przyszłym.

Wyborcy zachodni w przytłaczającym procencie nie zdają sobie sprawy, że programy tradycyjnych partii politycznych stały się również anachronizmem, ponieważ programy te ukształtowały się w warunkach całkowicie odmiennych niż obecne. Można zaryzykować pogląd, że w świetle sytuacji światowej, która skryzalizowała się po roku 1945 — wszystkie partie polityczne Zachodu (z wyjątkiem komunistów) — są partiami konserwatywnymi. Różnice dotyczą stopnia, a nie istoty rzeczy. Okres historyczny, który był kolebką większości politycznych partii zachodnich dobiegł swego kresu w roku 1945. Konserwatyzm wrodzony naszej naturze powoduje, że ludzie nieodmiennie zwlekają z uznaniem narodzin nowej epoki za fakt dokonany. Metrykalne daty urodzin i zgonów okresów dziejowych wystawia Historia — nigdy współcześni. Im trudniej jest dostosować się do nowej sytuacji, tym większa pokusa by żyć jak dawniej i tłumaczyć sobie i innym, że właściwie nie się nie zmieniło.

W rzeczywistości zmieniło się wszystko nieodwracalnie. Zachód przy użyciu starych, tradycyjnych metod dyplomatycznych usiłuje zbudować nowy system międzynarodowy. O ile nie dojdzie szybko do wojny, która w konsekwencji przyniosłaby zjednoczenie zachodniego świata w sensie wojskowym — należy przypuszczać, że budowa nowego systemu międzynarodowego będzie procesem długim i mozolnym. Lecz niemniej anachronizm programów partii politycznych i anachronizm organizacji czołowych instytucji politycznych w państwach Zachodu z każdym rokiem będzie coraz bardziej jaskrawy. Władza parlamentu stale maleje. Rośnie natomiast władza zawodowych urzędników. Proces rządzenia staje się sprawą tak złożoną, że wpływ fachowców-urzędników na „politycznego” ministra jest coraz większy i coraz bardziej decydujący. Wielu bardzo istotnych zagadnień nie omawia się w ogóle w parlamencie i pewne rzeczy zdają się wskazywać, iż obecny system partyjny w Anglii, a zwłaszcza system wyborczy i problem tak zwanej dyscypliny partyjnej — dojrzały do gruntownej reformy.

Gdy dojdzie do sfederalizowania, czy choćby częściowego sfederalizowania państw kontynentalnej Europy, w państwach federalnych powstaną nowe partie polityczne o programach związanych ze zmienioną sytuacją polityczną i gospodarczą. Tak zwane partie historyczne, jeżeli zechcą utrzymać się na

scenie, będą zmuszone przebudować swe programy od podstaw. Zarówno „ewangelie” Fabianów jak i „Myśli nowoczesnego Polaka” trzeba będzie uznać za wielką literaturę historyczną, ale i za nie więcej.



W mojej opinii zasadniczym problemem demokracji Zachodu jest fakt, iż w politycznym życiu partyjnym taktyka coraz bardziej zaczyna zastępować program. W gruncie rzeczy, przestaje być istotne czy się wyznaje program Labour, czy program konserwatystów a ważne i istotne jest jedynie to, czy się jest przy władzy czy w opozycji. To jest zagadnienie niezmiernie ważne dotyka bowiem moralnych fundamentów ustroju demokratycznego. Różnica jest prosta i zasadnicza: albo walczy się o władzę, albo o realizację pewnych zasad, ideologii czy programu.

Politycy odpowiedzą, że w praktyce walczy się o jedno i o drugie. Lecz faktem jest, że właśnie ze względów taktycznych partie stronią od zagadnień zasadniczej doniosłości w obawie przed niepopularnością. I wskutek tego w parlamentach zachodnich nie dyskutuje się kardynalnych problemów naszej epoki, ponieważ istnieje obawa, że są to zagadnienia niepopularne.

Takie zagadnienia jak problem narodów ujarzmionych przez Sowietów, zjednoczenie świata w ramach jednolitego systemu międzynarodowego, zagadnienia strategii politycznej, gospodarczej i psychologicznej w walce o władzę nad światem, problem ludów kolorowych — to są wszystko sprawy na które wyraźny i sprecyzowany pogląd ma tylko jedna partia na Zachodzie, a mianowicie partia komunistyczna. Inne partie ignorują albo cały powyższy zespół zagadnień, albo przynajmniej niektóre z tych zagadnień jak np. problem narodów ujarzmionych. W większości wypadków partie zachodnie zapewniają wyborcę, że „status quo” nadszarpnięty nieco ale przecież da się jakoś utrzymać i polatać. I dlatego pielęgnują pieczołowicie nacjonalizm, suwerenności, narodowo-lokalne ambicje — cały ogród kwiatowy skazany na przekopanie. Ów ogród, albo przekopie my sami — albo przekopią go komuniści.

Jest moim głębokim przekonaniem, że przywódcy partyjni na Zachodzie są znacznie bardziej bojaźliwie nastroszeni w stosunku do współczesnych wielkich zagadnień niż wyborcy. Zmian boją się „góry” partyjne, nie masy.

Instytut Gallup'a podał, że ponad 50% Amerykanów uważa „rząd światowy za pożądany”. Być może, że 50% Belgów, Francuzów czy Anglików myśli podobnie. Lecz cóż stąd? Przywódcy partyjni są konserwatywni i tkwią korzeniami, mózgownicami, ambicjami w „status quo”.

Partie polityczne Zachodu muszą wreszcie zdać sobie w pełni sprawę z faktu, że w obecnej epoce powstała i istnieje partia polityczna, która sprawuje władzę nad jedną trzecią ludności globu. Fakt ten stanowi przełom w historii partii politycz-

nych cywilizowanego świata. W świetle tych przemian wydaje się oczywiste, że dziś każda nowoczesna partia polityczna musi być również — na wzór partii komunistycznej — w pewnym sensie partią światową. Innymi słowy, programem swym i koncepcją musi obejmować całość kardynalnych zagadnień międzynarodowych. Bez względu na to czy się to komuś podoba, czy nie — epoka podwórkowych partii politycznych należy do przeszłości.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Kronika angielska

NIE KAŻDA FEDERACJA JEST POŻĄDANA

Nowym przewodniczącym w Sekcji Europy Środkowo-wschodniej, w Ruchu Europejskim, został poseł Richard Law. W czasie ubiegłej wojny poseł R. Law był ministrem stanu i pełnił ważne funkcje w ministerstwie Spraw Zagranicznych. W posiedzeniu Sekcji, na którym dokonano wyboru nowego przewodniczącego wzięli udział amb. Edward Raczynski i min. Jerzy Zdziechowski.

Sekcja Europy Środkowo-wschodniej nabiera specjalnego znaczenia w chwili obecnej, gdy plany federacyjne kontynentalnej porozbiorowej Europy wbrew pesymizmowi jednych, a braku zainteresowania tak jednych, jak i drugich — przybierać zaczynają całkowicie realne kształty. Ostatnio powołano zgromadzenie dla opracowania konstytucji federacji, która ma objąć: Francję, Niemcy Zachodnie, Włochy, Belgię, Holandię i Luksemburg. Wprowadzona już w życie „wspólnota” węgla i stali stanowi fundament dla przyszłej organizacji politycznej. Niewątpliwie z wszystkich istniejących planów federacyjnych, ten właśnie plan posiada największe szanse realizacji i trzeba obiektywnie stwierdzić, że owe sześć krajów na przestrzeni ostatnich dwóch lat poczyniły wielkie postępy na drodze ku zjednoczeniu. Z chwilą, gdy federacja tych sześciu państw stanie się faktem — na kontynencie Europy pojawi się nowa potęga o cyfrze mieszkańców większej niż St. Zjednoczone i o potencjałe przemysłowym większym niż potencjał Związku Sowieckiego.

Jeżeli chodzi o nasz pogląd na powstającą „Federację 6-ciu” to musi być on funkcją dwóch zagadnień. Po pierwsze stosunku „Federacji 6-ciu” do ujarzmionej Europy wschodniej — a po drugie, jej polityki w odniesieniu do naszych ziem nad Odrą i Nysą.

W Strasburgu podjęto wprawdzie szereg ogólnych postanowień dotyczących krajów za „żelazną kurtyną”. Trzeba jednak odróżnić szersze plany federacyjne, które miałyby objąć 14 państw — od znacznie konkretniejszych planów Niemiec, Francji, Włoch i trzech krajów Benelux. Przede wszystkim musimy się interesować „Federacją 6-ciu”, ponieważ najpotężniejszym partnerem tego systemu będą Niemcy.

Nie ulega wątpliwości, że w porównaniu z okresem, gdy Plan Schumana był jeszcze na papierze — dziś równowaga potencjałów przemysłowych, a zwłaszcza stali — szybko i zdecydowanie przesunęła się na korzyść Niemiec. I dziś, w pierwszym rządzie Niemcy są dynamiczną siłą w planowanej „Federacji 6-ciu”.

Istnieją poważne obawy, że „Federacja 6-ciu” dążyć będzie do usamodzielnienia swej polityki, aspirując do stanowiska „trzeciej siły” pomiędzy Anglosasami a Rosją.

Celem ruchu i ideologii federacyjnej na kontynencie Europy nie może być restauracja super-państwa Karola Wielkiego. Ruch federacyjny musi swymi planami obejmować całą Europę (a nie tylko po Łabę) — w przeciwnym bowiem wypadku, za dwa, trzy lata, Niemcy będą mogli sobie powiedzieć, że politycznie w pełni zdyskontowali zarówno pierwszą jak i drugą niemiecką wojnę światową. I nie mylili by się, gdyż siłą, która cementuje powstającą „Federację 6-ciu” nie jest wizja nowej przyszłości, lecz widma pierwszej i drugiej niemieckiej wojny światowej.

Gdyby idea federacyjna miała posłużyć do zorganizowania po-rozbiorowej „Europy narodu niemieckiego” — byłby to efekt całkowicie odwrotny od zamierzonego. Idea federacyjna pomyślana była bowiem jako system, którego głównym zadaniem miało być osadzenie Niemiec w zorganizowanej Europie tak, by widmo niemieckiej hegemonii raz na zawsze znikło ze sceny kontynentu.

MOŻE BEZ WOJNY...

W czasie Drugiego Zjazdu Polaków w Szkocji, który odbył się w Edynburgu — Gen. Anders wygłosił dłuższe przemówienie, w którym powiedział m. in.:

„Mówiąc ściśle i wyraźnie — nie żądamy od Ameryki, Wielkiej Brytanii czy innych państw demokratycznych, by wszczęły wojnę z Sowietami, ale domagamy się, aby do swego programu politycznego, który będzie podstawą ich rozmów z Rosją, włączyły jako punkt wyraźny i nieodwołalny wycofanie się Rosji z krajów siłą przez Sowiety okupowanych, a zdradą włączonych w orbitę Moskwy”.

Oraz:

„Z naszych doświadczeń wiemy, że Sowiety cofają się tylko przed siłą i stanowczością. Jeżeli Zachód w ustalaniu programu wykaże siłę i stanowczość, to może uda się uniknąć wojny, a jednak wyzwolić narody ujarzmione”.

Są to bardzo celowe sformułowania. Wpływowi zwolennicy wszelkich odmian „appeasement'u”, oskarżają nas ustawicznie o podleganie do wojny. Politykom tym zależy na utrwaleniu opinii, że podjęcie sprawy narodów ujarzmionych, jest równoznaczne z wypowiedzeniem wojny Sowietom i w konsekwencji tego, obowiązkiem każdego zachodniego polityka jest milczeć na temat Europy środkowo-wschodniej. Znacząc psychologicznie Zachodu winniśmy stale podkreślać, że nie dążymy do wojny, lecz przeciwnie wierzymy, iż nasze cele są do osiągnięcia na drodze pokojowej.

TROSKI STUDENCKIE

Maleje ilość polskich studentów zarówno na kontynencie jak i w Anglii. Rośnie natomiast ciągle ich cyfra w St. Zjedn. Środek ciężkości polskich studenckich organizacji przesuwają się za ocean — do Stanów Zjednoczonych i do Kanady. W związku ze zmieniającą się sytuacją, jedne zagadnienia wygasają, a na ich miejsce powstają nowe. Zagadnienie pomocy studentom na kontynencie nie jest już tak palące ze względu na emigrację i ukończenie studiów, z drugiej jednak strony problem pomocy studentom uciekającym z Kraju zaostrzył się znacznie, gdyż ilość uciekających rośnie i potrzeby są ogromne. ZSPZ obchodzi w tym roku dziesięciolecie swego powstania.

Na terenie Anglii zanoszą się wielkie zmiany. Polish University College skazany jest na „śmierć cywilną”, a w prasie spotyka się wzmianki

o projektowanym zlikwidowaniu Komitetu dla Spraw Oświaty Polaków w Wielkiej Brytanii. Likwidacja Komitetu przewidziana jest z początkiem roku 1953/54. Tak więc wedle projektu urzędowego, załужony Komitet działa ostatni rok. Jego liczne agendy mają przejąć władze lokalne, samorządowe i ministerialne urzędy brytyjskie. Władze brytyjskie zdecydowane są wydawać te same pieniądze na kształcenie dzieci i młodzieży polskiego pochodzenia z tym jednak, że w przyszłości pieniądze te wydatkowane będą w inny sposób.

Komitet Oświaty był — a raczej, na szczęście, jeszcze jest — niezmiernie rzadką w dziejach instytucją z której wszyscy byli zadowoleni. Polacy i Brytyjczycy — uczniowie i nauczyciele. Komitet jest nie tylko rozdawcą stypendiów i organizatorem szkół, lecz spełniał również rolę doradcy i przewodnika. Rezultaty jego pracy są doskonałe. Wyniki egzaminów młodzieży polskiej w szkołach Komitetu są bardzo pouczające. Młodzież, która studiuje w polskiej atmosferze, mimo wykładowego języka angielskiego osiąga lepsze wyniki, niż w szkołach brytyjskich. Przeciętna wynik egzaminów brytyjskich w szkołach Komitetu, jest wyższa od przeciętnej w uczelniach brytyjskich.

Komitet był również świetną propagandą brytyjską w najlepszym tego słowa znaczeniu i jest rzeczą powszechnie wiadomą, iż w Polsce przywiązywano wielką wagę do faktu, że młodzież polska w Anglii posiada tak korzystne warunki zdobywania wiedzy.

Nasi gospodarze brytyjscy są — wydaje się — zdania, że okres tzw. „resettlement” dobiegł kresu i nie ma już dziś powodu do specjalnej rubryki „Polish” w budżecie ministerstwa oświaty. Ponieważ jednak projektowana likwidacja nie ma na celu oszczędności tylko „normalizację”, sądzą wolno, że władze brytyjskie nie będą się spieszyć z ostateczną decyzją. Można bowiem uznać za pewne, że likwidacja przyniesie tylko szkody i rozgoryczenie, a władze brytyjskie nie na tej operacji nie skorzystają. 145,000 Polaków w Wielkiej Brytanii nie jest zjawiskiem normalnym i wydaje się nam rzeczą trudną i niepotrzebną podejmowanie próby „znormalizowania” tego zjawiska. Trzeba mu pozostawić pełnię swobody w wyrażaniu jego odrębności.

SKARB NARODOWY W CYFRACH

Od chwili powstania Skarbu Narodowego do 30 czerwca br. wpłynęło do Skarbu Nar. łącznie £ 59,753. Pod względem wysokości świadczeń na Skarb Narodowy na pierwszym miejscu stoją Polacy w Wielkiej Brytanii z kwotą £ 18,641, na drugim miejscu Polacy w Niemczech, a dopiero na trzecim miejscu Stany Zjednoczone. Przeciętnie wpływa do Skarbu N. około £ 2,000 miesięcznie.

Władze Skarbu N. przekazały do dyspozycji rządu od 1 lipca 1950 do 30 czerwca 1952 łącznie £ 31,316 — czyli 70% wpływów. W Wielkiej Brytanii działają obecnie 442 komórki Skarbu Nar. Wśród grup płatników przodują zwarte osiedla polskie na prowincji. Swojego rodzaju rekordem jest Doddington Park Hostel w którym 84% mieszkańców płaci regularnie na Skarb Narodowy.

ORDERY...

W polskiej prasie emigracyjnej ukazują się od czasu do czasu wzmianki o tym, że Prezydent A. Zaleski nadał panu X, czy panu Y, polski order. W zasadzie, od lipca 1945 polskie odznaczenia winno się nadawać jedynie obywatelom tych państw, które nie cofnęły uznania naszemu rządowi. Początkowo polskie władze bardzo formalistycznie trzymały się tej zasady i w wyniku tej polityki wielu oficerów armii sojuszników, którzy w pełni

zasłużyli na polskie odznaczenia i pragnęli je mieć — odznaczeń polskich nie otrzymało.

Obecnie, nasz rząd traktuje tą sprawę mniej formalnie i w poszczególnych wypadkach nadaje — i to nawet wysokie odznaczenia — obywatelom państw, które nie uznają polskiego rządu, a tym samym polskich orderów. Jednak niewątpliwie jest to polityka słuszną. Niedawno Prezydent Zaleski nadał Krzyż Komandorski Polonia Restituta prof. A.D. Peacock'owi — bardzo zasłużonemu prezesowi Tow. Szkocko-Polskiego. Byłoby krzywdzące nie wyróżnić oddanego Polakom uczonemu z uniwersytetu w Dundee tylko dlatego, że rząd angielski nie uznaje rządu polskiego. Prof. A.D. Peacock uznaje nas i Sprawę Polską i to jest zasadnicze.

Natomiast znacznie więcej zastrzeżeń budzi nasza „wewnętrzna” polityka orderowa. Najwłaściwiej — według mojej opinii — byłoby ogłosić, że na emigracji obywatelom polskim nie nadaje się odznaczeń. Podobno były takie postanowienia, ale w nich nie wytrwano. Obecnie w naszym polskim Londynie utrwała się złośliwa tradycja, że zasłużeni a pro-rządowi jubilaci otrzymują order stosownie do rangi, wieku i urzędu. Jednym słowem wychodowaliśmy sobie wzruszający obyczaj. Tak byłoby istotnie, gdyby nie pewne „ale”.

Niedawno obchodził 50-cie lecie swojej pracy publicystyczno-pisarskiej prof. Stanisław Stroński. Prof. Stroński otrzymał w tym roku nagrodę (£ 100) londyńskiego „Dziennika Polskiego”. Na łamach „Wiadomości” przeczytał go doskonałym artykułem jego zaprzysiężony polityczny, wieloletni przeciwnik, Stanisław Mackiewicz. Bardzo piękny gest.

A teraz drobny szczegół związany z tytułem i przedmiotem tej notatki. Antoni Bogusławski zwrócił uwagę na łamach „Dziennika Polskiego”, że prof. Stroński nie ma ani jednego polskiego odznaczenia. Dlaczego? Odpowiedź jest prosta. U nas, tak przed wojną jak i po wojnie, odznaczenia nadaje się ludziom zasłużonym i prorządowym. Jeżeli się jest zasłużonym, ale permanentnie w opozycji, na żadne odznaczenia liczyć nie można.

Wprawdzie Attlee otrzymał Order of Merit kilka miesięcy temu jako przywódca opozycji i działo się to również w Londynie — ale Anglicy mają w tym względzie inne zasady. Nadali Order of Merit nawet Bertrandowi Russellowi — gdyż w Anglii nagradza się zasługę, rozum, talent, a nie prorządowość. Identyfikowanie „prorządowości” z „zasługą” jest jedną z licznych wadliwych naleciałości w naszym życiu politycznym.

LONDYNŹYK

P.S.: — Powyższy essay o orderach, nie dotyczy odznaczeń wojskowych.

Sprawy i Troski

List z Kanady

W interesujących uwagach p. Zbigniewa Abdanka pt. „Jednak wracam z Kanady”, umieszczonych w numerze 7/57-8/58 „Kultury” a odnoszących się szczególnie do zachodnich części Kanady, wiele jest spostrzeżeń, które zastosować można do całości tego kraju a nawet do całego kontynentu północno-amerykańskiego. Prawdą jest, że przybywszy z Europy uderza bodaj w pierwszym rzędzie jedność obyczaju, jedność szkół, jedność potrzeb, gazet itd., słowem to, co składa się na swoistą strukturę tutejszego społeczeństwa, będącego w dużej mierze społeczeństwem jednoklasowym wedle naszych europejskich kryteriów. Wszak niedawno w czasie kampanii prezydenckiej w Stanach Zjednoczonych senator Robert Taft podnosił, że Ameryka zrealizowała na długo przed Marksem strukturę bezklasową. Struktura ta wyrasta na podłożu, dalekiej od zakończenia, walki, walki z przyrodą w kraju (myślę o Kanadzie) niedostatecznie zaludnionym, w kraju, gdzie odkrywano wciąż bogactwa naturalne stwarzają coraz to nowe możliwości rozwoju, w klimacie nieraz bardzo surowym. Stąd płynie wyjątkowa zupełnie pożyteczna praca fizycznej, płatnej niezwykle wysoko.

Wysokie płace pozwalają na niespotykane gdzie indziej możliwości oszczędzania, zdobycia komfortu materialnego, opłatę ubezpieczeń prywatnych wszelkiego typu, częstą zmianę fachu czy „job'u” stosunkowo szybkie dorabianie się, to jest przejście z kategorii pracownika najemnego do kategorii tzw. „bossa”. Zjawisko to nie jest bynajmniej wynikiem jakiejś przemysłowej polityki społecznej czy ustawodawstwa; nie jest także wynikiem odmiennego niż w Europie „rodowodu” klasy robotniczej czyli faktu, że robotnik tworzył i tworzy ten stosunkowo pusty kraj, a nie zjawia się w zróżnicowanym przedtem społeczeństwie. Wydaje mi się, że przyczyną głównej szukać należy w zjawisku stałego niedostatku rąk roboczych. Od początku istnienia Kanady rąk tych było zawsze za mało — popyt przewyższał podaż mimo olbrzymich postępów mechanizacji we wszelkich dziedzinach. Stąd wysoka cena pracy fizycznej. Robotnik

Der MONAT

MIEDZYNARODOWY MIESIĘCZNIK
POLITYCZNO-LITERACKI
POD REDAKCJĄ MELVINA J. LASKYEGO

Berlin-Dahlem, Saargemünder Strasse 25.

Cena egzemplarza — 1 DM.

niewykwalifikowany zarabia około 1\$ za godzinę, wykwalifikowany — około 2\$ (zawarty ostatnio kontrakt zbiorowy w hutnictwie stalowym w U.S.A. przewiduje \$2.21 jako zarobek przeciętny za godzinę).

Związki zawodowe wywalczają z powodzeniem dalszą poprawę zarobków i warunków pracy. Związki te jednak nie obejmują wszystkich robotników i działają przeważnie w wielkich przedsiębiorstwach głównych gałęzi gospodarczych. Są dziedzi-ny, w których wyzysk istnieje, są prace płatne bardzo źle jak np. prace chałupnicze, pół-rzemieślnicze itp.

Dodać należy, że pracują tu ludzie znacznie bardziej intensywnie niż w Europie, prędzej się też zużywają.

Socjalizm nie zapuścił dotychczas istotnie głębszych korzeni w tym kraju, zwłaszcza w najbardziej zaludnionych i uprzemysłowionych prowincjach wschodnich. Jedyną prowincją kanadyjską, która ma rząd socjalistyczny, jest młoda prowincja Saskatchewan, o ludności bardzo mieszanej z dużym odsetkiem nowych przybyszów (liczne skupienia ukraińskie i niemieckie).

Bardzo wiele głosów zdobyli także socjaliści przy ostatnich wyborach w Kolumbii Brytyjskiej.

Przedsiębiorstwa państwowe nie różnią się zbyt w swej strukturze od przedsiębiorstw prywatnych. Biurokracja jest w tym kraju młoda i nieliczna.

Pieniądz i maszyna są to dwa czynniki, które kształtują w sposób najbardziej charakterystyczny stosunki na tym kontynencie. Jak każde społeczeństwo jednoklasowe, Ameryka Północna jest w trakcie różniczkowania: podstawą tego różniczkowania jest przede wszystkim ilość posiadanych pieniędzy — nikogo nie interesuje przy tym pochodzenie tych pieniędzy. Decyzje życiowe, wybór zajęcia dyktowane są możliwościami większego zarobku. Inne motywy nie są zrozumiałe, a często wydają się wprost podejrzane. Nie ma bodaj rzeczy, która nie byłaby przeliczana na pieniądze, a stała pogoń za dolarem jest jedną z najbardziej wymownych cech tutejszego życia. Dla zdobycia dolara ludzie pracują dużo, żyją intensywnie i starzeją się stosunkowo szybko. Pracują bogaci i ubodzy, dorośli i dzieci. Normalny urlop nie trwa tu dłużej niż dwa tygodnie na rok. Wyra-bianie nadgodzin jest powszechnie stosowane. Dzieci uczą się wcześniej świadczyć różne usługi za opłatą. Ucząca się młodzież pracuje zarobkowo w czasie wakacji, przez co uniezależnia się zwykle przedwcześnie, co jest czynnikiem osłabiającym więź rodzinną.

Polityka rozumiana jest powszechnie jako walka dwóch maszyn wyborczych; różnice programowe nie mają większego znaczenia; wyborcy ciekawie obserwują walkę wyborczą jak widowisko sportowe, głosują zaś zwykle w zależności od korzyści materialnych jakie im może zapewnić partia zwycięska. Nie rzadko głosowanie jest płatne przez partie w gotówce, częściej w formie posady: tradycja chce, że zwycięska partia „oczyszcza” natychmiast administrację ze swych przeciwników (tego rodza-

ju uroczystą obietnicę złożył m. i. ostatnio gen. Eisenhower przed kongresem partii republikańskiej).

Jak słusznie zauważył p. Abdank, farmer tutejszy traktuje swoje gospodarstwo, jako business; nie ma chyba farmy w Kanadzie, która nie byłaby na sprzedaż; wszystko zależy wyłącznie od zaoferowanej ceny. Przy obecnej koniunkturze i wysokich zarobkach w fabrykach jest zjawiskiem powszechnym, że farmerzy opuszczają swe gospodarstwa czasowo lub na stałe, aby pracować w fabryce lub na budowie; wieś stopniowo się wyludnia. Resztki przywiązania do ziemi znaleźć można chyba tylko wśród starych rodzin osadników francuskich w Quebec'u.

Istnienie warstwy chłopskiej z jej wiekową tradycją i obyczajem wywarło wielki wpływ na tworzenie się cywilizacji narodów europejskich. Wystarczy jednak przejechać kanał La Manche, aby stwierdzić że angielski farmer nie jest chłopem w znaczeniu kontynentu europejskiego. Amerykański farmer jest zupełnie czymś innym: traktuje swoje gospodarstwo jako warsztat do robienia pieniędzy; gdy je robi, nabywa inne przedsiębiorstwo. Hodowla świń lub bydła nazywa się w Kanadzie „przemysłem” mięsa lub mleka.

Pracownik „w krawacie” zmienia zajęcie równie łatwo jak pracownik fizyczny. Ludzi przywiązanych do swej pracy nie spotyka się często. Idą tam, gdzie więcej płacą. Trzymają się swych instytucji pracownicy wielkich „kompanii” czyli koncernów i towarzystw akcyjnych. Owe „kompanie”, mające w swym ręku wielkie gałęzie gospodarki, w których nb. następuje coraz większe przesuwanie kapitału w ręce obywateli Stanów) z zasady wychowują same swój personel; upatrzonego zdolnego młodzieńca, który zaczyna od najprostszyc posług lub zajęć, kształcą i prowadzą nieraz aż do stanowisk kierowniczych. Taki personel jest „pewny” gdyż zgaduje myśli kompanii, a nadto — pracując całe życie — opłaca się i amortyzuje. Wart jest emerytury.

W strukturze kanadyjskiego życia gospodarczego uderzają wysokie koszty pośrednictwa i ogromna ilość wędrujących sprzedawców. Po całym kraju bezustannie krążą samochody sprzedawców wszelkiego typu towarów: od igieł i kaloszy poprzez najrozmaitsze ubezpieczenia aż do kosztownych maszyn. Tzw. agresywny sprzedawca jest ideałem człowieka; jeśli umie sprzedawać — wszelkie drogi stoja przed nim otworem, czego przykładem jest choćby kariera obecnego prezydenta Stanów. Dla ilustracji wysokich kosztów pośrednictwa podać można, że wioskowy agent zarabia \$100 na aparacie chłodzącym, którego cena sprzedażna wynosi \$400. Stan ten jest wynikiem istnienia rynku wewnętrznego o nieograniczonej prawie pojemności i ciągłym wzroście; przemysł oparty jest głównie o własne surowce (nb. przemysłowcy amerykańscy nigdy nie mogą się dogadać ze swymi kolegami europejskimi, którym zalecają stosowanie swoich metod w warunkach zasadniczo innych). Dodajmy do tego ob-razu niezwykle rozrost kosztownej reklamy, którego odpowiednikiem jest publiczność chętnie słuchająca tej reklamy. Produ-

kowany w tym kraju towar jest mniej trwały niż europejski: ludzie nie lubią tu reperacji, najchętniej wyrzucają przedmiot stary i kupują nowy. Kupują przeważnie na raty. Kredyt jest stosunkowo łatwy i tani. Odbywa się tu nieustanna pogoń sprzedawcy za kupcem; kto kupił — spłaca raty. Byle więcej, byle prędzej. Ten system wciąż pęcznieje i rozszerza się. Wszystko obraca się coraz szybciej dopóki trwa „prosperity”. Jest rzeczą jasną, że w tym systemie kryzys gospodarczy zamienia się w katastrofę.

Wspaniały rozwój mechanizacji w Ameryce, coraz to nowe udoskonalenia i wynalazki wyrastają na podłożu stałego niedoboru rąk roboczych i związanej z nim wysokości płac. Maszyna warunkuje rozwój przemysłu, maszyna pozwala na utrzymanie poziomu produkcji rolniczej, maszyna ułatwia życie codzienne w gospodarstwie domowym. Stan nasycenia maszynami i korzyści stąd płynące wytwarzają specyficzną psychikę kultu maszyn: posiadanie takiej czy innej, zwłaszcza nowej, maszyny klasyfikuje człowieka i dodaje mu wartości czy splendoru. Znam wypadki, gdy farmer kupuje jakąś maszynę, która nie może być opłacalna w jego warsztacie; mimo to kupuje — niejako z potrzeby serca. W pewnym biurze obserwowałem nastroj odświeżony, trwający przez szereg tygodni, po nabyciu maszyny do naklejania znaczków. Dbano o tę maszynę pieczołowicie i przyglądano się z lubością jej pracy; ilość korespondencji w tym biurze na pewno nie usprawiedliwiała takiej inwestycji w wysokość około \$500.

Robotnik czy farmer zaczyna zwykle zagospodarowanie od kupna maszyny do prania i radia; następują w kolejności: chłdnia elektryczna i samochód; wszystko na raty, są to jednak raty poważnie obciążające zarobek jeśli zważyć, że chłdnia kosztuje około 400\$, zaś samochód powyżej 2.000\$. Ponieważ samochody obecnie zużywają się stosunkowo szybko, więc po paru latach oddaje się samochód sprzedawcy za $\frac{1}{3}$ lub $\frac{1}{4}$ pierwotnej wartości i bierze się nowy, również na raty. Rozwój ruchu samochodowego eliminuje wiele innych rozrywek. Ludzi chodzących na spacer piechotą, w ogóle chodzących inaczej niż z musu, nie widzi się w Kanadzie zupełnie, chyba że są to jacyś nowi przybysze. Na wsi można odbywać spacer na rowerze, ale tylko w obrębie osiedla, poza osiedle wyjeżdża się samochodem. Urlopy czy week-endy spędzają ludzie najchętniej w samochodzie, zatrzymując się po drodze w tzw. kabinach dla turystów; obecnie wchodzi w modę kina, w których ogląda się filmy, nie wysiadając z samochodu. Wytwarza to prawdziwą psychologię życia na kółkach. Wszyscy gdzieś jadą i na nic czasu nie mają. Między snem a pracą człowiek jest w ruchu, duży zaś odsetek ludności — a wśród nich potężna klasa sprzedawców — pracuje także w ciągłym ruchu. Ten tryb życia sprzyja standaryzacji nie tylko towarów ale i obyczaju, wytwarza monotonię i męczący nudą. Że w tym stylu życia mało jest miejsca na zaspokojenie potrzeb kulturalnych, zrozumieć nie trudno. Potrzeby te są w znacznej większości zaspakajane szybko i w dawkach strawnych, jakby w pi-

gułkach: sławetne „comics'y”, z którymi tak świetnie ale sprawnie rozprawił się p. Abdank; niewybredny program radiowy; zamiast książki — skrót w „Readers Digest”; zamiast teatru — kino. Księgarnie istnieją tylko w wielkich miastach. „Comics'y”, „Magazine's” i „Digest'y” oraz tzw. lekka literatura nabyć można w każdym składzie aptecznym. Czytelnik jest na ogół łatwowierny, ufa słowu drukowanemu i cyfrowemu. Wśród rozrywek kulturalnych zapominać nie należy o wielkiej konsumpcji piwa o dużym procencie alkoholu, co bynajmniej nie wpływa na zmniejszenie spożycia narodowej „Coca-Coli”.

Szczerzy optymizm, wiara w postęp (utożsamiany często z rozwojem techniki), brak zmysłu krytycznego — są charakterystyczne dla tutejszej cywilizacji. Podziw dla potęgi Stanów Zjednoczonych jest niezachwiany, a stosunek do „starych krajów” — pobłażliwy. Ludność Kanady, podobnie jak Stanów Zjednoczonych, to w znacznej większości potomkowie tych, którzy Europę opuścili, gdyż im się tam źle działo; źle — z różnych powodów, ale w tradycji przechowywane jest obraz Europy, jako czegoś znacznie gorszego od Ameryki. Tradycja ta jest w pewnej mierze łagodzona przez sentyment, jaki każdy człowiek czuje w stosunku do kraju swoich przodków. Ostatnie żywe kontakty z Europą w czasie dwóch wojen światowych, a zwłaszcza ostatniej, pogłębiły poczucie wyższości amerykańskiej. Niezwykle często spotyka się rozumowanie, że Europa zbyt często prowadzi wojny, co zapewne wynika stąd, że dotychczas nie zastosowała ustroju amerykańskiego, który jest przecież najlepszy. Popatrzcie, powiadają: Kanada o tyle słabsza od Stanów, a potrafi zachować tak przyjazne stosunki z potężnym sąsiadem. Od takiego rozumowania niezbyt już daleko do wiary w posłannictwo dziejowe tego kraju czy kontynentu. Jak wiadomo, Ameryka nie prowadzi nigdy wojen — najwyższe ekspedycje policyjne celem ukarania narodu przekraczającego prawo.

Czy nowa imigracja polska przystosowuje się łatwo do kanadyjskiego stylu życia? Jeśli chodzi o ludzi, którzy przeszli obozy w Niemczech, to wysokość zarobków i możliwość zdobycia standardowego komfortu w Kanadzie otwiera im istotnie duże możliwości, i wydają się oni na ogół zadowoleni z życia. Pod jednym warunkiem — muszą to być ludzie młodzi, zdrowi i zdolni do dużego wysiłku fizycznego. Los inteligenta niezdolnego do wysiłku fizycznego, jest nie do pozazdroszczenia (nie dotyczy to nielicznych wyjątków, gdy inteligenci a zwłaszcza technicy mają możliwość pracowania w swoim zawodzie). Dzieci i młodzież, wzrastające w tutejszym środowisku chłoną dość szybko pojęcia pracy, pieniądza, maszyny i rozrywek.

Gdy mówimy o społeczeństwie jednoklasowym Kanady, to dodać należy, że w wielkich ośrodkach miejskich wschodniej części kraju różniczkowanie społeczeństwa jest większe.

Zarówno wolne zawody jak naukowcy lub kierownicy wielkich przedsiębiorstw wytwarzają zacinającą pewną odrębną warstwę. Warstwa ta jednak, w odróżnieniu od krajów europejskich,

w ogromnej większości nie zerwała więzów rodzinnych z resztą ludności, stąd różnice wynikające z poziomu wykształcenia czy wykonywanego zawodu nie są tak duże jak w Europie. Dodać trzeba, że każdy prawie człowiek wykształcony poświęca się wyłącznie swojej specjalności, która mu wypełnia całe życie. Za interesowania innymi dziedzinami są rzadkie i raczej pobieżne. Trudno tu spotkać lekarza czy prawnika, który byłby jednocześnie literatem czy historykiem (co nie jest rzadkością w takich krajach jak np. Francja). Kultura artystyczna mało tu jest rozpowszechniona i mało rozumiana. Architektura uważana raczej za rzecz zbędną a potrzebna głównie przy budowie drapaczy chmur. Pewien architekt z Detroit bolejąc nad tym stanem rzeczy, oświadczył niedawno, że Ameryka przeszła bezpośrednio ze stanu barbarzyństwa do stanu degeneracji. Zapewne, że to twierdzenie zawiera dużo przesady, ale nastrój architekta zrozumieć można na tle tutejszej rzeczywistości. Weźmy dla przykładu budowę kościołów: w katolickim Quebecu położenie Kościoła jest wyjątkowo pomyślne, a stan finansowy kwitujący; mimo to wyjątkowo tylko natrafić można na kościół, którego architektura lub dekoracja wewnętrzna zasługiwałaby na miano artystycznej; wszystko robi się szybko i maszynowo. Gdy niedawno parafia polska w Montrealu zaangażowała dwóch artystów do dekoracji wnętrza (co pięknie świadczy o polskim dziedzictwie kulturalnym), jeden z tych artystów tłumaczył w wywiadzie, udzielonym poczytnej gazecie, że przecie modlić się można także w atmosferze piękna...

Kanada liczy dziś z górą 14 milionów mieszkańców. Najgęściej zaludnione są prowincje wschodnie, a wśród nich dwie prowincje historyczne, Quebec i Ontario wywierają wpływ przemózny na kształtowanie się losów kraju. Na 14 z górą milionów ludności 6 mil. mówi po angielsku, prawie 4 mil. po francusku, zaś pozostała reszta reprezentuje przybyszów z 35 różnych narodowości. Ci przybysze łatwiej wsiąkają w środowisko mówiące po angielsku, stąd zasadnicza niechęć Quebecu do masowej imigracji, względnie wysiłki zmierzające do ściągnięcia imigrantów także z Francji. Konkurencja i walka grupy językowej francuskiej z grupą językową angielską trwa nieprzerwanie i jest do dziś osiłą historii tego kraju. Ludność napływająca z innych państw nie jest czynnikiem który by łagodził ów spór zasadniczy. Wytwarza się więc sytuacja zupełnie różna niż w Stanach Zjednoczonych. W Stanach, wielojęzyczni imigranci najdalej w drugim pokoleniu uważają się za Amerykanów, działa tam prawo „melting pot” — stapianie we wspólnym kotle. Nic podobnego w Kanadzie. Kanadyjczyk mówiący po francusku uważa się za „Kanadyjczyka”, ci inni to dla niego po prostu Anglicy; Kanadyjczyk mówiący po angielsku uważa „French Canadians” za nieprzyjemnych autochtonów i daje często do zrozumienia, że mają oni domieszkę krwi indiańskiej. Walkę dwóch elementów narodowościowych zaostrzają różnice religijne: ludność mówiąca po angielsku (z wyjątkiem Irlandczyków)

jest przeważnie protestancka, francuscy Kanadyjczycy są katolikami. Położenie Kościoła w katolickim Quebec'u jest zupełnie wyjątkowe. Tłumaczy się to historycznie: gdy na mocy traktatu paryskiego z roku 1763 Kanada została ustąpiona Anglii, warstwy kierownicze Nowej Francji opuściły kraj. Zostali tylko osadnicy i duchowieństwo. Na księży spadł obowiązek przewodnictwa w ciężkiej walce wśród prześladowań, które trwały lat kilkadziesiąt zanim — w roku 1867 — aktem konfederacji nie nastąpiło ostateczne uregulowanie i uznanie pełnej autonomii Quebec'u.

W walce tej, prowadzonej pod przewodnictwem duchowieństwa, ludność francuska zachowała swoją wiarę, język i obyczaje. Nazywa się to „le miracle de la survivance française”. Jest to geneza szacunku, jakim otoczone jest w Quebec'u duchowieństwo i wpływów, jaki Kościół wywiera w tutejszym życiu: do dziś dnia szkolnictwo na wszystkich szczeblach podlega w Quebec'u kierownictwu Kościoła; biskupi są arbitrami w konfliktach pracy; parafia jest jednostką administracyjną, a znaczenie proboszcza na wsi przypomina naszego starostę lub wojewodę. Towarzystwa Rolnicze są katolickie, najsilniejsze związki zawodowe — katolickie, i nie ma chyba dziedziny życia, na którą nie rozciągałby się wpływ Kościoła.

Gdy obserwuje się ten zasięg wpływów Kościoła, trwający nieprzerwanie od początków kolonizacji, a jednocześnie widzi się masowy odpływ do miast, które — jak Montreal — są wybitnie kosmopolityczne i w stylu coraz bardziej amerykańskie — zadać sobie można pytanie, czy i jak długo może ostać się wyspa teokracji w morzu cywilizacji technokratycznej.

Nasuwałaby się pewna zmiana metod w stosunkach, które nie zasnęły dotąd żadnych poważniejszych wstrząsów ani rewolucji. Zaznaczyć przy tym warto, że społeczeństwo francusko-kanadyjskie przy całym przywiązaniu do „starej Francji”, odrzuca wszystko, co Francja tworzyła po wielkiej rewolucji. Ktoś lapidarnie powiedział, że Kanada francuska uznaje jako ostatniego kierownika Francji — Karola X-go, a w czasach współczesnych chyba jedyne go marszałka Pétain. Mimo konieczności ciągłego czerpania ze skarbnicy kultury francuskiej Kanadyjczyk nie chce tego przyznać i uważa Francję za „kraj misji” i za kraj, w którym „rozstrzelują księży”, a w stosunku do imigrantów-Francuzów nastawiony jest raczej niechętnie. Przywiązania ludności Quebec'u do Kościoła jest na ogół szczere; nie jest to bynajmniej katolicyzm intelektualny, raczej — katolicyzm mas, ale niemniej żywy; widzi go się nie tylko w objawach zewnętrznych ale w rodzinie, w wychowaniu młodzieży, wreszcie w ilości dzieci, niespotykanej już w Europie. Liczną rodziną nazywa się tu rodzina mająca kilkanaście dzieci. Dzięki swej rozrodczości ludność francuska zdobywa z powrotem tereny, które poprzednio zalane były przez osadnictwo angielskie (np. „les cantons de l'Est” czyli „Eastern Townships” w prowincji Quebec).

Czy istnieje patriotyzm kanadyjski? Jeśli istnieje, to jest on zupełnie czymś innym, niż patriotyzm narodów europejskich. Istnieje bez wątpienia poczucie wspólnoty rasowej i językowej każdej z dwóch grup narodowościowych, uważających się za prawych dziedziców tej ziemi. To poczucie wspólnoty przybiera niekiedy formy szowinizmu czy nawet rasizmu. Wielojęzyczny element napływający obecnie nie mógł jeszcze wyrobić w sobie prawdziwego przywiązania do nowego kraju. Sfery rządzące — myślę o władzach federalnych — starają się wyrobić poczucie wspólnoty ogólnokanadyjskiej, a drogą, która ma ten proces ułatwić, jest stopniowe i systematyczne zrywanie więzów z Anglią. W ten sposób zyskuje się popularność i wygrywa wybory; akcja rządowa, znosząc resztki zależności od Anglii (jak ostatnio zniesienie sankcji parlamentu angielskiego dla zmiany konstytucji kanadyjskiej, zniesienie apelacji do Privy Council, mianowanie Kanadyjczyka Gubernatorem Generalnym) — operuje zwykle argumentem dojrzałości Kanady, wejściem jej do rodziny narodów niepodległych, konieczności wyzbycia się resztek „kolonializmu” (tak głęboko niepopularnego w całej Ameryce). Na tle niezaprzeczanej „prosperity” (kraj wykazuje co roku nadwyżki budżetowe, zwiększa swój zapas złota i dewiz) nie wolna jest ta propaganda od znanego nam dobrze „dreszczyku mocarstwowego”, pretendowania do roli arbitra w sprawach międzynarodowych itp. Przemileża się przy tym świadomie coraz większą zależność gospodarczą od potężnego sąsiada i penetrację kapitału Stanów Zjednoczonych, dzięki któremu istnieje możliwość uruchomienia wielkich bogactw naturalnych tego kraju, nawet na dalekiej północy w klimacie bardzo surowym. Kapitał amerykański napływa także w ramach zamówień przemysłu zbrojeniowego.

Któż w tych warunkach broni związków z Anglią? — Część konserwatystów, wzorujących się na „Tories” angielskich; garść potężnych rodzin „oranzystów”, potomków „lojalistów”, którzy w swoim czasie uznać nie chcieli republiki Stanów Zjednoczonych; szereg rodzin dawnych administratorów kolonialnych, lub intelektualistów, dla których więź z Anglią jeszcze się nie przerwała. Nowym przybyszom z Europy Anglia już właściwie nie mówi; jakież sentyment dla rodziny królewskiej może mieć D. P. ukraiński lub jugosłowiański, Niemiec, Polak czy Holender, względnie ludność żydowska, stanowiąca duży odsetek mieszkańców wielkich miast i dominująca w wielkim handlu? Francuzi kanadyjscy mają do Anglii zasadniczo nastawienie negatywne; Anglia jest dla nich synonimem prześladowań i najazdu; dlatego każda wojna, prowadzona przez Anglię jest rzeczą zdrożną, słuszną natomiast jest chowanie się w lasy przed poborem wojskowym. Ostatnio, w taktyce konserwatystów Quebec’u zauważyć można pewien zwrot: wobec napiętej sytuacji światowej zaczynają się jakby zastanawiać, czy tempo zrywania z Anglią nie jest zbyt pośpieszne.

Na tle naszkicowanych powyżej stosunków ruch komunistyczny nie może operować w Kanadzie masami i jak we wszystkich krajach o podobnych stosunkach idzie głównie po linii nielicznej ale pewnej i doskonale zorganizowanej partii. Partia Komunistyczna, nazywająca się tu postępowo-robotniczą, jest zakazana przez prawo w prowincji Quebec’u, gdzie działa w podziemiu; w innych prowincjach operuje legalnie; bardzo dba o wtyczki w aparacie rządowym i o opanowanie związków zawodowych od góry. Ostatnio centrale związków zawodowych w Stanach, którym podlega wiele związków kanadyjskich, zawiesiły kierownictwo związku pracowników włókienniczych, opanowane przez komunistów. Poprzednio analogiczna operacja odbyła się w związku marynarzy.

Poza związkami komunizm stara się atakować sfery intelektualne, wyższe uczelnie itp. Tzw. salonowy komunizm ma tu dość wdzięczne pole do popisu, występując zresztą pod różną flagą, zależnie od warunków: raz jako akcja humanitarna, innym razem zaczyna od komunizmu rzekomo anty-stalinowskiego, często gra na powszechnym pragnieniu pokoju, z reguły wykorzystuje w agitacji przewagę gospodarczą Stanów Zjednoczonych itd. Cały ten arsenal środków znany nam jest dobrze z innych krajów, tu jednak natrafia na grunt bodaj podatniejszy: środowisko intelektualne jest pozbawione tradycji pokoleń, pozbawione sceptycyzmu i dość łatwowierne. To nie Paryż czy Londyn, gdzie „nowinki” zjawiały się nieprzerwanie od dziełatek a nawet setek lat i trafiają na bardziej krytyczne nastroje. Wreszcie wdzięczny teren dla akcji komunistycznej stanowią niektóre grupy narodowościowe świeżej emigracji.

W tym środowisku łatwo spotkać można niejedną tragedię osobistą i niejedno życie złamane, co stwarzać może podatną glebę dla formowania „fellow travellers”.

Walka z komunizmem w skali federalnej spoczywa w rękach tutejszej „konnej policji”, o której metodach ktoś zauważył, że walka z czerwonymi to nie jest to samo, co walka z czerwono-skórnymi. Organizacji specjalnych jak F.B.I. lub komisja do walki z działalnością anty-amerykańską w Stanach, Kanada nie stworzyła. Metody są klasyczne ale raczej łagodne. Najlepszą ilustracją może być głośna sprawa Gruzenki. Gruzenko oświadczył w swoim czasie, że oprócz znanej mu sieci szpiegowskiej, którą wydał władzom kanadyjskim, istnieją jeszcze z podobne sieci. Władze rozpracowały sieć przekazaną przez Gruzenkę, skazały winnych na kary paroletniego więzienia (szereg głośnych komunistów zdążył już karę odsiedzieć i przebywać na wolności), natomiast do pozostałych sieci nie dobrały się.

Głośna była ostatnio sprawa duchownego protestanckiego z Toronto i prezesa „Kongresu Pokoju” Dr Endicott’a: odbył on podróż do Chin i na Koreę, po czym oskarżył Stany Zjednoczone o używanie broni bakteriologicznej, zaś Kanadę — o fabrykowanie tej broni. Za to oszczerstwo własnej ojczyzny władze nie wytoczyły mu nawet sprawy sądowej, wychodząc z za-

łożenia, że nie należy sztucznie stwarzać męczenników. Jako jedyną możliwą sankcję przewiduje się ewentualne odmówienie Endicott'owi poszportu gdy następnym razem zechce się wybrać zagranicę.

Na zakończenie parę słów o stosunku ludności do nowych imigrantów. Ogólnie biorąc stosunek ten nie jest nieprzychylny, gdy dość powszechnie panuje przekonanie, że dla pełnego rozwoju swych bogactw Kanada potrzebuje więcej rąk do pracy i musi zwiększyć swe zaludnienie. Natomiast panuje opinia — że imigranci nie powinni przybywać w okresie sezonowego bezrobocia, a więc w czasie zimowego zastoju w budownictwie, a w ogóle podejmować się powinni takich prac, na które miejscowa ludność nie ma ochoty, np. prac w surowym klimacie. Dużą krzywdę niejednemu imigrantowi wyrządziły niektóre instytucje kanadyjskie, werbujące kandydatów w Europie. Wiele słyszy się skarg z powodu obietnic niemożliwych do spełnienia, a zwłaszcza obietnic pracy w swoim zawodzie. W obozach dochodziło parokrotnie do strajków głodowych na następującym tle: w obozach przebywają mężczyźni, którym polecono zostać rodziną w Europie dopóki nie uzyskają pracy w Kanadzie; ludzie ci starają się przez czas dłuższy o pracę we własnym zawodzie, wreszcie z rozpaczą przyjmują robotę w innych zawodach nieraz w ciężkich warunkach klimatycznych.

Jak wiemy tradycyjnie przeciwna emigracji jest ludność francusko-kanadyjska z obawy o utratę swej pozycji językowej. Tym nastrojom ostatnio skutecznie przeciwdziała Kościół zalecając wiernym, w myśl wskazań Papieża, ludzki i chrześcijański stosunek do nowych przybyszów.

Witold BABINSKI

Pospieszne sądy

Artykuł pana Abdanka o Kanadzie, zamieszczony w Nrze 7/57 - 8/58 „Kultury” jest niewątpliwie bardzo interesujący. Wnioski wyciągnięte przez autora są bardzo trafne, zwłaszcza jeżeli chodzi o przyszłość Kanady, a jego przepowiednie sprawdzają się (o czym autor nie wie) od mniej więcej dwóch dziesiątków lat. Jednak wnioski te oparte są na tak fałszywych przesłankach, że w interesie czytelników „Kultury” należało by może raz jeszcze przedyskutować „fakty” podane przez autora. Zwłaszcza że i tak ilość fałszywych informacji o Kanadzie kursujących po Europie jest zdumiewająca. A więc:

str. 85, w. 2 — „Człowiek pracujący w Kanadzie, nie zna... ubezpieczeń społecznych”. Powinno być: „przymusowych” ubezpieczeń. W ogóle w Kanadzie jest bardzo mało przymusu. Ale są renty starcze i subsydia dla dzieci. Dostają je automa-

tycznie wszyscy bez względu na stan majątkowy do 16-go i od 65 roku życia. Istnieje bardzo dużo ubezpieczalni kooperatywnych („Mutual”), oraz prywatnych dostępnych dla wszystkich. Ubezpieczenie od choroby zaczyna się już stawką kilkudziesięciu centów miesięcznie na głowę. Ubezp. od bezrobocia jest przymusowe.

str. 85 w. 8 — „za dwa tysiące kupuje dom”. Może omyłka w druku? Dom kosztuje około 8.000 i więcej. Rudera kupiona za dwa tysiące wymagałaby remontu za sześć.

Str. 86 w. 14 — „książek tu prawie nikt nie czyta”. To jest jedno z tych ryzykownych uogólnień. Wierzę, że znajomi pana Abdanka książek nie czytali. Gdyby jednak pan Abdank zajrzał do „Canada Yearbook” i porównał znalezione tam dane z „Małym Rocznikiem Statystycznym”, przekonałby się jak niefortunnie dobrał sobie tych znajomych. Przeciętnie bowiem w Kanadzie wypada 5 razy tyle przeczytanych książek na głowę co w Polsce przedwojennej. Porównuję dane dla obu krajów z 1938 roku. Podkreślam również, że chodzi tu o książki, a nie o czasopisma. Na żądanie służę dokładnymi liczbami.

Przypuszczalnie nieporozumienie polega na tym, że pan Abdank porównuje polską inteligencję kawiarnianą z kanadyjskim robotnikiem. Mamy więc pełne prawo porównać inteligenta kanadyjskiego (kawiarni tu rzeczywiście nie ma) z polskim robotnikiem czy chłopem i dojść do wniosku, że „w Polsce książek nikt nie czytał”.

Słuszne jest jednak spostrzeżenie autora, że w Kanadzie słankach, że w interesie czytelników „Kultury” należało by jest stosunkowo mało księgarń (np. 27 w Montrealu), a to dlatego że przy olbrzymich przestrzeniach kanadyjskich rozpowszechnione jest kupowanie przez pocztę z katalogu, oraz przez kluby amerykańskie, które dostarczają członkom książek po bardzo niskich cenach. Poza tym żadna księgarnia nie może trzymać na składzie wszystkich książek wydanych w krajach anglosaskich i często pośredniczy tylko pomiędzy klientem i wydawcą. Roczny katalog książek wydanych po angielsku waży coś 10 kilo.

Str. 86 w. 17 — „tylko robotnicy mają swe związki zawodowe”. Nie — mają je również nauczyciele, artyści i większość wolnych zawodów, a także urzędnicy państwowi, oraz kolejowi.

str. 86 w. 28 — „Pierwsza historycznie warstwa ludności... robotnicy...”. Jeżeli „historycznie” znaczy chronologicznie, to było kilka warstw społecznych poprzedzających robotników: przede wszystkim była bardzo wyraźna warstwa rolnicza, i to rolników osiadłych. Dotychczas blisko połowa ludności Kanady mieszka na wsi i w większości wypadków jest to ludność osiadła.

str. 86 w. 50 — „robotnicy... stanowią... coś znacznie bliższego dawnemu polskiemu tłumowi szlacheckiemu...”. Nie sły-

szalem żeby polski tłum szlachecki odznaczał się kultem pieśniadza, pracowitością, brakiem przywiązania do ziemi i tradycji. Wręcz odwrotnie. Chyba tyle, że książek też nie czytał.

str. 87 w. 30 — „comics'ów” tj. komentowanych rysunków dla dzieci...”. Tylko bardzo nieznaczna część „comics” jest przeznaczona dla dzieci. Kanada nie produkuje prawie żadnych „comics” — sprowadzane są one ze Stanów. Ten rodzaj „twórczości” literackiej może się nie podobać, ale porównywanie jej do obozów koncentracyjnych jest przepraszać zwykłą histerią. „Comics” nie dzielą się bynajmniej na klasyczne i „zwykle bzdury”. Najwyższy poziom mają historie obrazkowe o charakterze satyrycznym i robione są przez bardzo utalentowanych artystów. Stanowią one oczywiście mniejszość. Potem idą niby to poważne historie przygód, podróży itd. na fantastycznie niskim poziomie. Dalej również niewybredne serie komiczne, ale przynajmniej wesołe. Jeszcze dalej historyjki dla dzieci. I wreszcie na samym końcu „classic comics”, co do których autor nie nie przesadził, ale które są bardzo mało popularne — złośliwi twierdzą, że są za trudne. Można by zarykować twierdzenie, że na stu kanadyjczyków może jeden słyszał że takie „comics” w ogóle istnieją. W Stanach istnieją jeszcze „criminal comics”; ale te są w Kanadzie zabronione.

str. 88 w. 2 — „tłumaczenia... literatury światowej... są dostępne — po stosownej cenie...”. Większość arcydzieł literatury światowej wydana została w tzw. Pocket Books po cenie 25 centów za książkę. Jeżeli ktoś woli normalne wydania w oprawie, to płaci średnio 2 do 3-dolarów, tj. równowartość dwóch godzin pracy. W Polsce oprawiona książka kosztowała przed wojną do 10 zł. i była odpowiednikiem od jednego do dwóch dni pracy. A to że pan Abdank nie mógł znaleźć wyborczej broszury Tafta, to może nawet dobrze świadczy o mieszkańcach prerii.

str. 88 w. 27 — „...brak warstwy oświeconej”. Czyżby? W uniwersytetach kanadyjskich studiuje blisko 3 razy tyle osób (na tysiąc mieszkańców) co w Polsce przedwojennej. Doktoruje się co roku 5 razy tyle co w Polsce. Jakież inne kryteria mamy?

str. 88 w. 43 — „...socjalizm i wszystkie kompleksy z tym związane tu nie istnieją”. Z trzech prowincji preriowych, jedna ma rząd socjalistyczny (CCF), a druga „kompleks z tym związany” (Social Credit); w jednej z nich pan Abdank mieszkał. Obecnie Brytyjska Kolumbia ma już prawie, że większość socjalistyczną.

str. 90 w. 15 — „...fakt jednakowości klimatu prawie całej Kanady”. Kanada ma przysłowiowo nierówny klimat. I tak: poruszając się wzdłuż jednego tylko równoleżnika napotykamy na klimat nadmorski w Vancouver — bardzo dużo opadów, prawie wcale przymrozków w zimie, o sto mil dalej zupełny pra-

wie brak opadów, o dalsze 300 mil prawie wyłącznie śnieżne opady z suszą w lecie trwającą blisko 6 miesięcy, jeszcze dalej typowy klimat kontynentalny z rozpiętością temperatur dochodzącą do 100 st. C. w tej samej miejscowości. Ten klimat rozciąga się od Calgary do Winnipegu. Dopiero na wschód aż do doliny St. Lawrence mamy coś w rodzaju klimatu pół-arktycznego. Dalej znów klimat nadmorski, ale tym razem zimny w lecie, a nie ciepły w zimie, jak to było w Brytyjskiej Kolumbii. Ponieważ Kanada leży pomiędzy 40-ym, a 90 stopniem szerokości geograficznej, różnice w kierunku północ-południe są znacznie większe. Pomijając południowe Ontario, które istotnie jest maleńką częścią Kanady i gdzie kwitnie produkcja wina, tytoniu, brzośkwii, nawet w Quebec'u (ta sama szerokość co północne Włochy) mamy w lecie kolibry, natomiast w zimie nawet wrony odlatują na południe, a mrozy dochodzą do 45° poniżej zera (w lecie upały do 40 st. C). I to pomimo, że od oceanu dzieli nas tylko 300 km. Jabłka dojrzewają w Ayklavik poza kołem biegunowym, ale nie dojrzeją o 500 mil na południe w Churchill, bo nawet świerki tam tylko wegetują. Tak jak klimat zmienia się co paręset kilometrów, tak pogoda co parę godzin, zwłaszcza we wschodniej Kanadzie. Spadek temperatury wynoszący 20 stopni na godzinę nie wywołuje komentarzy w prasie. Tyle o tej „jednakowości”.

str. 90 w. 19 — „pomieszczenie etniczne”. Brak pomieszczenia etnicznego jest największą bolączką Kanady, która do dziś jest krajem dwujęzycznym. Piąta część ludności Kanady mówi tylko po francusku. Quebec (dwa i pół razy większy od Francji) jest w 80% francuski, a skupia się w nim 25% ludności całego kraju. Bardzo wysoki przyrost naturalny Quebecu wywołuje obawę, że kiedyś cała Kanada stanie się francuska. Dziś stosunek ludności francuskiej (w całej Kanadzie) do anglo-saskiej jest w przybliżeniu 3 do 5, z tym jednak, że ludność anglosaska nie jest jednolita (Anglicy, Szkoci, Irlandczycy) i że Irlandczyków zbliża do Francuzów religia. Już w tej chwili nie do pomyślenia jest rząd federalny, który by nie miał poparcia francuskiego.

str. 90 w. 46 — „...że zarabiasz mniej teraz niż przedtem jesteś stracony”. Jest to twierdzenie tak na niczym nie oparte, że trudno je odeprzeć. Klasa „oświecona”, której pan Abdank nie zauważył, będzie z całym uznaniem dla takiego śmiałka, a robotnicy o ile im się cierpliwie wytłumaczy o co chodzi będą raczej zazdrościli. Stąd wiem, że sam będąc robotnikiem własnie to zrobiłem i mogłem obserwować reakcję po obu stronach linii dzielącej warstwę „oświeconą” od nieoświeconej. Wielu robotników przez całe życie marzy o tym, żeby się przenieść na wieś i mieć spokojniejsze, chociaż nawet znacznie skromniejsze życie.

str. 92 w. 20 — „Dlatego uważać można Kanadę za społeczeństwo jednoklasowe”. Już poprzednio stwierdziliśmy, że nie można. Robotników w Kanadzie jest około 700 tysięcy, z ro-

dzinami to daje trzy i pół miliona, a więc około 25%. Są inne klasy, bardzo wyraźne. Różnica pomiędzy Kanadą i Europą podkreśla łatwość przechodzenia z jednej klasy do drugiej. I to w obu kierunkach. Ale nie do samego końca. Nawet tutaj jest rodzaj arystokracji, do której pieniądze nie wprowadzą dorobkiewicza. Pochodzenie europejskie będzie znacznie lepszą legitymacją niż pieniądze. Oczywiście pochodzenie to musi być poparte przynależnością do klasy „oświeconej” w Europie.

Wnioski z powyższego byłyby takie: nie należy pisać o żadnym kraju, jeżeli się spędziło jakiś czas w Pipidówce, nie czytało nic o tym kraju (jednocześnie oburzając się na analfabetyzm lokalny), nie zorientowało się ani w geografii, ani w historii, ani w lokalnej polityce. Należy wtedy po prostu wyjechać, jeżeli się nie podobało, i cicho siedzieć. Sam wyjazd pana Abdanka nie był wstrząsem dla Kanady, i nie wymagał usprawiedliwień.

Drugi wniosek, to żeby napisać krótką ulotkę informacyjną o Kanadzie i zmusić każdego kandydata na przyjazd tutaj do przeczytania. Bo wypadek pana Abdanka nie jest jedyny — nie wszyscy mają jednak tyle odwagi cywilnej, żeby wyjechać. Zostają i narzekają, a to że złoto nie leży na ulicy, a to że nie ma życia kawiarnianego, a to że nie ma od kogo pożyczyć na następny tydzień, a znów że kobiety nie chcą, albo że wódka za droga.

Jest kilka prawd o Kanadzie trudnych do przyswojenia sobie bez dłuższych na ten temat wyjaśnień. Na przykład, że Kanada to jest kraj pracy, ale nie koniecznie ręcznej. Praca intelektualna jest ceniona znacznie wyżej. Ale naprawdę tworczą pracę, a nie obijanie się. Ze Kanada, to nie są Stany Zjednoczone. Kanada jest większa terytorialnie, a znacznie mniejsza ludnościowo, a więc potencjalnie znacznie bogatsza. Ze Kanada ma kupę własnych problemów, dla Europejczyka bardzo trudnych do rozgryzienia i zniechęcających. O żadnym z tych problemów pan Abdank nawet nie wspomniat.

Ze Kanada jest krajem, gdzie wolność osobista jest cenniejsza niż gdziekolwiek na świecie, i gdzie nie ma prawie żadnych przesądów rasowych czy religijnych. Gdzie uczciwość w życiu prywatnym (nie w „business’ie”) dorównuje uczciwości Szwajcarów czy Skandynawów. Ze wreszcie Kanadyjczykiem można być albo z urodzenia, albo z wyboru, ale nie z musu, czy z oportunizmu.

Kanada nie jest „załudnioną przestrzenią”. Jest bardzo silnie emocjonalnie związana z Anglią, mniej silnie z Francją. Ale kulturalnie ciąży znacznie bardziej do Europy niż do Stanów, chociaż ekonomicznie związana jest raczej ze Stanami. Gdyby jednak, co jest mało prawdopodobne, zamknięto granicę amerykańską, Kanada ucierpiałaby znacznie mniej niż Stany.

S. A. ZIELINSKI,
Filford, Que., Canada

Kronika ukraińska

Izaak Mazepa i St. Stempowski

Tego roku przybyła spóźniona wieść o śmierci dwóch wybitnych działaczy z heroicznego okresu naszej „wojennej” suwerenności.

Byli to ludzie różni pod każdym względem, różni pod względem swego stylu, kultury, formatu, urzędowego stanowiska, a nawet... narodowości. Ale obaj byli naszymi ministrami, wybitnymi synami naszej ziemi i obywatelami naszej ojczyzny. Śmierć wezwała ich niemal jednocześnie, choć jeden z nich — starszy — już od dawna przebywał „na spoczynku”, a drugi — młodszy — odnowił po drugiej przerwie swą działalność polityczną i zmarł na posterunku.

W owych doniosłych latach 1918-20 stosunki między rządem i wojskiem nigdy nie układały się harmonijnie; zbyt wielkie różnice psychologiczne dzieliły je między sobą. Zresztą wybitnych ludzi wśród naszych urzędowych — przeważnie partyjnych — działaczy było, niestety, bardzo mało. Jeśli przy tym zważymy, że wśród wojskowych trafiały się jednostki, jeśli nie wybitne, to w każdym razie o jaskrawo zarysowanej osobowości, nie mówiąc już o takiej indywidualności, jak Wasyl Tiutiunyk, właśnie w najkrytyczniejszym 1919 roku dowódca Armii, staje się zrozumiałe dlaczego wspomniane stosunki doprowadzały niekiedy do ostrego napięcia. Jedynie Petlura, który stanowił niejako łączące ogniwo między wojskiem i rządem, łagodził i zapobiegał możliwym wybuchom. Właściwie „wybuchy” te ograniczały się do krótkich pojedynków słownych w sztabie Armii.

Nasi polityczni działacze, przeważnie powiązani z tradycyjnymi partiami (socjal-demokratyczną i socjal-rewolucyjną), z lekka w tym i owym potrącającymi o anachronizm, nie zawsze zdawali sobie sprawę z miejsca i czasu, w jakim wykonywali

Niniejszy artykuł ukaże się w języku ukraińskim w II. tomie nowojorskiego „Zbiornika Literacko-Naukowego”.

swe czynności. A więc toczyła się walka międzypartyjna, gabinety upadały nieomal we francuskim stylu, powstawały nowe itd. Tragikomizm tego wszystkiego polegał na tym, że przecież jednocześnie toczyła się tragicznie nierówna walka z chytrem, podstępny, podłym wrogiem, uzbrojonym w wielowiekowe doświadczenie nienasyconego, pasożytniczego imperializmu. Toż często w ośrodkach tego „życia politycznego” (zmieniały się często w związku z sytuacją na froncie, czy raczej frontach) słychać było nie tylko armatnią ale i karabinową strzelaninę z bojowej linii.

Nasi polityczni działacze zwłaszcza nie lubili dowódcy Armii, Wasyla Tiutiunnyka (były pułkownik z pierwszej wojny światowej, zmarł w Równem na płamisty tyfus, w dniu 19 grudnia 1919 roku), wciąż podejrzewając, co nie było pozbawione logiki, że skasuje któregoś dnia tę „polityczną walkę” i ogłosi wojskową dyktaturę. Obawy te świadczyły, że „cywile” nie mają pojęcia o charakterze Wasyla Tiutiunnyka i o psychologii prawdziwego wojskowego, jakim był zawsze.

Autorowi tych słów, który ówczesnie był adiutantem dowódcy Armii, zdarzało się niekiedy brać marginesowy udział w kontaktach Dowództwa z Rządem i za każdym razem taka przymusowa wizyta w tym czy innym ministerstwie sprawiała młodemu, romantycznie nastroszonemu oficerowi mniejszą lub większą przykrość. Ale „rozkaz rozkazem” i trzeba go było wykonywać i niejednokrotnie cierpliwie wysłuchiwać ironicznych uwag jakiegoś pana w żakiecie i krawacie o „waszym atamanie” (w roku 1919 ataman odpowiadał randze generała).

Toteż że źle ukrywaną niechęcią wybierałem się gdzieś późną wiosną 1919 roku z wizytą do pana ministra Spraw Wewnętrznych nowopowstałego gabinetu. Już nie pamiętam na czym polegała sprawa — czy chodziło o kwestie mobilizacyjne czy intendenckie. Pamiętam tylko, że po drodze myślałem o na próżno straconym czasie, o ogólnikach, pustych obietnicach itd. Ponieważ nowy gabinet był bardzo lewicowy, tym trudniej było spodziewać się rzeczowego podejścia do spraw.

Jakież było moje zdziwienie, gdy pan minister, członek Partii S. D. (a zatem — *horribile dictu* — marksista!), człowiek o twarzy „inteligentnego robotnika”, jak to sobie ironicznie zanotowałem na pierwszy rzut oka, zadawał pytania i odpowiadał, krótko, konkretnie, rzeczowo, choć z rażąco jaskrawą wymową czernihowską, i załatwił moją sprawę, jak to mówią, w pięć minut. Mało tego, zaraz przy mnie wezwał odpowiedniego urzędnika i wydał mu odpowiednio rozporządzenie — tak samo krótkie, jasne i rzeczowe, — tak że nie pozostawało żadnej wątpliwości, iż rozkaz będzie wykonany szybko i dokładnie. Żadnych aluzji do „niemożliwych wymagań waszego atamana” nie usłyszałem. Przeciwnie już przy pożegnaniu otrzymałem polecenie przekazania czegoś w rodzaju „pozdrowienia” dla mego przełożonego. Wszystko to było takie niespodziewane, niebywałe, „nie tradycyjne”, że poczułem się równie osłupiały jak

oczarowany. Nie, ten socjalista nie jest z cywilnego ciasta — powiedziałem, porządkując swoje podniecone myśli. A na mój patetyczny meldunek usłyszałem słowa, jakie rzadko wychodziły z lakonicznych ust Tiutiunnyka: „To poważny człowiek, jeszcze my o nim usłyszymy”.

I rzeczywiście — jeszcześmy o nim usłyszeli, i to nie raz. I nie raz zdarzyło mi się z nim spotkać. Gdy przyszedł straszliwy epilog 1919 roku, widziano premiera Isaaka Mazepę w żołnierskim płaszczu, wyruszającego w szeregi wojska w sławny Zimowy Pochód 1919-20, poprowadzony na tyły wroga.

Mazepa nie był jedynym ukraińskim ministrem, jaki los związał ściśle z losami wojska. Podobnie uczynił nasz minister Marynarki, M. Biłyński, który za udział w wyprawie 1922 roku zapłacił bohaterską śmiercią; to właśnie jemu Juri Łypa poświęcił Epitafię, jeden z najlepszych swoich poematów. Tak samo zachował się minister Komunikacji, inżynier S. Tymoszenko (później profesor; zmarł w Stanach Zjednoczonych w 1951). Ale Biłyński był oficerem marynarki, S. Tymoszenko psychicznie czuł się zawsze wojskowym i żaden z nich, naturalnie, socjalista, marksista, ani „politykiem” nigdy nie był.

Natomiast Isaak Mazepa był typowym cywilem, starym partyjnym działaczem socjal - demokratycznym, urodzonym politykiem i przekonany marksistą, dochowującym wierności tej dość dziwnej dla Ukraińca doktrynie aż do śmierci. Toteż tego żołnierskiego płaszcza z 1919 roku nigdy mu nie zapomni Ukraińska Armia, ukraiński żołnierz i — jesteśmy tego pewni — narodowa historia. Tak, to był człowiek charakteru i obowiązków.

Gdy myślę o Stanisławie Stempowskim, zawsze przychodzi mi na pamięć wspaniały zwrot Zinaidy Hippus o „pachnącej siwiznie”. Pachnąca, wonna, aromatyczna siwizna. Dużo lepiej w rosyjskim oryginale, trudnym do przełożenia: *blagouchajuszczija siediny*”.

Istotnie, obraz ten, przy całej swej ograniczoności i powierzchnowości, wyraża coś najbardziej charakterystycznego, najbardziej istotnego w jego postaci.

Rzadko w życiu zdarza się spotkać tak czarującego człowieka. Trudno wyobrazić sobie, aby miał on wrogów, przynajmniej osobistych. Nie można było go nie lubić. Stempowski, pomimo całkowicie siwych włosów (posiadał, zdaje się, bardzo wcześnie), miał jakiś dar dziwnej, a zarazem całkowicie u niego naturalnej, wiecznej młodości. Ale młodość ta łączyła się w nim organicznie z mądrością. To właśnie stąd ta „wonna, aromatyczna siwizna”, ta jakaś kwitnąca, wiosenna siwizna, nie mająca nic wspólnego ze starością i wynikających z niej, nie zawsze przyjemnych następstw.

W okresie gdy go poznał, był to człowiek już niemłody, doświadczony, znający ludzi i rzeczy. Gdzieś na dnie duszy nie mógł nie kryć pewnej dozy sceptycyzmu (Stempowski bardzo

cecił Anatola France'a), ale sceptycyzm ten stanowił pewną miarę spraw a nie zatrute obciążenie. Poza tym cechowała go pełna ciekawość ludzi i świata, swojego rodzaju „młoda ciekawość”, która spogląda na wszystko szeroko odkrytymi oczami.

Nasze pierwsze spotkanie odbyło się bodaj w Żmerynce, w wirze ewakuacyjnego chaosu, w lecie 1920. Stempowski znalazł dla mnie miejsce w wagonie, który, jak się później wyjaśniło, był do jego dyspozycji. W rękach gospodarza spostrzegłem „Słoneczne klarnety” Tyczyny... Od tego zaczęła się nasza długoletnia przyjaźń: ojcowska z jego strony, synowska — z mojej.

Stanisław Stempowski pochodził spod Winnicy, należał do warstwy ziemiańskiej, od wczesnych lat zajmował się działalnością społeczną. Wychowanek Dorpatu, tam właśnie zetknął się z inteligentami-Ukraińcami, między innymi z Bohdanem Kystiakowskim. Dziwna rzecz, pierwszy pobyt w rosyjskim więzieniu zmarły zawdzięczał zajęciem się sprawą ukraińską.

Nie tu miejsce na omawianie Polaków ukraińskich, roli przez nich odgrywanej w wyzwolenczej walce naszego narodu, ani na charakteryzowanie ich jako odrębnego, specyficznego stanu na Ukrainie. Temat to nie byle jaki i, jak się wydaje, długo jeszcze poczeka na swego specjalistę. Przypomnijmy jedynie nazwiska Antonowicza, Ryłskiego, Lipińskiego...

Stempowski nie był typem przywódcy czy lidera. Mądrze sceptyczny, człowiek o wysokiej, wyrafinowanej kulturze, na pewno należał do elity kulturalnej Europy jego czasów, elity, o której wiemy z doświadczenia, że nie jest tak liczna, jak to nam się kiedyś wydawało ze Wschodu. Ludzie o takiej kulturze znikają obecnie, bodaj nie pozostawiając następców. Aby bowiem wychować taki typ człowieka, potrzebne są odpowiednio ustabilizowane warunki na przestrzeni trzech, czterech czy pięciu pokoleń — minimum, o jakim na naszym rozdrożu historycznym nie można nawet marzyć.

Do polityki Stempowski nie nadawał się, gdyż był urodzonym filozofem, a raczej mędrcem w antycznym znaczeniu tego słowa. Jedynie przymusowe okoliczności (brak ludzi) wysunęły go na arenę politycznego życia, i tak oto Stempowski stał się naszym ostatnim ministrem Skarbu (przed emigracją 1920 r.).

Ale to oficjalne stanowisko bynajmniej nie wyczerpywało jego działalności społeczno-obywatelskiej. Był okres (rok 1920), gdy w wąskich palcach tego człowieka zbiegało się wiele nitki ukraińsko-polskiej polityki, przeważnie pozaoficjalnej, zakulisowej, a tym samym — politycy dobrze o tym wiedzą — najważniejszej. Wielka szkoda, że ta strona jego działalności nie pozostawiła po sobie żadnych dokumentów, ani materiałów, i Stanisław Stempowski zapewne nigdy nie będzie miał swej monografii.

Należał on do tego rodzaju ukraińskich Polaków, którzy w odrodzonej Polsce (proszę mi wybaczyć niedyskrecję) swego home'u nie znaleźli, choć niekiedy zajmowali bardzo wysokie

stanowiska. Wciąż czuli się niejako na emigracji. Wielu z nich, w wieku poważnie już zaawansowanym, powtarzało znaną modlitwę Bohdana Zaleskiego: taki był czar naszej ziemi. Ludzie o wysokiej przeważnie kulturze, tym samym nie mieli nic wspólnego nie tylko z „kompleksem Zagłoby”, ale i z „kompleksem Sienkiewicza”. Oczyli mieli dobrze otwarte i polską rzeczywistość widzieli na trzeźwo. Stąd więcej było bólu niż entuzjazmu. Ponadto pewien ich odłam czuł się obywatelami Ukrainy, pojętej jako państwowość. Ta okoliczność zaostbrała zle samopoczucie i zbliżała do naszej emigracji. Właśnie do tego odłamu Polaków ukraińskich należał Stanisław Stempowski. Był on emigrantem w pełnym znaczeniu tego słowa, chociaż Warszawa stała się terenem jego legalnej i nielegalnej działalności jeszcze przed rokiem 1914. Pod względem materialnym jego życie w Warszawie prawie niczym nie różniło się od życia przeciętnego Ukraińca. Pracował na skromnej posadzie bibliotekarza Ministerstwa Rolnictwa, gdzie również przez pewien czas był zatrudniony autor tego wspomnienia. Z punktu widzenia moralnego sytuacja jego jako Polaka była dość skomplikowana, żeby nie powiedzieć więcej... To nie było „gogołowskie rozdwojenie”, ani inny fenomen w podobnie „rosyjskim” wydaniu — nie! Ale była w tym największa udręka: wiedzieć i nie móc.

Gdyby nasze pokolenie zdobyło państwowość w latach 1917-19, ci „nasi” ukraińscy Polacy stanowiliby wielki kapitał naszej odrodzonej ojczyzny, kapitał wszechstronny: od rolnictwa i cukrownictwa aż po naukę i dyplomację.

Kto miał szczęście znać zmarłego, ten zrozumie cały paradoksalny patos tych słów.

Jewhen MAŁANIUK

(Tłumaczył z ukraińskiego Józef Łobodowski)

Z życia sowieckiej Ukrainy

PO 17 ZJEZDZIE KOMUNISTYCZNEJ PARTII
SOWIECKIEJ UKRAINY

17. Zjazd Komunistycznej Partii Bolszewików Ukrainy odbył się w Kijowie na krótko przed 19. Zjazdem Wszechzwiązkowej Partii Komunistycznej Bolszewików. W naradach, które trwały od 23. do 27. września, uczestniczyło 771 delegatów z czynnym prawem głosowania, którzy reprezentowali 771.000 członków KPBU, oraz 116 delegatów z doradczym prawem głosu, którzy przybyli do Kijowa w imieniu 116.000 kandydatów partyjnych.

Historia komunizmu na Ukrainie, to pasmo nieprzerwanych czystek, aresztów, prześladowań, samobójstw. Mimo, że Moskwa rozwiązała w roku 1921-ym samodzielną Ukraińską Partię Komunistyczną i utworzyła filię

Wszelkich Partii Komunistycznej Bolszewików w postaci Komunistycznej Partii Bolszewików Ukrainy, nie zdołało to wypłenić tendencji odródkowych wśród komunistów ukraińskich, którzy przez długie lata stawiali czoło centralistycznym i rusyfikatorskim dążeniom centrum komunistycznego w Moskwie. Sytuację komunistów ukraińskich komplikowała ta okoliczność, że od czasu rozwiązania Ukraińskiej Partii Komunistycznej żaden Ukraińiec nie sprawował stanowiska pierwszego sekretarza Komitetu Centralnego w utworzonej po 1921 roku KPBU. Na początku 20-ych lat wykonywał tę funkcję Otto Aussen, oddany Moskwie komunistą lotewski. Po nim przejął to stanowisko Łazar Kaganowicz. W roku 1928-ym zmienił go zrusyfikowany Polak, Stanisław Kosior. W kilka lat po nim pierwszym sekretarzem KPBU mianowano Rosjanina, Pawła Postyszewa, który rozpoczął falę prześladowań i rusyfikacji. Kiedy tenże Postyszew sam padł ofiarą terroru, przezeń w ciągu lat personifikowanego, wybór Moskwy padł na wiernego wykonawcę stalinowskiej linii generalnej, Nikitę Chruszczewa, który od 1938-go roku do końca drugiej wojny światowej, kierował komunistycznym aparatem na Ukrainie Sowieckiej. Po wojnie funkcję sekretarza partii objął ponownie na dwa lata Łazar Kaganowicz, Chruszczew zaś został premierem rządu Ukrainy Sowieckiej. W grudniu 1947 r. Chruszczew powrócił na stanowisko pierwszego sekretarza KPBU, a na początku 1950 roku został odwołany do Moskwy na zaszczytne stanowisko pierwszego sekretarza moskiewskiego komitetu partyjnego. Tradycyjnym już prawie zwyczajem, opróżnione miejsce po Chruszczewie zajął Rosjanin Leonid Mielnikow, który od kilku lat przygotowywał się do tego zadania, należąc do najbliższych współpracowników Chruszczewa w Kijowie.

W okresie 30 lat władzy obcych sekretarzy partii, wszyscy nieomal starzy komuniści Ukraińcy zostali zlikwidowani lub wpędzeni w sytuację, w których samobójstwo kładło kres konfliktom i tragediom ludzkim. Pierwszy premier rządu Ukrainy Sowieckiej, Szachraj, został rozstrzelany. Ten sam los spotkał również późniejszego premiera, Ulasa Czubarowa. W 30-ych latach popełnił samobójstwo stary komuniista Mykoła Skrypnyk. W roku 1936-ym zastrzelili się premier Panas Lubczenko. Zlikwidowany został na rozkaz Moskwy komisarz oświaty, Szumski. O rozpiętości i zasięgu czystki komunistycznego aparatu na Ukrainie w latach 30-ych świadczy wymownie fakt, że kiedy w roku 1933 KPBU liczyła 600.000 członków, to w dwa lata później było ich już tylko 300.000. W samym tylko 1933 roku zlikwidowano 237 sekretarzy okręgowych komitetów KPBU. W 1934 roku Moskwa posłała na Ukrainę przeszło 1300 komunistów rosyjskich, którzy obsadzili czołowe stanowiska w aparacie partyjnym.

Jeszcze przed 17. Zjazdem partii, w ciągu całego września odbywały się okręgowe konferencje partyjne, na których wystąpiły dwa zasadnicze momenty, a mianowicie usiłowanie ożywienia krytyki „z dołu”, oraz kontynuacja i naukowy. Obydwa te momenty ujawniły się również w toku 17. zjazdu KPBU.

Różne afery i nadużycia, protekcja, „kumoterstwo” i korupcja „demaskowane” na konferencjach partyjnych w Odessie, w Kijowie, w Woroszyłowgradzie, a następnie na 17. zjeździe partii w Kijowie wskazują do jakich rozmiarów doszła demoralizacja, bezideowość i samowola stalinowskiego aparatu biurokracji partyjnej na Ukrainie. (Relacje o zjazdach partii komunistycznych innych republik potwierdzają powszechność tych zjawisk na terenie całego Związku republik sowieckich). Daleko ciekawsze od stalinowskiej „krytyki i samokrytyki”, były nowe ataki na ukraińską kulturę narodową i jej przedstawicieli w USRR. Już na kijowskiej miejskiej konferencji partyjnej, która odbyła się w pierwszych dniach września, krytykowano pomyłki partyjnej organizacji w Związku Pisarzy Ukraińskich w dziedzinie spraw ideologicznych. Kierownictwu kijowskiego Teatru

Opery i Baletu zarzucono, że do ostatniego czasu ignorowało rosyjski repertuar klasyczny. Zaatakowano Ukraińską Akademię Nauk, a szczególnie instytuty literatury, filozofii, nauki o sztuce, folkloru i etnografii. Wszelkie te instytuty „nie wykorzystują należycie nauki Stalina w dziedzinie językoznawstwa” czyli nie uznają dominacji języka rosyjskiego i rosyjskiej kultury i nauki. Głównym obiektem rusyfikatorskich ataków stała się działalność Instytutu Literatury przy Akademii Nauk, w którym rzekomo zagnieździł się „burżuazyjny nacjonalizm i kosmopolityzm”. Na dowód tego przytoczono sprawę wydawnictwa pism Kociubynskiego. Redaktor tego wydawnictwa, któremu patronuje Instytut Literatury Akademii Nauk, S. Kryżaniwskij, miał rzekomo do czwartego tomu zebranych pism Kociubynskiego włączyć materiały, które „wykrzywiają ogólny obraz twórczości pisarza”. Zupełnie niewybrednie zaincenizowano nagonkę na członka Akademii Nauk, i naczelnego dyrektora Instytutu Literatury, prof. uniwersytetu kijowskiego Bileckiego. Zarzucono mu mianowicie, że wydając 5-ty tom pism Kotłarewskiego, włączył do niego materiały, które „nie tylko, że nie oddają poglądów pisarza”, ale i „wywołują wątpliwości, czy w ogóle wyszły spod pióra Kotłarewskiego”. W podobny sposób zaatakowano współpracowników Instytutu Literatury przy Akademii Nauk w Kijowie Hrudnicką, Kurylenkę i wspomnianego już Kryżaniwskiego, ponieważ, wydając 2-gi tom dzieł nowelisty ukraińskiego, w których w sposób pozytywny wymienione zostały „imiona wrogów narodu ukraińskiego — burżuazyjnych nacjonalistów”.

W kilka dni później powtórzyły się te same lub podobne ataki na kulturę ukraińską na kijowskiej okręgowej konferencji partyjnej. We Lwowie zagadnienie walki z „ukraińskim burżuazyjnym nacjonalizmem” było jednym z czołowych problemów, dyskutowanych przed 17. zjazdem KPBU. Z zarzutem tym spotkała się lwowska filia Akademii Nauk USRR, uniwersytet, wyższe szkoły, teatry oraz dziennik „Wilna Ukraina”.

17. Kongres KPBU zainaugurował pierwszy sekretarz Komitetu Centralnego, Mielnikow, wygłaszając przemówienie sprawozdawcze. Mówiąc o zagadnieniach ideologicznych, Mielnikow stwierdził, że jednym z głównych zadań w tej dziedzinie było w ostatnich latach „demaskowanie ukraińskiego burżuazyjnego nacjonalizmu”. „Uczni ukraińscy rozwiązali szereg problemów, zbył mało jednak dali prac o ukraińskim burżuazyjnym nacjonalizmie”. Motyw ten powracał wielokrotnie w przemówieniu Mielnikowa oraz innych mówców kongresowych. Prezes Związku Pisarzy Ukraińskich, Kornijczuk, (Polakom znany głównie z ożenku z Wandą Wasilewską), który od lat już strzeże linii generalnej wśród pisarzy, oskarżył Sosiurę, Rylskiego i Perwomajskiego, że dotychczas jeszcze nie wyciągnęli należytych wniosków z krytyki, z którą spotkali się w zeszłym roku i nie dali społeczeństwu nuowanie nagonki na przejawy ukraińskiej niezawisłości w życiu kulturalnym, które by były odpowiedzią na tę krytykę. Mówiąc pro domo sua, Kornijczuk oświadczył, że po krytyce „Prawdy” opery „Bohdan Chmielnicki” przerobił gruntownie libretto opery. Zagadnienie walki z ukraińskim burżuazyjnym nacjonalizmem stanowiło również ważny element w przemówieniu sekretarza lwowskiego okręgowego komitetu partyjnego, Serdiuka. Oświadczył on m. in., że w ostatnim czasie „rozbito resztki band ukraińskich nacjonalistów — agentów imperializmu anglo-amerykańskiego”.

Poszczególne mówcy podali szereg cyfr z rozmaitych dziedzin życia Ukrainy, z których niektóre zasługują na uwagę. Według Mielnikowa KPBU składa się w 36,9 procentach z pracowników w przemyśle, w 17 proc. gospodarki rolnej, w 9,1 proc. z naukowych pracowników. Ze statystyki tej wynika więc, że 37 procent członków KPBU składa się z pracowników państwowych, wszelkiego rodzaju urzędników, milicjantów, pracowników organów bezpieczeństwa itd. Ale również i wśród członków partii, wymienionych jako

pracownicy w przemyśle, znajduje się niewątpliwie wysoki stopień przedstawicieli stalinowskiej biurokracji, dyrektorów trustów, naczelników kopalni i fabryk, specjalistów itd. Mówiąc o wzroście partii, Mielnikow podkreślił, że „znaczny napływ nowych członków partii obserwuje się w zachodnich okręgach Ukrainy, gdzie aktyw partyjny wyrósł w walce z kulakami i nacjonalistami”. Referując rozwój kultury i nauki w USSR, Mielnikow wymienił 30.000 szkół, 158 szkół wyższych o ogólnej liczbie 165.000 studentów, w tym 26 szkół wyższych z 28.000 studentami na terenie zachodnich okręgów Ukrainy, oraz 400 rozmaitych instytutów naukowych, w których pracuje około 8.000 naukowców.

W dziedzinie spraw ekonomicznych obiektem szczególnie ostrych ataków były ministerstwa tych resortów gospodarczych, w których zakres wchodzi konsumpcja. Mielnikow zaatakował więc ministrów miejscowego przemysłu, budownictwa, handlu, gospodarki rolnej oraz mięsnego i mlecznego przemysłu przetwórczego. Kierownicy tych ministerstw wysunęli rzekomo na odpowiedzialne stanowiska „szachrajów i przybłędów”, którzy rozkradali majątek socjalistyczny, dokonywali oszustw i nadużyć, narażając ludność na braki i niedostatki w zaopatrzeniu, zaniedbując budownictwo mieszkaniowe itd. W związku z tym Mielnikow oświadczył, że dokoła tych ludzi należy wytworzyć atmosferę nienawiści, zaś ich opiekunów czyli ministrów należy uważać za współników w popełnionych zbrodniach. Sekretarze okręgowych komitetów partyjnych z Zytomierza i Czernihowa podkreślali, że na skutek szkodliwej działalności rozmaitych ministerstw cierpiała praca nad osuszaniem i odwodnieniem Polesia. Mimo to, do chwili zakończenia nowej pięcioletki — oświadczył sekretarz wołyńskiego okręgowego komitetu partyjnego, Hruszeckij — dzięki pracom melioracyjnym przybędzie 200.000 hektarów nowej ornej ziemi. 95,6 procent ogółu chłopów w zachodnich okręgach Ukrainy „zorganizowało się” w kolchozach, które obejmują 99,9 procent ziemi ornej.

17. zjazd KPBU nie przyniósł oczywiście jakichś sensacyjnych wytycznych nowej czystki na Ukrainie. Zdecydował jednak o kilku zmianach personalnych na wyższym szczeblu partyjnym. Zjazd KPBU przypieczętował wreszcie upadek do niedawna dwóch potężnych jeszcze ministrów i członków CK KPBU, ministra rolnictwa — Mackewycza, i ministra spraw zagranicznych — Manuilewskiego. Obydwaj zostali dymisjonowani, Mackewycz przed kilkoma miesiącami, Manuilewskij w okresie zjazdu KPBU. Obecnie usunięto ich widocznie i z KC KPBU. W każdym razie nie występowali oni publicznie 17 zjeździe partii.

BEO

ZAWIADAMIAMY NASZYCH CZYTELNIKÓW, ŻE
UKAZAŁ SIĘ JUŻ I JEST W SPRZEDAŻY

II TOM

„RAM ŻYCIA W POLSCE”



III Zeszyt krajowy Kultury pt :

„Sowietytacja życia w Polsce”

ukaze się jeszcze w bież. roku

Najnowsza historia Polski

Prawda o Ukraińskiej Dywizji

Na koncie polskich pretensyj i oskarżeń pod adresem Ukraińców znajduje się pewna pozycja, którą raz na zawsze należy wykreślić z rejestru, by w przyszłości nie zatruwała atmosfery wzajemnych stosunków i tak wiele pozostawiających do życzenia. Chodzi o oskarżenie polskie, jakoby I-sza Ukraińska Dywizja brała czynny udział w tłumieniu Warszawskiego Powstania, dopuszczając się przy tym nieludzkich okrucieństw wobec polskiej ludności cywilnej.

Po raz pierwszy spotkałem się z tym oskarżeniem w obozie jeńców wojennych w Auerbach, gdzie pracowałem w charakterze tłumacza w sztabie. Przebywały tam tysiące ukraińskich oficerów i żołnierzy I-szej Dywizji. Wtedy to, i ku memu największemu zdumieniu, dowiedziałem się od polskiego oficera z Kompanij Wartowniczych, które pilnowały obozu, że Polacy oskarżają naszą dywizję o udział w tłumieniu Powstania Warszawskiego. Wkrótce zjawili się kilku oficerów polskiego wywiadu, którzy przez kilka dni przesłuchiwali ukraińskich jeńców w powyższej sprawie. Również zajęli się nią wojskowi alianccy. Do dyspozycji ich, oprócz tysięcy oficerów i żołnierzy dywizji, którzy składali swe zeznania, znajdował się cały materiał archiwalny w postaci tzw. dzienników wojennych (Kriegstagebuecher), oraz kartoteka dywizji. Na skutek tych dochodzeń, które trwały przeszło półtora roku, I-sza Ukraińska Dywizja uznana została za „Legion”, a jej członkowie zwolnieni. Nie ulega wątpliwości, że oficerowie sojusznicy, którzy zdecydowali o dalszych losach dywizji, znali również treść raportów, składanych przez wojskowych polskich.

Zdawało by się, że na tym sprawa skończy się. Skoro bowiem oficerowie polskiego wywiadu mieli możliwość bezpośredniego zbadania jej i wydali swoją opinię, trudno było spodziewać się, że bezpodstawne zarzuty zostaną wysunięte ponownie.

Materiały drukowane w tym dziale są zamieszczane na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

Niestety, są jeszcze Polacy, a nawet osobistości o znanych nazwiskach, które uparczywie podtrzymują tę oczerniającą Ukrainców legendę (Prof. Studnicki pisał w „Sprawie Ukrainskiej”, „Wiadomości”, Nr 49, rok 1950 „o barbarzyństwach ukraińskich SS-Dywizyj w Warszawie”). Na szczęście, popyt na tego rodzaju legendy stale maleje i coraz liczniejsi stają się Polacy, którzy mają dość bzdur o „niemieckiej intrydze”, do roztrząsania polsko-ukraińskich spraw podchodzą sine ira et studio, a prawdy dociekają poprzez uznanie zasady audiatur et altera pars. I właśnie dla tych Polaków zgodziłem się na zaproszenie redaktora „Kultury” omówić powstanie i historię I-szej Ukrainskiej Dywizji.

Wystawiona przy pomocy Niemców i walcząca na froncie wschodnim po niemieckiej stronie, w niemieckich mundurach — czyż to nie przekonywujący dowód notorycznego ukraińskiego „germanofilstwa”? Czytelnik polski odpowie sobie sam na to pytanie, gdy zapozna się w dostatecznej mierze z faktami. Zanim jednak przystąpimy do naświetlenia bezpośrednich przyczyn i okoliczności, jakie spowodowały stworzenie Dywizji, musimy choćby z lotu ptaka przyjrzeć się sytuacji politycznej narodu ukraińskiego w przededniu wybuchu drugiej wojny światowej.

WOJSKOWE PRZYGOTOWANIA UKRAIŃSKIE PRZED ROKIEM 1939

Chociaż walki o niepodległość państwową w latach 1917-21 skończyły się klęską, niemniej znaczenie ich, zwłaszcza dla młodego pokolenia było przełomowe. Ukraińska myśl polityczna znalazła swój ostateczny kształt w dwóch zasadniczych aktach: kijowskiej proklamacji niepodległościowej (Czwarty Uniwersał, 22.1.1918) i proklamacji zjednoczenia Zachodniej Ukrainy z Ukrainą naddnieprzańską (Kijów, 22.1.1919) w jedno państwo: Ukrainą Ludową Republikę. Niedługo był jej żywot państwowy, pozostawiła jednak po sobie testament, wiernie wykonywany przez naród. Toteż okres między dwiema wojnami wypełniony był całkowicie przez walki niepodległościowe, przejawiające się w formie, uzależnionej od odmiennych warunków politycznych i świadomości narodowej poszczególnych ziem ukraińskich. Ale wszędzie i zawsze walkom tym przewodził ten sam cel, ale niezmiennie kładziono nacisk na stopniowe uświadamienie narodowo-polityczne mas ukraińskich i utrzymanie ich w moralnym pogotowiu. Wierzano powszechnie, że naród ukraiński może wywalczyć swoją niepodległość jedynie poprzez aktywną walkę polityczną, popartą w odpowiednim momencie wystąpieniem zbrojnym. Ale podczas gdy walka polityczna mogła być urzeczywistniana w szerszej lub węższej skali, przygotowania do zbrojnego wystąpienia wyglądały przed rokiem 1939 wręcz beznadziejnie.

W warunkach życia sowieckiego w ogóle nie było mowy o przygotowaniu jakichkolwiek wojskowych kadr ukraińskich. Istniała wprawdzie w swoim czasie ukraińska szkoła oficerska w Charkowie (Szkoła Czerwonych Starszyn), ale uległa ona likwidacji, zanim jeszcze odstąpiono od tzw. „kursu ukrajinizacyjnego” na Ukrainie Sowieckiej. Armia Czerwona była, podobnie jak przed rewolucją armia carska, narzędziem rusyfikacyjnym. Oczywiście, w momencie przełomowym masy żołnierskie znalazłyby drogę do powstającej armii ukraińskiej, przedtem jednak nie mogły odegrać roli kadr polityczno-wojskowych, roli świadomej swego celu awangardy rewolucji narodowej.

Nie istniały takie możliwości i dla Ukraińców, którzy po pokoju ryskim znaleźli się w granicach Rzeczypospolitej Polskiej. Stosunki, jakie tu panowały, są dość dobrze znane i nie wymagają szczegółowego omówienia. Obóz „przysposobienia wojskowego” w Berezie Kartuskiej, „wyższa akademія polityczno-wojskowa” w lwowskich Brygidkach i na Świętym Krzyżu dawały wprawdzie wcale dobre przeszkolenie, nie dopisywały jednak jako ośrodki szkolenia wojskowego. Po roku 1930 z reguły nie powoływano do wojska Ukraińców ze średnim wykształceniem, zabroniono działalności „Plastu”, a nawet towarzystw czysto sportowych i gimnastycznych, jak Łuhy i Sokoly; kilku kontraktowych oficerów ULR na podrzędnych stanowiskach w armii polskiej — to było wszystko. Podobne stosunki panowały na Bukowinie i Zakarpaciu.

Pozostawało wprawdzie podziemie z jego bardzo ograniczonymi możliwościami szkolenia nielegalnego, oraz emigracja. W sumie — sytuacja na odcinku wojskowym była bardziej niż niezadawalająca.

Tak nas zastał rok 1939. Przedtem jeszcze musieliśmy połknąć gorzką pigułkę w postaci wydania przez Hitlera Ukrainy Karpackiej Węgrom. „Wycięto” — jak pisał, zachłystując się z radości, „Ilustrowany Kurier Codzienny”, „niebezpieczny wyrostek robaczkowy”, zapito go cieszyńskim piwem, no, i jama brzuszna była gotowa do dalszych operacji. Tym razem już poważniejszych, bowiem kolej przyszła na „grubą kiskę”. Sreparowali ją sprawnie we wrześniu 1939 roku dwaj znani chirurdzy.

Nawet nie mieliśmy czasu na wyrażenie radości z upadku Warszawy, bo już trzeba było oplakiwać zsyłki do Kazachstanu. Szybko nas pogodono: jedni jechali na rządowy koszt do Oświęcimia, drudzy — „na wostok”. Później było jeszcze lepiej, dotrzymywano sobie bowiem towarzystwa w obydwu kierunkach.

Okupacja ziem zachodnio-ukraińskich przez Sowietów wyrzuciła na bruk Krakowa tysiące ukraińskich emigrantów. Mimo całego przygnębienia, wywołanego wypadkami, wierzyli oni, że przyjaźń niemiecko-sowiecka jest niedługotrwała, że wkrótce dojdzie do wojny na Wschodzie, a wraz z nią powstanie możliwość realizowania ukraińskich postulatów politycznych. Zaczę-

to myśleć o konkretnych przygotowaniach wojskowych, zdając sobie sprawę, że niepodległość Ukrainy może być osiągnięta wyłącznie poprzez aktywny udział narodu ukraińskiego w wojnie przeciw Związkowi Sowieckiemu. Kalkulacja niemiecka była zupełnie inna. Niemcy nie tylko nie myśleli o wystawianiu jakichś wojskowych jednostek ukraińskich, ale w ogóle nie mieli zamiaru przeprowadzać rozmów politycznych z Ukraińcami. Wyczuwano się, że ich plany w stosunku do Ukrainy będą wymagały jedynie pewnej ilości „dolmecerów”. Jedynie w kołach zbliżonych do Głównego Dowództwa Armii Niemieckiej (OKW) powstały pewne inicjatywy w tym kierunku, zlikwidowane w samym załączku przez czynniki rządowe i partyjne.

ZA CHLEB I SÓL — SZUBIENICE

Przyszedł wybuch wojny i szybki marsz w głąb Ukrainy. W tym czasie ukraińskie koła polityczne, z kierownictwem OUN na czele, nie mają już żadnych wątpliwości co do istotnych zamiarów niemieckich. W tajnej instrukcji OUN, wydanej w przeddzień wojny, mówi się już o możliwości walki z nowym okupantem Ukrainy. Ale ludność wita wkraczające oddziały niemieckie kwiatami, chlebem i solą. Jakże ich nie witać, skoro przepędzili znienawidzonych bolszewików?! Radość miesza się z płaczem po wymordowanych w czasie odwrotu więźniach politycznych we Lwowie, Drohobycz, Lucku... Jeszcze raz rozjaśnia się twarze, gdy radio lwowskie zapowie w dniu 30 czerwca 1941 roku odbudowę państwa ukraińskiego, ale wnet przychodzi głębokie rozczarowanie, a jego śladem nienawiść i wola walki z nowym okupantem.

Galicja Wschodnia zostaje włączona do Generalnego Gubernatorstwa, opuszczone placówki NKWD. zajmuje Sicherheitsdienst, przeprowadzane są masowe aresztowania, a obozy koncentracyjne w Sachsenhausen, Oświęcimiu, oraz więzienia we Lwowie, Krakowie, Berlinie i Wiedniu zapelniają się ukraińskimi więźniami politycznymi. W Równem, które zaawansowało na stolicę Ukrainy, w Reichskomisariacie rozpanoszył się były maszynista kolejowy, Erich Koch; niejaki Magunia oczyszczał z untermenszowskich naleciałości ukraińskich „prastary germański gród Kijów”. Rządy Kocha pobiły wkrótce wszystkie rekordy okupacji hitlerowskiej. Na Ukrainie strzelano na prawo i lewo, by jak najszybciej zdobyć obszar życiowy dla nowych panów, wiadomo bowiem było, że każdy „Ritterkreuzträger” ma z góry obiecaną jakąś posiadłość ziemską, należało więc teren odpowiednio przygotować.

Polityka okupacyjna, zastosowana przez Niemców w Galicji, była nieco łagodniejsza. W zestawieniu z zachowaniem się Kocha, można by ją określić nawet jako dość liberalną, jeśli z takim określeniem nie kolidowały ciała „ukrainischer Banditen aus OUN”, podrygujące na gestapowskich pętach na ryn-

kach Stanisławowa, Drohobycza i innych miast. Ogólnie jednak biorąc, warunki życia były znośniejsze, istniało szkolnictwo, mogło rozwijać się życie kulturalne i oświatowe. Nie znaczy to jednak, aby nastroje były przychylne dla Niemców. Wiadomości o krwawych rządach Kocha w Reichskomisariacie, masowe aresztowania i represje — wszystko to spowodowało gruntowną rewizję stosunku Ukraińców do Niemców i ich polityki. Skończyły się iluzje i należało z tego stanu rzeczy wyciągnąć odpowiednie wnioski. Naród ukraiński uczynił to i wkrótce w masie swojej stanął po stronie ruchu podziemnego, kierowanego przez OUN. Już w jesieni 1941 roku na 1-szej Konferencji OUN, zapadły decyzje prowadzenia zbrojnej walki na dwóch frontach: przeciw Sowietaom i przeciw hitlerowskiemu najeźdźcy. W latach 1942 — 43 hasło bezkompromisowej walki z okupacją niemiecką stanie się główną wytyczną ukraińskiej polityki. Trzeba też stwierdzić, że z wyjątkiem płatnych agentów Gestapo, pokroju kijowskiego Sztepy, nie znalazł się ani jeden znany działacz ukraiński, który poszedłby na pasku niemieckim i wyrzekł się postulatów Zjednoczonej i Niepodległej Ukrainy.

ŁOPATA CZY KARABIN

Rok 1943 ostatecznie rozbija mit o niezwyciężalności armii niemieckiej. Sojusznicy lądują w Afryce i na Sycylii; po Stalingradzie trzeszczy i chwieje się cały wschodni front. Stosunki w Galicji pogarszają się. Akcja podziemna powoduje masowe represje, młodzież jest systematycznie wywożona na roboty.

Późną wiosną 1943 zjawiają się w Galicji oddziały partyzanckie Kołpaka, wprowadzając jeszcze większy chaos, przy czym Niemcy nie mogą, czy nie chcą dać sobie z nimi rady. Wówczas to prezes Ukraińskiego Komitetu Centralnego we Lwowie, profesor Kubijowycz, usiłuje wydostać od władz niemieckich zgodę na wystawienie ukraińskich jednostek wojskowych dla obrony kraju przed czerwoną partyzantką. Wspomniany Komitet nie był organizacją polityczną, lecz charytatywną o takim samym zakresie celów i środków, jak Polski Komitet w Krakowie. Inicjatywa profesora Kubijowycza powstała nie tylko w związku z koniecznością organizowania samoobrony, lecz również z innym ukrytym celem. Chodziło mianowicie o to, by uratować możliwie największą ilość młodzieży, zagrożonej wywiezieniem do Niemiec, lub wcieleniem do pomocniczych oddziałów armii niemieckiej. Młodzież ta postawiona została wobec alternatywy: łopata lub karabin. Odpowiedź brzmiała: karabin! Stanowisko takie zajęły przede wszystkim koła byłych kombatanów, którym przyświecała idea Ukraińskich Strzelców Siczowych, formacji typu legionowego, wystawionej po stronie austriackiej w roku 1914. Zwolennicy tworzenia oddziałów wojskowych przyznawali swoim oponentom rację, jeśli chodziło o za-

strzeżenia natury politycznej, stali jednak na stanowisku, że „trzeba ratować, co się da”, i przyjąć *malum necessarium*. Kierownictwo walki podziemnej odrzucało to rozumowanie, w oficjalnym komunikacie potępiając pomysł tworzenia ukraińskiej dywizji po niemieckiej stronie. Na tym tle nastąpił w opinii społeczeństwa ukraińskiego pewien rozłam i doszło do żywej a nawet ostrej polemiki.

Pomimo postawy zajętej przez OUN, spora część młodzieży galicyjskiej zgłosiła się do szeregów dywizji. Znały jej były argumenty obydwu stron, nieobce obawy, dotyczące możliwości nadużycia formacji wojskowej przez Niemców dla ich własnych celów, powzięła jednak swą decyzję, gdyż za wszelką cenę pragnęła zdobyć wyszkolenie wojskowe. Silna moralnie i w dostatecznym stopniu wyrobiona politycznie, młodzież ta liczyła, że w razie prób nadużyć ze strony niemieckiej, mianowicie prób wykorzystania Dywizji dla celów sprzecznych z ukraińską racją stanu, zawsze potrafi im się oprzeć. Z prostego poczucia obowiązku wobec tysięcy oficerów i żołnierzy I-szej Dywizji Ukraińskiej, którzy padli na polu walki, muszę stwierdzić, że młodzież wstępująca do Dywizji czyniła to w najgłębszym przekonaniu, iż w ten sposób służy sprawie ojczyzny, choć w obcym i nienawistnym mundurze.

Cóż obiecywali sobie Niemcy, idąc na tworzenie Dywizji? Decydującym momentem była chęć zdobycia nowej jednostki wojskowej o niewątpliwie silnym nastawieniu antybolszewickim, co nie było bez znaczenia wobec ciągłych klęsk na froncie wschodnim. Głównym tego zwolennikiem był lwowski gubernator, Dr Waechter, Austriak z pochodzenia, dobrze rozumiejący całą nonsensowność polityki niemieckiej na Ukrainie i — w przeciwieństwie do krwawego Kocha — starający się stworzyć w Galicji nieco znośniejsze warunki. Kiedy front zbliżał się do Zbrucza, Waechterowi udało się przekonać wyższe władze o konieczności wystawienia ukraińskiej dywizji.

Po długich pertraktacjach i targach, w dniu 28 kwietnia 1943 roku wydano oficjalny komunikat o zaciągu do Dywizji. Postulaty ukraińskie zostały uwzględnione jedynie częściowo. Żądanie, aby Dywizja podlegała ukraińskiemu dowództwu i nosiła ukraińskie odznaki na mundurach, odrzucono. Nawet w nazwie postanowiono uniknąć podkreślenia narodowego charakteru nowej formacji. Będzie ona nazywać się „galicyjską”, a nie ukraińską, a na mundurach zamiast tryzubą nosić halickiego lwa. Dywizję podporządkowano Głównej Komendzie Waffen-SS., — typowe dla hitlerowców posunięcie, mające na celu uniemożliwienie Wehrmachtowi jakiegokolwiek wpływu na sprawy polityczne.

Natomiast uwzględniono postulat najważniejszy: oto Dywizja mogła być użyta jedynie i wyłącznie na froncie przeciw bolszewikom, zastrzeżenie, które znalazło swój zdecydowany wyraz w rocie przysięgi składanej przez żołnierzy.

OD HEIDELAGRU DO FELDBACHU

Po odbyciu rekrutacji, która trwała przez czerwiec i lipiec 1943 roku, przystąpiono do szkolenia. Odbywało się ono na poligonie w Heidelbergu koło Dębicy i w różnych miejscowościach w Rzeszy. Przy końcu lutego 1944 kadra Dywizji przenosi się na poligon w Neuhammer koło Sagan na Śląsku, zaś definitywne zakończenie szkolenia przypada na czerwiec tegoż roku.

Dywizja składała się z trzech pułków piechoty, pułku artylerii, oraz z szeregu samodzielnych jednostek, jak saperzy, oddział łączności, batalion szturmowy, szwadron kawalerii, kompanie przeciwpancerne i przeciwlotnicze etc. Licząca wraz z rezerwami około 20 tysięcy ludzi, Dywizja rozporządzała dużą siłą ognia i stała na wysokim poziomie pod względem wyposażenia i wyszkolenia.

Z czasem, na skutek stałej presji żołnierzy, zmieniono nazwę Dywizji, tak że z „Waffen-Grenadier Division der SS, Galizische Nr 1” staje się ona w jesieni 1944 „Ukrainische Nr 1”, a w marcu 1945 przechodzi jako „Pierwsza Ukraińska Dywizja”, tworzącą część składową Ukraińskiej Armii Narodowej, pod dowództwem generała Pawła Szandruka.

W czerwcu 1944 Dywizja została przeniesiona na front na odcinku Brodów. Weszła ona w skład XIII Korpusu Wehrmachtu, pod dowództwem generała piechoty Hauffe. Odcinek frontu, jakiemu Dywizja miała bronić, wynosił 36 kilometrów. W drugiej połowie lipca Armia Czerwona przełamala front na odcinku LVI Korpusu Pancernego (na lewym skrzydle XIII Korpusu) i w okolicach Tarnopola, na odcinku III Korpusu Pancernego (na prawym skrzydle), w wyniku czego Korpus, a wraz z nim Ukraińska Dywizja zostają okrążone. W walkach obronnych i przy wydzieraniu się z kotła Dywizja ponosi straszliwe straty. Liczba zabitych wyniosła około czterech tysięcy, wielu dostaje się do niewoli, innym udaje się przedostać do sąsiednich oddziałów UPA-y. Z okrążenia, w którym pozostała wszystka broń ciężka i pojazdy, wydostaje się około trzech tysięcy, w tej liczbie sporo rannych. Resztki Dywizji wycofują się przez Chodorów i Sambor na Zakarpacie, gdzie w miasteczku Serebne zatrzymują się przez miesiąc sierpień (właśnie czas powstania warszawskiego) dla odpoczynku i przeformowania. W pierwszych dniach września zostają one przeniesione do Neuhammer dla definitywnej reorganizacji. Jeśli Dywizja w swoim pierwotnym składzie z lata 1943 roku opierała się głównie na ochotnikach, zaś odsetek wziętych przymusowo był stosunkowo niewielki, to obecnie stany nowej Dywizji uzupełnia się na drodze przymusowej rekrutacji (młodzież zabrana siłą przy wycofywaniu się z Galicji, lub zwolnieni w tym celu z więzień i obozów).

Gdy w Słowacji wybucha komunistyczne powstanie, Dywizja przerzucona zostaje w okolice Żyliny, gdzie kończy szkolenie i organizację, pełniąc jednocześnie służbę ochronną. W stycz-

niu 1945 przechodzi do południowej Styrii, stacza szereg walk z titowcami, a z początkiem kwietnia, już w składzie I Kawalerijskiego Korpusu, otrzymuje zadanie rozbudowania obronnej linii na południe od Grazu, na odcinku Feldbach — Gleichenberg. W ciężkich walkach i przy dużych stratach (ponad tysiąc zabitych i ciężko rannych) Dywizja trzyma swój odcinek przeciw przeważającym siłom bolszewickim aż do dnia 8. V. 1945, po czym kapituluje i dostaje się do niewoli angielskiej, względnie amerykańskiej.

DYWIZJA NIE BYŁA W WARSZAWIE

Jak więc wskazuje chronologia wydarzeń, w krytycznym okresie powstania warszawskiego Dywizja przebywała w Serednem, dokąd ściągaly resztki rozbitych oddziałów z bitwy pod Brodami. O wybuchu powstania dowiedzieliśmy się dopiero w końcu sierpnia z prasy; podczas odwrotu nie było czasu na słuchanie radia. W pierwszych dniach września przerzucono nas do Neuhammer, a następnie do Słowacji. Dane te wykluczają całkowicie samą fizyczną możliwość udziału w tłumieniu powstania. Jak już pisałem, Dywizja, podobnie jak każda jednostka Armii Niemieckiej, prowadziła dokładne dzienniki wydarzeń. Notowano w nich nie tylko akcje bojowe, czy miejsca postoju, ale nawet takie szczegóły, jak ilość hufnali wbitych koniom do podków. Dzienniki te, na podstawie których można z całą dokładnością stwierdzić, gdzie danego dnia przebywała każda kompania czy bateria, znalazły się w posiadaniu wojskowych władz sojuszniczych. Opierając się na tym materiale Amerykański State Department, rozporządzeniem z dnia 28. VI. 1951, uznał, że należenie do szeregów I-ej Ukraińskiej Dywizji nie stanowi przeszkody do emigracji do Stanów Zjednoczonych. Odpowiadając na interpelację w Izbie Gmin w lutym 1949, podsekretarz Stanu, McNeil stwierdził, że Dywizja walczyła na froncie wschodnim i nie dopuściła się żadnych zbrodni wojennych. Podobne stanowisko zajęła genewska centrala IRO, gdy w dniu 24. X. 1951 roku poleciła wszystkim swoim urzędom stosować status DP. wobec członków Dywizji. Wszystkie te orzeczenia zostały wydane po uprzedniej konsultacji strony polskiej, zaś w wypadku IRO referentem był Polak. Te fakty powinny wystarczyć.

Tak więc wszelkie zarzuty, dotyczące rzekomego udziału I-szej Dywizji Ukraińskiej w zwalczaniu Powstania Warszawskiego, są pozbawione jakichkolwiek podstaw. Rozrachowywać się możemy wzajemnie wyłącznie z długów istotnie zaciągniętych. Warszawy na koncie ukraińskim nie ma! A jeśli chodzi o Dywizję, to jej kontakty z Polakami ograniczyły się do trzykrotnych przejazdów koleją przez polskie terytorium: ze Lwowa na poligon w Heidelager koło Dębicy, stamtąd do Neuhammer i wreszcie z Neuhammer pod Brody.

Lubomyr ORTYNSKYJ

Syzyfowe prace

(Z życia funkcjonariuszy przedwojennej KPP)

W latach dwudziestych, nielegalna partia komunistyczna w Polsce była kierowana głównie z dwóch ośrodków z zagranicy. Bliższy znajdował się w Sopotach, drugi naturalnie w Moskwie. Sopoty, w latach między wojnami dostępne łatwo i bez specjalnych papierów tak samo z kraju jak i z Niemiec, a jednocześnie leżące wówczas poza zasięgiem władz polskich, były idealnym miejscem do utrzymania nielegalnych kontaktów z krajem. Dlatego Komitet Centralny KPP często obradował w Sopotach lub Gdańsku, przez parę lat się tam mieścił, a w każdym razie kilku jego członków stale mieszkalo w Sopotach. Stąd KC podtrzymywał związek zarówno z krajem jak i z Moskwą, tam przyjmowano i stamtąd odsyłano kurierów i funkcjonariuszy do nielegalnych grup w polskich miastach i tam przystosowywano, otrzymywane z Kominternu, ogólne polecenia do warunków i możliwości w Polsce.

Wszystko się działo dokładnie według rytuału nielegalnej roboty. Działacze ubrani byli tak, aby w żadnym razie nie zwracać na siebie uwagi; z zasady nie spotykano się dwa razy w tym samym miejscu; ważne rozmowy prowadzono najchętniej w ludnych kawiarniach, nazwiska zawsze były przybrane itd.

Tęgie niemieckie gospodynie przyzwyczały się już do tych dziwnych gości, mieszkających w umeblowanych pokojkach na bocznych uliczkach wielkiego kurortu, niezależnie od sezonu — i latem i zimą. A że nie zawsze wszystko było w porządku z meldunkiem i goście, przesiadując często do późnej nocy, zadymiali solennie papierosami meble i firanki, i ponieważ zdarzało się, że płacili nieregularnie, a nadto, mimo, że bardzo i po polsku grzeczni, jednak wydawali się troszeczkę podejrzani — więc gospodynie uważały zazwyczaj, że mają prawo do pobierania sezonowej opłaty za pokoje także w tych porach roku, gdy w Sopotach nie obowiązywała opłata od uzdrowisk i nie można było twierdzić, że morskie powietrze wpływa na poprawę stanu zdrowia i nerwów.

A stan zdrowia i nerwów komunistycznych sublokatorów, w małych domkach sopockich, nie zawsze był najlepszy. Każdy z nich odsiedział już lata we więzieniu nie tylko polskim, lecz w wielu wypadkach jeszcze i carskim. Do Sopot przyjeżdżał często, uciekając — po zwolnieniu za kaucją — jeszcze przed rozprawą sądową. Błogosławione to były czasy, gdy za kaucję, za łapówkę, ba nawet na słowo honoru, można było uzyskać wolność! Gdy rodzina, komunistyczne kierownictwo

albo tzw. „czerwona pomoc” wiedziały dokładnie, gdzie się znajduje więzień, ile lat więzienia go czeka i gdzie można przesyłać nie tylko wiadomości (oficjalne i „grypsy”) ale nawet paczki; gdy wszystko zależało tylko od tego, ile można było wydać pieniędzy!

Przyjeżdżając do Gdańska, z lekka przebrany, przeфарbowany i ucharakteryzowany działacz komunistyczny otrzymywał czekające już nań dokumenty na inne nazwisko i z innym obywatelstwem. Paszporty w owych latach fabrykowano w Moskwie, w specjalnym oddziale Kominternu i podrabiano je tak zręcznie, że w rzadkich tylko wypadkach władze polskie poznawały się na fałszerstwie. Raz, przy przejechaniu którejś granicy, urzędnik czynił jakiegoś pasażerowi wymówki, że nie zaopatrzył się w odpowiednie stemple i powiedział, wskazując siedzącego obok i drżącego do szpiku kości polskiego kominternowca: „Widzi pan, takie papiery powinien pan być wziąć ze sobą, tu wszystkie pieczęcie są w porządku!” Ale takich właśnie pieczęci nie mógłby ów biedny obywatel polski zdobyć żadnym sposobem!

W Sopotach życie płynęło stosunkowo spokojnie. A choć ruble moskiewskie, za które się żyło, płynęły niezbyt hojnie, to jednak można było żyć.

Czym zajmowali się ci ludzie, w których pokojach, ku przerażeniu gospodyń, piętrzyły się stosy gazet a kurz obsiadywał grube tomy historycznych, politycznych i gospodarczych różnorodnych dzieł? Jak schodził im dzień? Na pytanie: czym się trudni — każdy z nich, gdyby go o to zapytano w cztery oczy, odpowiadałby prawdopodobnie, że „wszechświatową rewolucją”. Tej „wszechświatowej” poświęcili całe swoje życie i każdy dzień z osobna. Byli idealistami, wierzyli w swą świętą misję „wyzwolenia świata” — nie było jeszcze mowy o świetnych posadach, o cudownych karierach, luksusowych mieszkaniach i przywilejach, z jakich korzystają dzisiaj komuniści polscy. Łączyła ich tylko ta cecha charakteru, która potem stała się przyczyną nieszczęścia, jakie przyniósł komunizm wszystkim krajom, w których zwyciężył i tragedii, którą przeżyli sami, mianowicie: brak tolerancji wobec innych. Natomiast nie mieli oni innych ujemnych stron dzisiejszych stalinistów i można spokojnie powiedzieć, że nie wielu spośród nich nadawało by się na członków, a tym bardziej na wodzów PZPR'u.

„Wszechświatową rewolucję” przygotowali owi polscy sublokatorzy u tęgich niemieckich gospodyń w Sopotach w ten sposób, że zapisywali stosy papieru „dyrektywami”. Kierowano je do niższych szczebli aparatu partyjnego w kraju, wzywając je do „akcji” jak np. do owdładnienia kierownictwem strajku górniczego na Górnym Śląsku w 1924 r. lub do uzyskania wpływu na strajk robotników włókienniczych w Łodzi, w grudniu 1924 r. (Co się zresztą nie udało). Ale nie tylko to. Może jeszcze więcej papieru zużyto w Sopotach na rezolucje

i oświadczenia, w związku z tzw. linią partyjną, która już w tych latach była zygzakowata. Każda nieudana „akcja”, lub parę takich nieudanych prób uzyskania wpływu na szersze warstwy robotnicze w Polsce wywoływały spór wśród działaczy, a naganę dla nich — z góry. Lata 1923 — 1925 były dla KPP latami nieustannej „walki” przeciwko odchyleniom od linii partyjnej. Raz było to „prawe”, innym razem „ultra-lewe” odchylenie i cała bieda była w tym, że nikt się nie mógł przedtem domyśleć, czy to, co robi, odpowiada linii — czy też będzie później zaopiniowane jako takie czy inne odchylenie. Zazwyczaj, po jakimś większym fiasku, Komitet Centralny lub moskiewski Komintern stwierdzał post factum, gdy partia znowu zawiodła, że nastąpiło odchylenie i że trzeba rozpocząć „walkę” o wyrównanie linii.

Tak na przykład w 1924 r. okazało się, że KPP miała „prawe” odchylenie, gdyż „nie udało się jej w październiku i listopadzie 1923 roku połączyć oddzielnych akcji robotniczych w Polsce i poprowadzić masy, żądające walki, do boju”.

Trzeci zjazd KPP, w początkach 1925 roku, „likwidował” to prawe odchylenie i powziął szereg uchwał, a przedstawiciele „prawej” grupy składali oświadczenia, w których pokornie zgadzali się z przyjętą na zjeździe linią. A znowu już w pół roku później, nowe kierownictwo zajęło zbyt na lewo. „W swojej bojaźni przed prawym ułkonem, KC doprowadził partię do ultra-lewego kryzysu, prowadząc organizację partyjną do samodzielnych manifestacji 1 maja 1925 r. i izolując w ten sposób komunistycznych robotników od PPS i bezpartyjnych” — stwierdził Komintern.

Cała historia taktyki komunistycznych partii zawsze i wszędzie kręci się dokoła jednego i tego samego zagadnienia. Najpierw, aby uzyskać wpływ na masę robotniczą, propaguje się szeroki, jednolity front; ponieważ jednak takiego frontu nie da się utworzyć bez tolerancji dla innych poglądów (a na to, jak zaznaczyliśmy już wyżej, komuniści nigdy całkiem zgodzić się nie mogą) więc, gdy im się raz uda stworzyć ów „prawy” jednolity front, wówczas i natychmiast potem, następuje cofnięcie się aż do „ultra-lewej” izolacji. Podobnie dzieje się i z taktyką wobec chłopów, których sympatie komuniści zawsze usiłują zdobyć. Ale tutaj taktyka jest bardziej skomplikowana. Chcąc rzekomo pomóc biednym, a nawet średnim warstwom chłopstwa polskiego — zmierza się właściwie do tego, aby zniszczyć je jako warstwę społeczną. Nic zatem dziwnego, że w przeciągu prawie całego swego istnienia, Komintern stale musiał karcić poszczególne partie za „niewłaściwą politykę na wsi” albo „za niedocenienie zagadnienia chłopskiego”. Każdy zjazd partii i każda konferencja partyjna uchwałała nowe rezolucje w sprawie chłopów.

Tym razem 4-ta konferencja partyjna w grudniu 1925 r. „likwidowała” ultra-lewe odchylenie i sformułowała trzy „główne” taktyczne hasła partii: „jednolity front”, „blok robotników

i chłopów" i „niezależność Polski". Przy czym w tej ostatniej rezolucji czarno na białym było napisane, że „nie może być w Polsce rewolucji, która by nie gwarantowała państwowej niezależności polskiego narodu"...



Nie wiem, czy już w tych latach, czy dopiero trochę później, powstała w Sopotach, wśród najwyższych funkcjonariuszy KPP, piosenka:

*„Ten tylko wypływa
Kto się szybko kiwa.
Z prawa w lewo, z lewa w prawo
Jak zegar się kiwa”.*

Likwidowanie odchylenia zawsze było połączone z usunięciem starego kierownictwa. Jednak, w odróżnieniu od dzisiejszych funkcjonariuszy stalinowskich, działacze KPP nie byli jeszcze pozbawieni humoru. Większość z nich wyśmiewała wszystko co miało posmak fałszywego patosu i nie uznawała kultu poszczególnych osobistości. Taki jak dziś, kult Stalina, albo Bieruta byłby wtedy wśród nich nie do pomyślenia, ale jak widać z piosenki wszystko się już zarysowywało. Kpiąc z siebie samych, komuniści ani w Sopotach, ani w innych miastach i miasteczkach Europy, gdzie jednocześnie zajmowali się „wszechświatową rewolucją" i papierową „walką o prawidłową linię" nie zauważyli, że owa linia przybrała kształt pętli, która zacisnęła się na ich szyjach, aby z czasem zdusić nie tylko poczucie humoru, ale i życie.

Wybrany po konferencji partyjnej, w grudniu 1925 roku, nowy Centralny Komitet KPP, okazał się w maju 1926 roku z kolei „prawym", popełniając historyczny „błąd majowy". „KPP miała słusność w tym, że nie zajęła postawy neutralnej, jak to swego czasu uczyniła partia bułgarska w walce Stambułjskiego przeciwko reakcji; ale popełniła wielki błąd przez to, że nie wystąpiła jako samodzielna siła, że natomiast popierała Piłsudskiego i nawet nazywała jego wojska „rewolucyjnymi", stwierdziła egzekutywa Kominternu — znowu post factum.

Gdyż komuniści w Sopotach, w Paryżu i Berlinie słysząc o przewrocie Piłsudskiego pomyśleli, że nadeszła oto długo oczekiwana „fala rewolucyjna" i pośpieszyli różnymi drogami do kraju, aby wziąć udział w mniemanej rewolucji. Nikt ich wpływy, nawet przy najlepszych chęciach, nie zdołałby niczego zmienić w owym przewrocie, ale Komintern nie potrafił się do tego przyznać. Przeciwnie, uważał, że „po przezwyciężeniu błędów komunistów obecnie, to jest pod rządami Piłsudskiego, będą jedyną rewolucyjną partią proletariatu i z dnia na dzień rosnąć będą ich szeregi". (Liczba członków nielegalnej KPP wynosiła w dwudziestych latach, według jej własnej statystyki, od pięciu do dwunastu tysięcy).

Fałszywa ocena ruchu Piłsudskiego była początkiem nowego kryzysu wewnątrz KPP i nowych zmian personalnych w KC. Dyskusja „błędu majowego" rozdzieliła partię na dwie frakcje, które z powodu jakiegoś, ostatecznie niemiarodajnego głosowania, nazywano oddział „większościowcami" i „mniejszościowcami". Pierwsi — to ci, którzy popełnili błąd i zostali w końcu odsunięci od kierownictwa; drudzy, do których należał późniejszy wódz KPP, Leński, wzięli górę. Do większościowców należeli znani jako „trzy W" seniorzy ruchu komunistycznego w Polsce: Warski, Walecki i Wera (Kostrzewa), którzy jednak, tak samo jak stopniowo wszyscy większościowcy, jeden po drugim pisali oświadczenia i otrzymywali rozgrzeszenie. Najdłużej trzymała się swego zdania Wera Kostrzewa i na skutek tego najdłużej też była w nielasce.



Niefortunnych członków KC wzywano do Moskwy. Zamiast w umeblowanych pokojach nad morzem i stosunkowo blisko od kraju — mieszkali teraz w jednym z niezliczonych pokojów, wzdłuż długich, ciemnych korytarzy olbrzymiego, kominternowskiego hotelu „Luks" na ulicy Gorkiego (wówczas jeszcze Twerskiej) w Moskwie.

W czasie, gdy Komintern grał jeszcze rolę w polityce Kremla i zachodnie partie komunistyczne miały jeszcze pozory pewnej samodzielności, hotel „Luks" był zapewne jednym z najdziwniejszych międzynarodowych hoteli na świecie. Nie był to zresztą hotel w europejskim znaczeniu tego słowa. Pokoje, do których goście mogli się dostać tylko po telefonicznym zameldowaniu się przez biuro przepustek i po otrzymaniu przepustki, miały raczej charakter małych mieszkań. Funkcjonariusze mieszkali tu z rodzinami, z dziećmi, często nawet ze służącą (za parawanem). Nie zajmowali bynajmniej więcej niż jeden, albo dwa, w bardzo rzadkich wypadkach trzy pokoje. Gotowano na elektrycznej płytce, w elektrycznym czajniku albo na gazie w dużej, wspólnej dla mieszkańców całego korytarza, kuchni. Sprzęt był tylko częściowo hotelowy; pościel, poduszki itd. natomiast były osobistą własnością lokatorów, przez co pokoje były czymś pośrednim między hotelem a mieszkaniem prywatnym. Z pewnością jednak były mniej wygodne od umeblowanych pokojów zagranicą, zwłaszcza w komfortowych willach sopockich. Mimo to, dla większości działaczy KPP, te pokoje w moskiewskim „Luksie" były właściwie ich domem; przytulkiem, gdzie jak im się zdawało, mogli być całkiem spokojni, nie tylko „legalni" ale i „nietykalni".

W początkach lat trzydziestych, gdy warunki żywnościowe w Moskwie, w związku z rozpoczętą przez Sowiety kolektywizacją, stały się katastrofalne, mieszkańcy „Luksu" (tak, jak zresztą i inni cudzoziemcy w Moskwie i cała „góra") byli zaopatrywani w żywność przez specjalną kooperatywę, urządzoną dla nich tuż obok, w dawnym luksusowym sklepie Jelisejewa.

Od ich mieszkania do miejsca pracy, to jest gmachu Kominternu, mieszczącego się wtedy jeszcze zupełnie blisko, tak samo w centrum miasta (potem przeniesiono Komintern za miasto), było zaledwie 10 minut pieszo. Tak, że kominternowcy mieli słabą styczność z ludnością i smażyli się właściwie stale we własnym sosie. Nawet, gdy ktoś spośród nich przemawiał w jednej z fabryk moskiewskich, albo gdy wyjeżdżał latem na urlop, lub gdy wynajmował dla żony i dzieci letnisko pod Moskwą, znowu spotykał tylko ludzi z tej samej uprzywilejowanej kasty, do której sam należał (letnisko było „kominternowskie”, urlop spędzano w specjalnych domach wypoczynkowych). To, co się działo w Rosji, docierało do niego bardzo niedokładnie i prawdopodobnie wiedział on więcej o tym, co się działo w Polsce, niż o tym, czym żyło i o czym myślało społeczeństwo, w którym żył obecnie. Mieszkańcy „Luksu”, nawet gdy spędzili, jak np. przywódca niemieckich komunistów Wilhelm Pieck, około 20 lat w pokoju hotelowym na głównej ulicy Moskwy, nigdy nie poznali prawdy o życiu w Związku Sowieckim i byli w tym kraju cudzoziemcami. Przyczyniła się może do tego skłonność do zamykania oczu na fakt, że niesprawiedliwości z czasem było tu więcej niż w ich własnej ojczyźnie. W każdym razie nie prawda, że działacze KPP dopiero po aresztowaniu przez NKWD — które, jak pisaliśmy we wcześniejszym artykule czekało ich wszystkich — przekonali się, że ich „odchylenia” i „błędy”, nawet majowe, są zupełnie bez znaczenia i że nie mają one żadnej wagi w porównaniu z tym zasadniczym i kardynalnym błędem, który najwyraźniej popełnili, niezależnie od wszelkich „linii” i zupełnie kiedy indziej... Niestety żaden spośród nich nie miał już okazji do „zlikwidowania” tego błędu. NKWD likwidowało — prędzej.

Ale to się okazało dopiero później. Tymczasem jeszcze, to jest do 1937 r., syzyfowe prace komunistycznych działaczy polskich były w toku. Od tego, jak szybko i w jakiej formie przyznawali się do błędu, zależała ich kariera partyjna i prestiż w oczach wszechwładnej egzekutywy Kominternu. Kto uczynił to teraz i odpowiednio bił się w piersi, ten miał szansę, że przejdzie wprost z kierowniczej pozycji w KPP na kierownicze stanowisko w Kominternie. Zamiast zajmować się losami nielegalnej partii w kraju, brał się teraz do polityki wszechświatowej, zajmował się agitacją w ogólności, sprawami krajów bałkańskich, stosunkami agrarnymi w Ameryce Południowej lub jeszcze czymś w tym rodzaju. Kto się pokajał trochę później i z mniejszą pokorą dokonał samokrytyki, ten mógł już liczyć tylko na mniej ważne stanowisko — ewentualnie w czerwonej międzynarodowce związków zawodowych. Dla tych nie było już miejsca w Luksie. Mieszkali w innych, gorszych hotelach, byli przydzielani do gorszych kooperatyw.

Jednakże i dla nich „Luks” był miejscem, gdzie ów kontakt podtrzymywano. Na korytarzach, gdzie słychać było wszystkie języki świata, gdzie płątały się pod nogami, szwargocząc ze

sobą po rosyjsku, chińskie i japońskie, włoskie i niemieckie, polskie i angielskie dzieci — odnajdowali prędko właściwy numer pokoju, wchodzili i znajdowali tam, na wysokich, do sufitu sięgających półkach, Słowackiego i Żeromskiego obok polskiego wydania Lenina. Jednak poszczególne frakcje partyjne nie mieszały się nigdy z sobą. Jak swego czasu Lewica PPS, która w 1919 r. połączyła się z SDKPiL (Socjaldemokracja Królestwa Polskiego i Litwy) zawsze stanowiła towarzysko odrębną grupę w KPP — tak samo później „prawi” i „lewi”, większościowcy” i „mniejszościowcy” na ogół nie utrzymywali z sobą stosunków. Walka frakcyjna, nawet po przyznaniu się do „błędów”, trwała nadal w tej formie i przeniosła się do innych placówek polskich w Moskwie, do wydawnictwa, do gazety, do szkół partyjnych itd.

W tej atmosferze łaski lub niełaski egzekutywy, zajętej papierową walką o linię — walką, którą gdzieś — w dalekim kraju — idealisci w warunkach nielegalności opłacali więzieniem i Berezą, toczyło się w Moskwie życie, wyrwane z nielegalności w Polsce lub z niepewności życia emigracyjnego w innych krajach europejskich, w Sopotach, Paryżu lub Amsterdamie. Działacze odpoczywali w „Luksie”, działaczki rodziły dzieci i wszyscy razem się starzeli, czekając na plony swojej „walki”, na ostateczny wybuch i zwycięstwo „wszechświatowej”. Coraz łatwiej przychodziło im zginanie karków i bicie się w piersi i coraz trudniej im było zrozumieć myśli i uczucia ludu. Stopniowo tracili poczucie tego, co jest dobrem ludu i dobrem kraju, a co dobrem Kremla i usługą dla fikcji, pozbawionej wszelkiego realizmu. Prawe i lewe odchylenia i związane z tym dyskusje straciły wszelki związek z rzeczywistością, nie było już prawie nikogo, kto by jednolity front brał naprawdę na serio, albo sprawę chłopską czy sprawę narodowościową traktował inaczej, niż jako zagadnienie taktyki. Przemiana rzeczywistych wartości w formułę, żywej dyskusji w akademicki spór, w którym nota bene każdy się bał wypowiadać jakiegokolwiek samodzielnego zdanie — wszystko to przygotowywało właściwie, krok za krokiem, katastrofę.

„Zrozumieli” działacze komunistyczni dopiero wtedy, gdy moskiewska „niełaska” stała się obozem koncentracyjnym. Wtedy, gdy w stolicy sowieckiej opowiadano sobie, że dom na Gorkiego przesunięto przy poszerzaniu ulicy o parę metrów, ale to jeszcze nic, bo w Nr 34 — „Luks” przesunięto nie tylko o parę metrów, ale o parę ulic dalej, mianowicie z Twierskiej — na Łubiankę!

Przesunięciem „Luksu” na Łubiankę zakończyły się dzieje syzyfowych, bo pozbawionych widoków na realizację, prac polskich komunistów nad zdobyciem wpływów w Polsce. Stalin zrezygnował z ich pomocy w skomunizowaniu Polski. Niepełna w 10 lat później komunizm wniesiony został do Polski na ostrzach sowieckich bagnatów.

Alfred BURMEISTER

Kronika kulturalna

Montaże

Amerykańskie płyty nowego typu, tzw. LP, spowodowały wielki przewrót w dziedzinie płyt gramofonowych. Jak wiadomo, płyta LP posiada więcej rowek, oraz obraca się dwa razy wolniej, niż płyta dotychczasowa, dzięki czemu jedna strona dużej płyty (12 cali) zawiera do trzydziestu minut muzyki. W sumie, jedna płyta produkuje dźwięki, których czas trwania wynosi prawie godzinę. Jeszcze niedawno aby wypełnić godzinę muzyki, trzeba było użyć ośmiu dużych płyt.

Nowy wynalazek umożliwił nagranie najdłuższych kompozycji a także słuchanie ich bez niemiłych przerw, odrywających uwagę słuchacza. Poza przepisowym repertuarem, nagrany ponownie, wypuszczono kilometrowe symfonie Mahlera, opery Wagnera i inne długawe utwory, których wytwórnie poprzednio unikały. Na półkach, w prywatnych kolekcjach płyt, zapanował porządek. Nie ma już ścisku, płyty nowego typu zajmują mało miejsca, w dodatku są wyrabiane z nietłukącego się materiału. Dodajmy do tego przekonującą, potężną reklamę jaką płyty się cieszą, a wyda nam się, że szczyt marzeń w tej dziedzinie został osiągnięty.

Jeżeli idzie o gatunek brzmienia, płyty nowego typu odtwarzają dźwięki wyraźniej, choć istnieje duża ilość płyt dawnego typu o brzmieniu lepszym, naturalniejszym. W płytach nowego typu dźwięk fortepianu zdaje się nieco metaliczny. Ale te różnice prawdopodobnie z czasem się wyrównają.

Od ukazania się płyt LP upłynęło zaledwie kilka lat. Jednak i tej nowości nie pominęła tak często tutaj spotykana nadprodukcja. Obecnie, wszystkie sklepy, nawet najelegantsze, są zmuszone sprzedawać te płyty z rabatem, który dochodzi do 40%. To nie znaczy, że sprzedawcy na płytach tracą. Wytwórnie płyt idą na rękę sklepom i ułatwiają sprzedaż na wszelkie sposoby.

Ubocznym produktem wspaniałego wynalazku okazała się osobliwego rodzaju wyprzedaż płyt starego typu, które obecnie przyswoiły sobie nazwę „78”. (Jest to cyfra oznaczająca szybkość obrotów osi w gramofonie. Płyty LP nazywa się często

„33 i pół”, gdyż obrót ich jest przeszło dwa razy wolniejszy). Wyprzedaż płyt „78” dosięgła zenitu. Istnieją sklepy, w których płaci się od sztuki 50 centów, trafiają się i tacy sprzedawcy, którzy liczą tylko 25 centów od sztuki. Aby się pozbyć, aby pręcej! Dawna cena takiej płyty wahała się między dolarem a dolarem pięćdziesiąt, w zależności od jej formatu i renomy wytwórni. Powstały również antykwariaty „białych kruków 78”. Sklepy te są jednak nieliczne. Tam płyta kosztuje od 2 dolarów wzwyż i nie rzadko trafiają się płyty w cenie pięciu dolarów, które w innym sklepie można odgrzebać „na śmietniku” za 25 centów. Po śmietnikach uwijają się poszukiwacze-koty: jedni to amatorzy, czyli zbieracze z zamiłowania, drudzy — spryciarze, którzy później odsprzedają swój łup leniwszym amatorom po cenie bardzo wysokiej. (Tu trzeba nadmienić, że cena płyty LP, po odliczeniu rabatu, nie przekracza 4 dolarów). Zapyta ktoś zapewne, czym się tłumaczy ciągle popyt na płyty starego typu. Tajemnica tego powodzenia polega nie tylko na ich niskiej cenie. Wytwórnie przestały produkować płyty „78”. Amatorzy obawiają się, że niektóre z najcenniejszych nagrań nie zostaną „przepisane” na płyty nowszego typu LP i w ten sposób znikną z horyzontu na zawsze. Inni nabywcy obiecują sobie, że kiedyś na tych wycofanych z obiegu płytach wzbogacą się, gdyż będą one zapewne stanowiły w przyszłości wartość historyczną. Wreszcie są tacy, którym ton na płytach starego typu odpowiada najlepiej.

Wyprzedaż płyt starego typu nie zmniejsza, bynajmniej, popytu na płyty LP. Zasluguje na uwagę, że wytwórnie płyt mają na celu nie tyle jakość płyt ile zapotrzebowanie na nie. Oczywiście — i na szczęście — jedno jest w pewnej mierze zależne od drugiego, choć w mierze niedostatecznej. Ukazały się etiudy Szopena w wykonaniu Brairowskiego, mimo że swoim wykonaniem wiele pozostawiają do życzenia. Ale Brairowski, jako „pianista z góry wyprzedawany” ma swoje specjalne prawa. Natomiast znakomita płyta trzeciej sonaty Prokofiewa z Weissenbergiem, ginie niezauważona w stosie innych płyt. Prawdopodobnie wydana została w małym nakładzie.

Mimo pozornego ładunku panuje fantastyczny nieporządek. Już nikt nie pamięta co kto nagrał i w jakiej firmie. Potworzyły się liczne małe wytwórnie płyt, każdy nagrywa co i jak mu się podoba, setki wykonawców, przeważnie pianistów, nagrywają często te same kompozycje w wyniku czego pewne utwory są nagrywane po kilka i kilkanaście razy. Albumy, wciąż nowe, wyrastają masowo jak grzyby po deszczu. Prawdziwa orgia płyt!

Kupujący miłośnik muzyki, staje więc wobec trudnego zadania — wyboru. Aby przeprowadzić pomyślną selekcję, nie wystarczy opierać się na sądach kolegów i trzeba najpierw samemu płytę usłyszeć. Dwie stacje radiowe w Nowym Jorku ciągle nadają te lepsze płyty, dzięki czemu można sobie wyrobić pewną orientację, nie jest ona jednak wystarczająca. Jak się

przedstawia sprawa wyboru wyjaśnić na pierwszym z brzegu przykładzie — Albumie Etiud Szopena. Mimo że są to utwory pianistycznie bardzo trudne do wykonania w komplecie, od chwili wejścia w życie LP nagrane zostały (w liczbie 24!) nie tylko przez Brailowskiego, ale przez Goldsanda, Killeny'ego, Jennera — a to bynajmniej nie wszyscy. Niektóre płyty ponadto przepisuje się ze starych nagrań, albo z rolek „Aeolian”. W ten sposób mamy możliwość usłyszeć zmartwychwstałego na płycie Godowskiego, Busoniego, Friedmana, Hubermana a nawet... Griega, zresztą — sądząc z tych płyt — pianistę miernego. Nieco pstrokaty wybór przepisanych płyt nie grzeszy dobrym gustem. Również został wydany komplet nokturnów Szopena z Rubinsteinem, ale Rubinstein miał odwagę nagrać je wszystkie od nowa. Z cenniejszych nagrań, m.in. należy zwrócić uwagę na 48 preludium i fug Bacha z Landowską, liczącą sobie bądź co bądź 75 lat, oraz na jej oryginalny „Album Paderewskiego”, w którym Landowska wykonuje także szopenowski mazurek na klawikordzie!



Jednocześnie z wynalazkiem LP wszedł w użycie nowy system nagrywania, częściowo znany już dawniej. Z początku nagrywa się nie na płytę, ale na taśmę, której długość jest nieograniczona. Gdy taśma jest dobrze nagrana, przepisuje się z niej na płytę i potem odbija w tysiącach egzemplarzy LP w celach komercyjnych. Nagrywanie najpierw na taśmę ma rozmaite plusy. Taśma, jako materiał, prawie nie nie kosztuje, gdyż można ją ścierać i na nowo na niej nagrywać w nieskończoność. Ale z tak drobnymi oszczędnościami liczą się tylko amatorzy, nie zaś wielkie, potężne wytwórnie. Te ostatnie, biorąc pod uwagę inny walor taśmy: jej idealny dźwięk. Na ogół, utwór nagrany na taśmę i potem słuchany z taśmy, brzmi o wiele lepiej niż na płycie. To są „jawne” korzyści. Inne mniej znane to po prostu zwykłe muzyczne oszustwo. Chodzi tu mianowicie o tak zwane montowanie taśmy. Pianista nagrywa dany utwór kilkakrotnie, ale jakaś część szczególnie trudna wciąż mu nie wychodzi. Wtedy wyucza się tej części osobno i pewnego pięknego dnia oddzielną ją nagrywa. Potem — technik czy inżynier, wycina z taśmy udane miejsca, odrzuca nieudane, i zlepia taśmę w taki sposób, aby stanowiła absolutną całość. Nikt się nie domyśla, że utwór ten, potem przepisany na LP, w rzeczywistości wcale nie był (i nie mógł być) tak precyzyjnie odegrany, że jest to „oszustwo” w postaci montażu. Tego rodzaju fałszowanie rzeczywistości w Sztuce nie może być uważane za problem o małym znaczeniu. W dawniejszym systemie nagrywania płyt, rzecz taka nie dałaby się przeprowadzić, gdyż od razu nagrywano na płytę. Z chwilą powstania LP i ulepszenia systemu taśmowego, montaż stał się codziennym chlebem techników. Tak więc mechanizm po raz pierwszy zaczął konkurować ze Sztuką. Jak długo służył on tylko jako środek

do wiernego zapisywania dźwięków, nikt się nad tym zagadnieniem nie zastanawiał, ale w obecnym stanie rzeczy, sprawa ta zaczęła budzić niepokój. Sztuka mechaniczna jest wrogiem Sztuki Naturalnej, sztuki Człowieka, chociaż pośrednio mechanizm oddaje mu cenne usługi nawet w tej dziedzinie. Podziwiamy artystę i lubimy go podziwiać. Nikt sobie nie życzy, aby maszyny w najmniejszej mierze spełniały jego twórczą rolę.

Zaprotestować powinni najpierw muzycy, zwłaszcza ci słynni, z którymi by się liczone. Zaważyć jednak mógłby jedynie bojkot publiczności, która jest nabywcą i z którą wytwórnie musiałyby się liczyć. Ale jakże mają protestować muzycy, skoro ONI właśnie przyjmują w montażach żywy udział! Powstaje paradoks. Jeżeli nie zaprotestują najpierw ONI, publiczność nawet się nie dowie o co się tutaj rozchodzi. Jeden z największych pianistów i wirtuozów doby obecnej, niedawno mi się zwierzył, że nagrał balladę F-moll Szopena „po kawalku”, sztukując, albowiem stracił cierpliwość i nie miał ochoty do dalszych prób nagrywania w całości. Akurat znów mu nie wyszła jakaś nuta w „finale”, więc na cóż całą balladę ma nagrywać od nowa. Wtedy kazał „wyciąć” z taśmy fałszywą nutę, następnie wstawił osobno nutę właściwą — i po krzyku. Nowinę tę przyjąłem niechętnie, ale wielki pianista wzruszył ramionami. „Tak się dzisiaj nagrywa” — odpowiedział na pozór obojętnie, choć w jego głosie wyczułem zażenowanie.

Dawniej, tj. 3 lata temu, dłuższe kompozycje również nagrywano w kilku ratach i rozbijano je w tym celu na cztero-minutowe odcinki. Jednakże były to odcinki ustalone z góry i nie ułatwiały, ale komplikowały pracę wykonawcy. Trudno sobie wyobrazić Rachmaninowa, z jego koncepcją CAŁOŚCI, który by chętnie rozbił utwór na kilka fragmentów. Radzono sobie rozmaicie. Albo nagrywano najpierw na większą płytę i dopiero przy masowej produkcji przeznaczonej dla sprzedaży „dzielono” całość na części, rozmieszczając je odpowiednio na normalnych płytach. Albo — jak przypuszczać można, w wypadku Rachmaninowa — artysta nagrywał CAŁY utwór kilkakrotnie, zaś operator za każdym razem nagrywał inną część kolejną. Potem otrzymywano całość. Zresztą większe wytwórnie płyt posiadały w studiach podwójną aparaturę, która nagrywała na zmianę i system ten stosowano w ostatnich latach z powodzeniem. Niebezpieczeństwa montażu nigdy nie dało się uniknąć całkowicie. Artysta zawsze miał możliwość ponownego nagrywania np. jednej nieudanej połowy płyty. Lecz istniało pewne ograniczenie tych montażu, które nie istnieje dla wszechmogącej taśmy, gdzie po prostu można wykroić jakikolwiek pasaż i wstawić inny... który wypadł dokładnie.

W poprzednim systemie płytę można było nagrywać kilkakrotnie na próbę, następnie przesłuchiwało się wszystkie nagrania, aby wybrać najlepsze do druku. W tym nie ma nic sztucznego. I na estradzie artysta bywa nierówny. Może mu się przytrafić, że dziewięć razy utwór mu nie wyjdzie, a na dziesiątym

recitału dopiero wypadnie zadawałajaco. Tak jest również z płytami, które mogą 9 razy nie wyjść a za 10-tym razem udać się doskonale. Bo czemu mielibyśmy słuchać płyt w wykonaniu pechowym?

Inaczej ma się sprawa z montażem i innymi tego rodzaju manipulacjami. Bo proszę sobie na chwilę wyobrazić płytę z fortepianowym nokturnem na lewą rękę Scriabina. Kupując ją, nie mamy pewności czy artysta odegrał ten nokturn lewą ręką, czy prawą, a wreszcie — czy obiema? Jedną z zalet tej kompozycji jest właśnie jej bogactwo, które można wydobyć samą lewą ręką. Natomiast montaż ma coś z syntezy, coś co wykracza poza terytorium zwykłej sztuki. Jeżeli po tej linii dalej pójdzie... Jak byśmy się ustosunkowali do obrazów na poziomie Van Gogha, które byłyby dziełem jakiejś genialnej maszyny, ledwie przez człowieka obsługiwaną? Kto by te obrazy chciał nabywać mimo że wyglądałyby zupełnie jak obrazy Van Gogha? Przecież ich wartość obiektywna byłaby ta sama. Pozornie byłaby. Cemu nie w rzeczywistości? Albowiem w sztuce cenimy zawsze i jednocześnie dwa światy. Jednym jest samo arcydzieło, drugim — ten, który je stwarza. Oceniając Sztukę, nie lubimy odrzucać jednego z tych światów. Nawet mniej muzykalna publiczność, gdy kupuje płyty LP z Rubinsteinem, Heifetzem czy Toscaninim, kupuje właśnie te a nie inne, gdyż zna wielkich artystów z estrady i pragnie mieć ich płyty w domu. To pozwala przypuszczać, że dla każdego nabywcy płyt ma znaczenie świadomość, że zakupiona płyta jest wiernym oddaniem rzeczywistości. Sama wartość muzyki jako takiej bynajmniej nie wystarcza — po to są fox-troty i tanga, gdzie nikt się zbytnio nie troszczy o wykonawcę. Zaś my — muzycy — obecnie obawiamy się już kupować płyty LP, które stały się nagle nieścisłym świadectwem talentu artysty. Przez to wartość historyczna płyt LP jako dokumentu artystycznego upada także. Płyty te budzą wśród nas zrozumiałe zastrzeżenia.

Niewątpliwie trafiają się „ucześciwi artyści”, którzy nagrywają nie korzystając z cichego prawa montażu. Wśród nich bywają nawet ci, którzy inną kompozycję będą zmuszeni składować... Więc na pewno idealisci się trafiają, ale skąd wiedzieć kto i kiedy? Na płycie to nie jest napisane. Kupując ją, nie wiemy czy jest montażem czy autentycznym nagraniem?

Przychodzi na myśl inne niebezpieczeństwo, jakie się rodzi z genialnych montażów. Młodzi artyści, zdobywający w pocie czoła technikę i wiedzę muzyczną, gdy słyszą idealnie zmontowaną płytę, w przeświadczeniu że jest ona dziełem jednorazowego, autentycznego nagrania, tracą nadzieję. Bo któż chciałby wierzyć, że kiedykolwiek zdoła osiągnąć takie wyniki! Pewna pianistka niedawno nagrała tutaj najtrudniejszy prelud Rachmaninowa, es-moll, w podwójnych nutach. Nagrała go w imponującym tempie, gładko, jakby nigdy nie, ale było jej widocznie za mało, gdyż zakończenie jeszcze znacznie przyspieszyła podczas gdy wszyscy pianiści dobrnąwszy do tego miej-

sca, mają już na wpol zdrętwiałe palce. Jaką minę ma nieszczęsny wirtuoz, który właśnie od miesiący pokonywuje ten prelud i nagle słyszy ową płytę... Biedak wierzy, że ma do czynienia z „autentycznym” nagraniem. Może i ma? Lecz któż zaręczy?

Są jeszcze inne sukcesy techniki. Kilka lat temu ukazał się pamiątkowy album ongiś słynnego pianisty. Album ukazał się jeszcze na płytach „78”. Był tam nagrany Nokturn Szopena i kilka etiud. O ile Nokturn wypadł za szybko i przez to brzydki, o tyle etiudy zaprezentowały się zadziwiająco, w niesamowitych tempach, a przy tym z wielką precyzją i dynamiką. Technika zawsze budzi podziw, a coś dopiero wtedy, gdy jest w odpowiednim miejscu stosowana: np. przy etiudach szopenowskich, które w dużej mierze są polem dla popisu techniki. Chyba nikt tych etiud tak nie zagra. Jest to wielki pianista i z myślą tą można się ostatecznie pogodzić. Natomiast nie można się pogodzić z faktem, że tempa tam są sfalszowane i że są dziełem elektrycznego mechanizmu. Albowiem tak podobno miała się sprawa z owymi płytami, które — jak mi opowiadano — zostały „zjęte” jeszcze z rolki pianolowej, odpowiednio przyspieszonej. W fonoli, gdy zwiększamy tempo obrotu rolki, tonacja nie podskakuje w górę — w przeciwieństwie do płyt, w których najmniejsze zwiększenie tempa pierwotnego przy puszczeniu w ruch gramofonu zostaje przypłacone proporcjonalnym podwyższeniem się tonacji, a więc demaskuje się samo przez się. Fonola może bezkarnie zwiększać tempa. Gdy potem taką biegającą klawisz przepisuje się na płytę we właściwej tonacji i płytę wypuszcza na rynek, nikt nie podejrzewa, że jest to oszustwo, lub w najlepszym razie — pomyłka operatorów. O tego rodzaju sekretach wie niestety zbyt mało ludzi, a przecież już czas najwyższy, aby się dowiedzieli. Spotykałem muzyków, którzy mi opowiadali, że nie chcą kupować płyt LP oraz płyt przepisanych z rolek, mimo że jaśniały one tak pończotnymi nazwiskami jak Busoni, Carrenio, a nawet sam Scriabin jako wykonawca! Twierdzili, że nie mają do wytwórni płytowych zaufania.

Tak wygląda postęp techniki w tej dziedzinie. Niestety, montaż się nie wyczuwa ani trochę. Dbają o to wysłannicy inżynierowie. Płyta, gdy jest gotowa, stanowi nieprzerwaną, bez skazy całość.

Nie można zresztą powiedzieć, aby te montażowe manipulacje artystom wychodziły zawsze na dobre. Publiczność często zna repertuar koncertowy artysty z jego najlepszych płyt. Potem ta sama publiczność, szczególnie gdy jest trochę muzykalna, dziwi się, że na sali wszystko wychodzi gorzej.

Trzeba raz jeszcze z największym naciskiem podkreślić, że można muzykę oceniać jedynie jako przyjemność, ale przecież jednocześnie ocenia się ją jako sztukę człowieka, jako jego artystyczne ale LUDZKIE rzemiosło.

Instytut europejski w Bruges

Założony oficjalnie w czerwcu 1950 roku na wniosek międzynarodowej sekcji kulturalnej Ruchu Europejskiego i przy zachęcie ze strony lokalnego Komitetu, Instytut Europejski w Bruges (Belgia) zakończył swój drugi z kolei rok akademicki.

Jest to przede wszystkim zakład naukowy na poziomie uniwersyteckim, który postawił sobie za zadanie przestudiować problemy polityczne, ekonomiczne, prawne, społeczne i kulturalne, dotyczące dzisiejszej Europy, a nawet i całego świata.

Ponieważ liczba studentów jest ograniczona (nie przekracza ona czterdziestu młodych intelektualistów, pochodzących ze wszystkich prawie krajów wolnej Europy i mających już wyższe studia za sobą. W jej gronie znajdują się też emigranci z zażelazanej kurtyny) celem Instytutu jest również uformowanie elity europejskiej, złożonej z młodzieży obojga płci i wyspecjalizowanie jej do prac na szczeblu międzynarodowym, a zwłaszcza europejskim. To prawda, że Instytut nie gwarantuje swoim absolwentom zatrudnienia ich, ale czyni on wszystko możliwe, aby im znaleźć odpowiednie stanowiska. Jak do tej pory, rezultaty są zadawalające. W miarę gdy mnożyć się będą instytucje o charakterze czysto europejskim zapotrzebowanie na wychowanków Instytutu odpowiednio wzrośnie.

Po tym wstępie pragnę przejść do rzeczy i ująć w kilku słowach własne moje doświadczenia z nauki o Instytucie. Przyjęty nań zostałem jako emigrant polityczny, a co za tym idzie — stypendysta rządu belgijskiego, który poszedł Instytutowi ogromnie na rękę, zwłaszcza w początkowym stadium jego organizacji.

Nauka w Instytucie. Podczas roku szkolnego, który trwał od października 1951 do czerwca 1952 ponad czterdziestu profesorów, mężów stanu i ekspertów wszelkiego rodzaju przewinęło się przez sale wykładowe Instytutu, dając konferencje i seminaRIA, trwające od jednego dnia do trzech tygodni. Był to nieprzerwany szereg specjalistów z różnych dziedzin, pochodzących ze wszystkich prawie krajów Europy. Jedni ołsnili nas swoją wiedzą — inni rozczarowali, jak to bywa na każdej wyższej uczelni. Niezwykłość nauki w Instytucie polegała właśnie na różnorodności przedmiotów i wykładowców.

Ogólnie biorąc, nauka dzieliła się na cztery działy zasadnicze: historia, ekonomia polityczna, dyscypliny prawne oraz luźne konferencje mężów stanu i ekspertów od spraw europejskich.

Jeżeli chodzi o historię, to poza wstępem do Historii Europy opracowanym osobiście przez rektora Instytutu, profesora

uniwersytetu w Utrechcie, Hendrika Brugmansa — wielkiego bojownika o sfederalizowanie Europy — dział ten raczej szwankował. Profesor, któremu powierzono dział historyczny, publicysta francuski, Emmanuel Berl, pojawił się w Bruges na przeciąg tygodnia i dał nam poznać błyskotliwość swego dowcipu w konwersacjach salonowych i brak jasności i werwy na sali wykładowej. Inni historycy nie zatrzymali się na dłużej i muszę wyznać, że ich wykłady nie wzbogaciły mnie o wiele nowych i konkretnych wiadomości. Przyczyną tego jest, być może, fakt, że trudno wyklądać historię Europy jako takiej, skoro do tej pory była ona przede wszystkim historią waśni i wojen poszczególnych swoich narodów.

Za to wykłady ekonomii dały nam możliwość skorzystania z istotnego talentu profesora tej miary co François Perroux. (Dodajmy jednak, że jego antyfederalizm często zbijał nas z tropu. Główną ideą profesora Perroux jest stworzenie wielkich połączeń ekonomicznych, tak, że, ekonomicznie rzecz biorąc, Europa powinna, według niego, wejść do wspólnoty atlantyckiej). Oceniliśmy też sceptyczną mądrość profesora Oxfordu, Roy Harrod'a, wielkiego ucznia Keynes'a, wspaniałą mowę obrończą na rzecz „neo-liberalizmu” ze strony profesora Ugo Papi z Rzymu, oraz lekcje rozsądku i umiaru w ekonomii, które nam dali ekonomiści holenderski i szwedzki, Tinbergen i Akerman. A to bynajmniej nie wszyscy.

Jeżeli chodzi o prawników, wystarczyło by wymienić nazwiska profesorów tej miary co Paul Guggenheim z Genewy, Gilbert Gidel i Georges Scelle z Paryża, Roberto Ago z Rzymu, Walter Schaezel z Bonn itd, aby pokazać poziom naukowy tej ekipy. Niestety, pomiędzy prawnymi zasadami teoretycznego świata, który budowali przed nami, a rzeczywistością stosunków międzynarodowych przepaść jest olbrzymia. To jedyna bezceremonialna uwaga, jaką można by zrobić na temat ich wykładów.

Spośród mężów stanu, którzy nas odwiedzili, Paul Henri Spaak wyjaśnił nam przyczyny swej głośnej dymisji ze stanowiska przewodniczącego Rady Europejskiej w Strasburgu. Mówiąc na swój ulubiony temat, że „Europa żyje w strachu przed Rosją i na koszt Ameryki”, nie ukrywał niepokoju wobec piętrzących się problemów. Dysydencję brytyjską uważał za najcięższy cios zadany scalaniu się Europy. Po nim, były prezydent Federacji Szwajcarskiej, Pilet-Solaz, mówił nam o swoim kraju. Sam federalista z przekonania, uprzedzał jednak, że Szwajcaria nie zaangażuje się głębiej wobec Europy, zanim ta nie skonkretyzuje swojej organizacji. Szwajcaria nie poświęci swych realnych zdobyczy dla mgławicowych projektów przyszłej Europy. Potwierdzał tym samym zdanie wielkiego, szwajcarskiego historyka, Gonzague de Reynold, który mówił nam w Bruges o „Europie koniecznej a nieosiągalnej” i który tłumaczył i usprawiedliwiał odosobnienie Szwajcarii. Następnie przyszła kolej na byłego ministra spraw zagranicznych Finlandii, Procope'a, któ-

ry mówił o sprawach swego kraju. Wieloletni minister, następnie ambasador w Waszyngtonie przez okres ostatniej wojny, w końcu obrońca premiera i prezydenta Republiki Finlandzkiej na procesie, jaki im komuniści, w roku 1945 wytoczyli, Procope wzruszył nas swymi konferencjami. Zupełną szczerzość ułatwił mu fakt, że obecnie mieszka w Stanach i tylko od czasu do czasu udaje się do Finlandii.

Jako rzecz charakterystyczną należy wspomnieć wreszcie colloquium na temat reorganizacji Europy, w którym wzięli udział: były minister francuski, André Philip i obecny senator belgijski, de la Vallée Poussin. Pierwszy, wybitny ekonomista, doskonały polityk i świetny mówca, przewodniczący „Socjalistycznego Ruchu dla Stanów Zjednoczonych Europy” potraktował temat od strony teoretycznej, jako że sam poniósł klęskę w wyborach we Francji w czerwcu 1951 roku. Dla niego ani narody, ani rządy państw nie są zdolne obecnie rozwiązać jakiegokolwiek problemu europejskiego. Senator belgijski niejako oblał zimną wodą tego radykalnego i bezkompromisowego federalistę. Świadomy swych zobowiązań wobec wyborców belgijskich przypominał teoretykowi francuskiemu, że niechęć narodów do zbyt pochopnego sfederalizowania Europy jest usprawiedliwiona bądź lękiem o własne interesy, bądź niedostatecznym przygotowaniem psychologicznym. Konfrontacja tych dwu polityków miała dla nas coś z symbolu. Był to przykład wiecznej opozycji między tymi, co walczą o realizację idei a tymi, na których ciąży odpowiedzialność wobec istniejącego stanu rzeczy.

Młodzi Europejczycy i perspektywy Instytutu. Mimo, że wiele jeszcze nazwisk spośród profesorów zasługiwało by na wzmiankę, chcę powiedzieć teraz parę słów o samych studentach, szczególnie o tych, co pochodzą z krajów wolnych. Sądzę, że przeciętny poziom intelektualny Instytutu był zadawalający. Wśród tych Francuzów, Anglików, Niemców lub Skandynawów znajdowali się młodzi ludzie obdarzeni sporym zapasem wiedzy, wybitną inteligencją i doskonałym wychowaniem (czego zresztą nie należało by uogólniać). Wszystkie cechy właściwe naszemu pokoleniu można by u nich wyróżnić: skłonność do naukowej specjalizacji, do „obiektywizmu”, który czasami zakrawał na niechęć do zaangażowania się, jak również zbyt daleko posunięte zainteresowanie tymi problemami przede wszystkim, które by im osobiście ułatwiły życie. Pominąwszy jeden czy dwa wyjątki można powiedzieć, że żaden ze studentów Instytutu nie był zarażony kryptokomunizmem czy neutralizmem. Reakcje ich były raczej życzliwe, kiedy my, emigranci, ścieraliśmy się w gwałtowny sposób z niektórymi prelegentami (nielicznymi zresztą), którzy zdawali się zapominać, że kraje jak Polska, Czechosłowacja, Rumunia, Węgry i Bułgaria stanowią również część Europy i że zostały z niej wykluczone przemocą. Ale, oprócz tej uczuciowej solidarności, dalekie od prawdy było by

twierdzenie, że młodzież zachodnia uważa los naszych krajów za niesprawiedliwy i nie do zniesienia ani, tym mniej, że skłonna była by poświęcić choć część swych wygod, aby zaangażować się w zbrojną walkę przeciw Sowietaom.

Nie trzeba powtarzać, że dla nas, emigrantów politycznych, każda próba stworzenia Europy zjednoczonej jest interesująca o tyle, o ile przyczynia się do oswobodzenia naszych krajów. Co do Instytutu, jest to organizacja bezinteresowna i o pozytywnych zadaniach. Na czele jej stoi rektor Brugmans, walczący humanista, który boleśnie odczuwa okaleczenie Europy i nie ukrywa tego. To wielki plus w atmosferze uczelni. Same wykłady są ciekawe i różnorodne. Ich różnorodność odbija może zamęt pojęć tejże Europy, która poszukuje samej siebie i która cierpi na zanik twórczej żywotności. Wreszcie współzycie na terenie Instytutu młodych intelektualistów różnych narodowości, którzy nie tak dawno temu tkwili we wrogich sobie okopach, sprzyja porozumieniu. Los Instytutu zależy od losu samej Europy. Ale czyż fakt, że spośród prelegentów największe wrażenie wywarli Polak Józef Czapski i Rosjanin Vladimir Weidle, nie jest dobrym znakiem na przyszłość?

Tak więc w tej miniaturze przyszłej, zjednoczonej Europy jaką stanowi Instytut nie tylko sam intelekt znajduje zadośćuczynienie. Przyjemnie jest stwierdzić fakt, że Bruges nie jest wcale miastem bardziej europejskim od na przykład Warszawy czy Belgradu.

Milorad M. DRACHKOVITCH

PREUVES

Revue Mensuelle littéraire et politique
défend et illustre la liberté la plus gravement
menacée dans notre siècle : celle de la réflexion
critique et créatrice, rebelle aux propagandes
et aux mots d'ordre partisans

Le numéro de 80 pages, illustré 90 fr.
Abonnement annuel : France 700 fr.
Etranger 1.000 fr.

PREUVES : 41, Avenue Montaigne — PARIS (8°)

Téléphone : ELY 56-61 et 63 — C.C.P. : 17.800 Paris.

NUMÉRO SPÉCIMEN GRATUIT SUR DEMANDE

Książki

« Głosy milczenia »

Stanisławowi Vincenzowi poświęcam.

I. MALRAUX

Spotkałem go pierwszy raz w latach trzydziestych u Daniela Halévy. Wracał wówczas z Chin przez Moskwę. Nouvelle Revue Française drukowało w odcinkach jego „Condition Humaine”.

Po ciasnym, pełnym gości salonie, mijał się młody człowiek o twarzy bardzo bladej, prawie anielskiej. Szpeciły go jedynie lekkie drgawki twarzy, odrzucał coraz to nerwowo lok, który mu spadał na blade, gładkie czoło i gryzł nieustannie coraz to nowego papierosa. Był to Malraux. Mówił bez przerwy. Nie wiem czy nazwać można mówieniem ten rwący potok słów, które jakby nie nadażały za myślą autora. Już wtedy uderzała kombinacja temperamentu, odwagi myśli, rzadkiej kultury i ogromnego doświadczenia, przeżytego nie jako obserwator, ale jako aktor dramatu. Mówił o polityce światowej, o walce rewolucyjnej, cytując Dostojewskiego, jakby się z nim nie roztawał, o zerwaniu Czang Kai Szeka z Moskwą, rzucając przy tym uwagi, jakim błędem było z punktu widzenia rewolucji nie wymordowanie w czas wszystkich potencjalnych jej wrogów. Siedzący przy mnie Guehenno aż się skulił (uważaliśmy go wtedy za kandydata na francuskiego Gorkiego): „nie, nie mógłbym być nigdy komunistą” — jęknął półgłosem. W głębi salonu, na fotelu, który jeszcze widział Drugie Cesarstwo, siedział Jacques Emile Blanche, malarz najbardziej paryski, autor portretów Barrésa, Hardy’ego, Prousta, Mauriaca i tylu innych sław i patrzył z nieukrywaniem przerażeniem na tego anioła-zwiastuna rewolucji i klęsk wszelakich, który przywłókł swój miecz ognisty aż do zacisznego salonu paryskiego, pełnego pamiątek paru pokoleń, upoduszgowanych mebli, lichtarzy, obrazów w ciężkich złotych ramach.

1) André MALRAUX, *Les voix du silence*. Pp. 657. Ed. Gallimard, collection „La Galerie de la pléiade”. Paris, 1951, frs. 1900).

Tylko gospodarz z niezamąconym spokojem i jedyną w swoim rodzaju intensywnością uwagi, która go i dziś cechuje, słuchał potoku słów tej wschodzącej sławy literatury francuskiej.

Niewielu pisarzy miało od tego czasu taką jak Malraux biografię.

W czerwcu czterdziestego roku na rynku prowincjonalnego miasta we Francji, pełnym żołnierzy i uciekinierów, szlochała pewna Polka. Ogłoszono właśnie kapitulację Francji. Fala ulgi i odprężenia ogarnęła tłum. A więc wojna skończona! Nagle do Polki podeszła stara kobieta, wdowa po pułkowniku, i ze łzami w oczach schyliła się i pocałowała ją w rękę. „Madame” — powiedziała — „nous sommes plus bas que terre” (jesteśmy niżej ziemi).

Jest wiele powodów, tłumaczących ówczesną postawę Francuzów, wykrwawionych, zdziękowanych w okopach pierwszej wojny światowej, postawę tak wówczas nam obcą, wprost niezrozumiałą dla najprzeciętniejszego z Polaków dla którego Francja była ostatnią nadzieją. Nic jednak nie zmienia faktu, że Francuzi, którzy jeszcze wówczas dla milionów ludzi z Europy Wschodniej byli obrońcami wszelakiej wolności i wcieleniem bohaterstwa, że ci Francuzi tego dnia stracili dosłownie miliony wyznawców.

Malraux, uczestnik rewolucji chińskiej, jeżeli nie komunista ortodoksyjny to cenny wówczas sojusznik Kremla, bohater wojny cywilnej hiszpańskiej i autor takich książek jak „Condition Humaine” i „Espoir”, partyzant leśny aresztowany przez Gestapo, pułkownik wojsk regularnych przy wyzwaniu Francji i szef propagandy de Gaulle’a, w ostatniej swej książce „Głosy Milczenia” daje świadectwo, że z tą samą śmiałością z jaką żył, umie w świetle okrutnych lat ostatnich myśleć o sprawach sztuki i zrosniętych z nią sprawach życia i śmierci. Malraux przywraca nam znowu świadomość czym jest męstwo francuskie.

Nigdy nie stracił on tej elementarnej bezrozumnej potrzeby walki o najwyższą hierarchię wartości w człowieku i o tym krzyczy w swej ostatniej książce.

Przyjdą może ludzie inni, cichsi, będą walczyć i myśleć inaczej, będą może bliżsi źródeł wiecznych — i nie tych ludzi Malraux jest prorokiem. W naszej jednak epoce, którąśmy przeżyli, w tych czasach pogardy, Malraux, o twarzy bladej, jakby w ranach skureczów, które mu twarz przecinają — jest już dzisiaj symbolem *virtus* Francji.

II. ANTYWINCKELMANN.

Czytając pierwszy raz „Głosy Milczenia” miałem nieustanne poczucie „stridence” (gwałtowność aż do zgrzytu) — to cecha, która według samego Malraux charakteryzuje sztukę

współczesną. „Głosy Milczenia” to krzyk, zgrzyty kontrastów, skoki akrobatyczne poprzez tysiąclecia, przez nie tylko światy sztuki o wykluczających się wzajemnie kanonach, ale poprzez światy religii, filozofii, wizji historii — wszystko to w narastającym crescendo aż do końcowego fortissimo.

Wycucie punktów newralgicznych epoki, głębia stawianych problemów, rozległość i ścisłość erudycji, która nie wiem czy ma dziś sobie równą, głębokość przeżycia artystycznego formy przy jednoczesnym wczuciu się w źródła natchnień — stop tych rzadkich cech znajdujemy w „Głosach Milczenia”.

Styl tej książki jest zadyszany, pospieszny, połączenie wnikliwej myśli z wlotami autentycznej poezji, przeciążonej czasami patetycznością i zbytnim bogactwem świetnych zresztą metafor. Książka jest trudna z powodu proliferacji błyskawicznie po sobie następujących skrótów myślowych i niezmiernego bogactwa materiału. Malraux chcąc być zawsze konkretny powołuje się coraz to na kultury najbardziej odległe zarówno historycznie jak i geograficznie, gdyż są one dla niego równie swojskie jak dla większości czytelników jedna czy najdalej parę epok historycznych czy form wyrazu artystycznego. Ten las form, który nam Malraux przynosi, jest jego ojczyzną.

Ta książka, to na nowo przepracowana i nowymi tekstami i reprodukcjami wzbogacona „Psychologia Sztuki”, nad którą Malraux pracował od 1935 roku. Niezmiernie niską cenę książki (650 stron, 15 kolorowych plansz i ponad 400 reprodukcji jednobarwnych — 1.900 franków) przeforsował sam Malraux zrzekając się wzamian praw autorskich, bo tak mu chodzi o prawdziwych czytelników a nie bogatych bibliofilów. Nikt jeszcze na taką skalę nie wyzyskał dzisiejszej techniki reprodukcji, nie stworzył takiej spojonej z ilustracjami całości.

Jezeli się zanurzymy w „Głosy Milczenia” pozwalając się prowadzić za rękę przez Malraux, potrafi on, dzięki swojej miłości sztuk odległych i bliskich, tak rozszerzyć nasz widnokrąg sztuki, nasze „muzeum imaginacyjne” — tak bowiem nazywa Malraux swój świat sztuki — że stajemy się bogatsi o skarby, o których mieliśmy jedynie wiadomości dalekie, encyklopedyczne albo zgoła żadne.

Chyba Winckelmann w XVIII wieku musiał wywierać podobnie silne wrażenie na swych czytelnikach, kiedy — na podstawie odkryć wykopalisk w Herculanium i rozległych badań nad sztuką grecką muzeum Watykanu, na podstawie *ówczesnego* „muzeum imaginacyjnego” — próbował zbudować wieczny, obowiązujący kanon sztuki i wpłynął na jej kierunek w tamtych czasach; wpłynął nawet na takich ludzi jak Goethe i David.

Przeciwność dzieła Winckelmannna polegała nie tylko na tym, że styl jego był według pani de Stael, „spokojny i majestatyczny” (jest to ostatnia rzecz jaką o stylu Malraux można powiedzieć), ale na tym, że gdy Winckelmann sztukę próbował zamknąć w jedyne i dla niego absolutne kanony, to Malraux odkrywa czytelnikowi prawdę sztuk tak sobie w założeniach

sprzecznych, że niesie nam wolność aż groźną. „Idea sztuki stała się ideą otwartą, pisze Malraux, przestała być do przewidzenia (preconcevable)”.

III. BUNT ARTYSTÓW

Próbując pisać o „Głosach Milczenia”, muszę zaznaczyć, że będę mówił o paru zaledwie wątkach najważniejszych, które kwestionuję czy próbuję pod innym kątem naświetlić. Zakres mojej wiedzy o sztuce jest o tyle węższy od Malraux, że i ja miałbym ochotę — tak jak większość krytyków paryskich — nabrać wody do ust. Zdaje mi się jednak, że książka ta wymaga nie tylko przeczytania ale i reakcji. Przy całej fragmentaryczności mojej oceny może zachęć do przeczytania samej książki, o tyle bogatszej niż zakres o którym będę pisał. Nie wyobrażam sobie dzisiaj plastykę, czy kogokolwiek interesującego się poważnie plastyką, który by mógł pominąć książkę tej miary, pełną perspektyw i odkryć sztuki: czy będzie to wyśledzenie różnego charakteru form na monetach greckich i ich „kopiach” celtyckich czy transylwańskich i płynące stąd wnioski, czy ewolucja wpływów rzeźby greckiej w Azji i jej transformacja przez buddyzm, czy paraliż Rzymu, który tak zaciążył na sztuce chrześcijańskiej pierwszych wieków, poprzedzających odrodzenie chrześcijańskiej sztuki, próba podważenia złudzeń jedności wizji rzeczywistości zwykłego śmiertelnika i twórcy, czy to w epoce Song czy w okresie rozkwitu sztuki greckiej czy gotyckiej, wyjaśnienia na czym polega inność każdej sztuki — od figur woskowych, naśladowujących rzeczywistość, wykazania do jakiego stopnia każda sztuka jest uzależniona nie tylko od tego co widzą oczy, ale od tego czym jest, co myśli i przede wszystkim w co i jak wierzy jej twórca.

Chyba nikt nie wszedł tak głęboko i konkretnie zarazem — naświetlając to przykładami i ilustracjami — w sam proces twórczy artysty (który przeważnie zaczyna się od pastiche'u swych poprzedników, a nie od kopii natury), jak Malraux w stronicach o wyzwalaniu się powolnym Greca z Wenecjan, wyrastaniu La Toura z Caravaggia, zestawieniach Boticellego z Lippim i próbach wyśledzenia związku artystów ze swoją epoką, bo każda sztuka może istnieć wbrew prądom epoki, ale nigdy poza nią. I to wszystko żeby doprowadzić czytelnika do paru centralnych wątków związku sztuki współczesnej ze sztukami sakralnymi, jej roli dzisiejszej i sensu, by nas doprowadzić do zapytania co znaczy nie tylko sztuka współczesna, ale zmartwychwstanie *poprzez nią* całych kontynentów sztuki, na które żaden artysta nawet spojrzeć nie raczył, nie tylko za czasów Winckelmannna, ale jeszcze zaledwie wczoraj.

To próba porachunku nie z taką czy inną epoką, ale ze sztuką wszystkich wieków i szerokości geograficznych. Jakże się powiększyło „muzeum imaginacyjne” od Winckelmannna do

Malraux. Wykopaliska sztuki sumeryjskiej, trzy tysiące lat przed Chrystusem, sztuka przedhistoryczna grot Rodezji i Altamiry, blachy kute ze stepów syberyjskich i ukraińskich, maski, fetysze ludów dzikich, malarstwo chińskie, japońskie, rzeźby z Kambodży czy Meksyku — Malraux omawia z tą samą pasją jak Michala Anioła, Boticellego, Goyę, Van Gogha czy Braque'a.

Pierwszy raz biorąc tę książkę do ręki byłem dosłownie zgorzchnięty. Co robi ten okropny rysunek sowiecki, ilustracja do Tarasa Bulby, obok Chrystusa Ukrzyżowanego Gruenewalda? Świątek z Nowego Targu obok słomianej figury indochińskiej, Pierro della Francesca przy fresku buddyjskim z VII wieku, rysunki wariatów, słodkie Greuz'y? A parę stron dalej Cézanne, Vermeer, czy cudowna, jawajska głowa Sziwy.

Chaos i zgrzyty? Tak, ale to właśnie próba konfrontacji jakiej nigdy na taką skalę nie było. Malraux doszukuje się pokrewieństw i różnic rytmów sztuki nie przez tematykę — której zresztą wcale nie lekceważy — ale przez samo „pismo” artysty albo całej epoki. Nie jest on „formalistą”, wie dobrze, że forma, najbardziej nawet abstrakcyjna, zawsze coś wyraża: czy to przeżycie religijne — według Malraux źródło wszystkich sztuk z wyjątkiem współczesnej — czy bunt przeciwko formom cywilizacji, która utraciła nawet ambicje głębokiej hierarchii wartości.

Dopiero w XIX wieku (Malraux ten przełom „ustawia” od Maneta) artysta nie tylko uświadamia sobie, ale również zaczyna *głosić*, że nie naśladowanie natury, ani temat, ale sama forma, sama czysta gra barw i kształtów stwarza wartość dzieła sztuki. Niepodległość w stosunku do tego co przedstawia była wyczuwana przez wielu artystów wcześniej (czy nie zawsze?), ale u takiego Vermeera, dowodzi autor, była „wiedzą tajemną”. Przecie jeszcze Constable, jeszcze Delacroix koronę swego malarstwa — szkice, niechętnie pokazywali, zachowując je dla siebie. Dwie wersje „Złożenia do Grobu” Delacroix reprodukowane u Malraux ilustrują ten fakt: szkice wspaniały i obraz nieskończenie słabszy. Takich przykładów można by cytować wiele.

Od chwili uświadomienia sobie tego przez artystów, i przyjęcia ostatecznych konsekwencji tego uświadomienia, szczelina pomiędzy odbiorcą, żądającym pełnego oddania tematu, a artystą staje się przepaścią. Wtedy właśnie na arenę sztuki wkracza zastęp artystów nędzarzy, wariatów, wyrzutków społeczeństwa lub dziwnych jak Cézanne rentierów, dla których istnieje jeden cel, jeden ideał — absolut sztuki.

....dla tego nowego języka sztuki przyjęli oni nędzę jak coś samo przez się zrozumiałego. Od Baudelaire'a do Verlaine'a, od Daumiera do Modiglianego ile ofiar ludzkich! Rzadko taka ilość wielkich artystów złożyła tyle ofiar Bogu Nieznanemu... Nikt z nich nie mówił o Prawdzie, ale dzieła swych przeciwników artyści nazywają fałszem. Malarz wykłety wkracza do historii zafascynowany własnym absolutem wobec kultury coraz bardziej kwestionowanej (vulnerable). Artysta znajdzie w swoim wykleciu

plodność bez precedensu. Jak drobne strugi krwi na karcie widzimy szlaki nędzy artystów, te ubogie pracownie gdzie Van Gogh spotyka Cézanne'a, Gauguina pokrywają świat chwałą równą chwale Leonarda. Cézanne myślał, że jego obrazy trafią do Louvru, ale nie, że ich reprodukcje osiągną wszystkich miast Ameryki. Van Gogh podejrzewał, że jest wielkim malarzem, ale nie przypuszczał jednak, że w pięćdziesiąt lat po śmierci będzie w Japonii sławniejszy niż Rafael. Cały wiek ten, urzeczony katedrami, pozostawił jedną katedrę: muzeum gdzie są zebrane jego obrazy!” (str. 493).

Nikt chyba nie potrafił dotychczas, tak jak Malraux, rzucić tego jedynego zjawiska na ogromne tło sztuki świata i nie próbował doszukać się na tym tle właśnie jego sensu.

IV. „NIEZNAJOMEMU BOGU”

Malraux parokrotnie powraca do zapytania komu służy sztuka współczesna, zbuntowana nie tylko przeciw cywilizacji, w której wyrosła, ale i przeciw jej korzeniom, nie zdolna słyszeć głosu chrześcijaństwa tak samo jak głosu legendarnych konstelacji czy drzew świętych. Na stronach utkanych reprodukcjami fetyszów, bożków i demonów lub rysunków wariatów pyta Malraux w imię jakiego Nieznajomego Boga poniosło parę pokoleń artystów, nędzarzy i szaleńców tyle ofiar? „Nawet ich język, ich określenia traciły językiem doświadczenia religijnego, pomieszanym z brutalną gwarą kawiarnianą. Patrząc na tych ludzi zdawało by się, że służą Nieznajomemu Bogu”.

Kiedy Św. Paweł przemawiał w Areopagu do Ateńczyków, „którzy niczym innym się nie zajmowali jeno albo mówieniem albo słuchaniem czegoś nowego” (tak jakbym widział kawiarnię „Les Deux Magots” pod wieczór), powiedział im: „widzę, że pod każdym względem jesteście wielce nabożni. Chodząc bowiem i patrząc na posągi wasze znalazłem też i ołtarz na którym napisano „Nieznajomemu Bogu”. Co wtedy nie znając chwalicie, to ja wam powiadam”.

Malraux nie jest Pawłem, który wskazuje Ateńczykom kim jest ten Bóg Nieznany, jest jeszcze jednym z mieszkanców miasta pełnego bożków, ale może z nich wszystkich najbardziej spragnionym, żeby Go poznać.

Historię Europy widzi on pod kątem nieustannego od paru wieków osłabiania się w człowieku związku z boskością. Sledzi, wykazuje powolną ale nieustanną degradację sztuki religijnej, która będąc przez tysiąclecia wyrazem obcowania człowieka z Absolutem i mając w tym swe źródło, stała się ilustracją pobożności, potem propagandą nieba (tak charakteryzuje Malraux sztukę jezuicką), a ostatecznie jakby zupełnie ginie z pola widzenia wielkich twórców.

Wystarczy przeczytać ustępy książki dotyczące chrześcijaństwa (mamy w książce niemniej chyba wnikliwe ustępy o religiach Azji), aby czuć, że Malraux wie o czym mówi, wie co

dały religie, a w szczególności chrześcijaństwo, człowiekowi i sztuce.

„Chrześcijanin nawet zdolny do męczeństwa wie, że jest grzesznikiem: że może być zawsze zraniony przez świat, bo szatan zawsze zranić go może. Pod wszelką cnotą wytrwania kryje się Łaska... Obok świętego gotyckiego ani Cezar, ani Jupiter, ani Merkury nie żyją. Obok któregośkolwiek proroka patrycjusza mają oblicza zamknięte starych dzieci. Twarz każdego chrześcijanina nosi w sobie własny ślad grzechu pierwotnego. Kształt mądrości czy hartu był jedyny, ale kształtów świętości i grzechu jest tyle ile istot: każde oblicze chrześcijanina jest rzeźbione przez patetyczne doświadczenie i napiętniejsze usta gotyckie zdają się być bliźniami życia... Merkury jest zaledwie mniej czysty niż Apollo, Pallas i Persefona są podobne, ale rzeźbić Św. Annę po Św. Magdalenie to co innego niż rzeźbić Venus po Junonie, bogów bez biografii, cienie... Chrześcijanin Zachodu jest sam swym własnym najokrutniejszym losem i w samej głębi każdego serca umęczone ręce Chrystusa tej samej natury co człowiek, niosą mękę niepokoju i miłosierdzie wraz z indywidualizacją losu” (str. 215).

Pisząc o wygasaniu w człowieku przeżyć religijnych o „odchodzeniu bogów, o ginięciu absolutu” ilustruje to autor narastającą niezdolnością nadawania formy wartościom duchowym.

„Tam gdzie dawniej powstawały katedry dziś się nędznie buduje kościoły pseudo-romańskie i pseudo-gotyckie i kościoły nowoczesne, gdzie Chrystus jest nieobecny... W naszej epoce jedyną ramą godną Mszy — to druty kolczaste obozów... Że chrześcijaństwo jeszcze na zachodzie wyrzuca nicości śmierć człowieka. Chrześcijaństwo, które jedynie nadaje człowiekowi kształt o najwyższym znaczeniu tego słowa, że ono... nie umie połączyć w swych posągach, komunii wiernych z wysoką jakością sztuki — to jest zagadnienie nad którym warto się zastanowić” (str. 493).

Malraux te swoje uwagi rozszerza na wszystkie kraje gdzie przenikła cywilizacja maszynistyczna:

„Islam, Indie, Chiny zatracają swój kształt religijny, tam gdzie je cywilizacja dotyka, więc w Bombaju, w Kairze w Szanghaju. I form innych nie znajduje: „O symbolu małego pseudo-gotyckiego kościółka na Broadwayu wśród drapaczy”.

Na tym tle co znaczy sztuka współczesna, gdy jej wartości najwyższe odrywają się od cywilizacji w której powstała; cała ta sztuka zwrócona jest ku „Nieznajomemu Bogu”.

Ale dlaczego sztuka współczesna znalazła sojuszników właśnie w artystach „gwiazd krwi i nocy”, dlaczego maski dzikich, fetysze i kształty bożków zdają się nam dzisiaj tak pokrewne? Czy to tylko przypadek?

Nie — mówi Malraux. W świecie, który traci więź z Absolutem, który się żadną wyższą hierarchią nie tłumaczy, artysta odkrywa cały świat sztuki natchnionej obcą dla nas hierarchią wartości. Artyści zbuntowani przeciw formom cywilizacji w której żyją, przeciwko już zdegenerowanemu realizmowi sztuki europejskiej szukają dla siebie broni w formach najbardziej tej

cywilizacji obcych. Ileż razy opowiadano czym było Tahiti dla Gauguina, czym maski murzyńskie dla Vlamincka, Deraina, potem Picassa. Brutalność zestawień kolorystycznych tych przedmiotów przywiezionych z Afryki po kolorystycznych dogmatach nie tylko akademickich ale i impresjonistycznych, które już w 1905-1907 znała każda panna w każdej akademii, uproszczenia geometryczne twarzy na tle akademickich, realistycznych portretów to było wyzwolenie z martwoty ówczesnego epigonizmu. Artystom zdawało się, że w tych kształtach odkryli wolność twórczą dlatego, że autorzy tych dzieł byli niewolnikami innych kanonów i innej hierarchii wartości.

Według Malraux zaczęło się od zachwyty dla form i kolorów, zachwyty dla czystej formy, skończyło się na fascynacji głębszej. Współczesna sztuka nasiąka tymi formami, a poprzez nią już i szerszy ogół zaczyna tamte sztuki widzieć, spada mu z oczu katarakta. Bo słuszne jest że widzimy dopiero to co nam potrzebne, lub w pewnym stopniu pokrewne.

Czy ta obsesja głębsza bożków i fetyszów, o której pisze autor książki, nie jest przesadą „krwi głodnego” katastrofisty? (Ileż razy słowo „przesada” dyktuje nam niechęć myślenia do końca, postawienia diagnozy, o ile rzadziej jest ten zarzut podyktowany surową wolą miary i ścisłości).

Malraux na takie zapytanie odpowiada słusznie, że grzyzy i hekatombę Europy nie są fikcją chorej fantazji, że obraz człowieka, który sobie stworzyła Europa nie jest mniej zdruzgotany, jak Europa miast-widm.

„Jakie państwo w XIX wieku ośmieliłoby się organizować tortury? Przycupnięte jak Parki w swych ogarniętych płomieniami muzeach, prorocze fetysze patrzą na miasta Zachodu, które się nagle stały im braterskie, teraz gdy ostatnie cienie smugi dymu pożarów mieszają się z dymami krematoriów”.

Świadomość, że nauka, ta wiara XIX wieku, nie jest zdolna rozwiązać metafizycznych problemów, że pokój wieczny jest bajką, że postęp pozwala na bomby atomowe, że wolność od Rousseau po Freuda na pewno nie wzrosła w człowieku — to wszystko powinno zastanowić czy agresywność wpływu sztuk barbarzyńskich jest zjawiskiem jedynie formalnym.

To Nietzsche prorokował, że wiek dwudziesty będzie wiekiem klasycznym wojen, ale nawet Nietzsche nie przewidział, że będzie wiekiem tortur i niewolnictwa.

Czytając te strony o rzadkiej piękności poetyckiej łatwo dać się unieść katastrofizmowi, ale jeżeli Malraux nam wykazuje jaką katarakta została nam zdjęta z oczu przez artystów, dzięki czemu odkryliśmy światy sztuki nam nieznanej, nie zapominać, że i ta generacja artystów — o których pisze Malraux z wdzięcznością i entuzjazmem — miała i ma na oczach inną kataraktę.

Czy naprawdę głos chrześcijaństwa jest aż tak głuchy? Czy prawie całkowite zniknięcie sztuki sakralnej z horyzontu wielkiej plastyki współczesnej (umyślnie nie używam argumentu

Vence, Assy i nawet Rouault'a, bo i mnie się to jeszcze wydaje mało przekonujące) jest argumentem definitywnym?

Cóż wiemy o przyszłości! Malraux skromniejszy od Winckelmanna i skromniejszy od komunistów, nie bawi się w prorocstwa i nie daje artystom wskazówek, gdyż wie, że sztuka twórcza jest światem *nie do przewidzenia*. Ostatecznie może także od nas zależeć czy jesteśmy skazani na kanony sowieckiej sztuki, godnej następczyni salonowych fałszerzy Trzeciej Republiki przeciw której właśnie bunt podnieśli artyści od Maneta po Van Gogh'a i Rouault'a, czy na coraz bardziej epigoniczne „wariacje na tematy”, wzięte z dzieł artystów „gwiazd krwi i nocy”.

Artyści którzy nam ten świat egzotyczny odkryli, albo pomarli (Gauguin), albo obrośli w sławę i honory i w tysiące na całym świecie epigonów, posłusznych oportunistów („wszy na mojej głowie” — mówił o nich Picasso). Oportuniści szukają jak zawsze nie wyrazu tego co jest ich wewnętrzną koniecznością a tego co może być modne, to znaczy dziś nowych trick'ów i sensacyjnych nowinek. Dla nich już nie tylko język chrześcijaństwa jest bardziej głuchy, niż węze prekolumbijskie, ale przestali rozumieć język Rembrandta lub Corota, jeżeli sądzić mamy według ich dzieł, ściąganych żywcem z Musée de l'Homme. Czym ci nowocześni *akademicy* są lepsi, bardziej przyszłość zapowiadający, jak akademicy z „Salon des Artistes Français” sprzed pięćdziesięciu laty, po których śladu w sztuce nie pozostało?

Reakcja przeciw tej degradacji i proliferacji sztuki niby abstrakcyjnej, niby zbuntowanej, zdaje mi się, już się zarysowuje. Może się ta reakcja wyrazić przez twórczość *pozornie* mniej uniwersalną, mniej „stridentną”, a czerpiącą swe soki nie z Muzeum Etnograficznego, ale ze świata własnych wiar i przeżyć, ze świata, który tych artystów otacza. Może oni znowu zaczną widzieć twarze ludzkie (o reakcję!), może będą się uczyć poprzez Sutiną czy Rouault u Rembrandta, a poprzez Rembrandta — wizjonera dotrą do Rembrandta uparcie, ściśle studiującego naturę (przecież *s tego* Rembrandta wyrósł Rembrandt wizjoner), może Duerer i Takanobu staną się im potrzebniejsi od bożków polinezyjskich, czy przenukowych „niespodzianek” Miro, może nawet ośmielią się znowu z całą corotowską pokorą patrzeć na zielone drzewa i na chmury. To Corot, wracając do Francji, po studiach i wędrownościach po muzeach włoskich, zawołał: „A teraz spytam słońca Francji jak mam malować!”

Jest sekta chińska „Zen”, wywodząca się z Indii, która oglądanie malowanych pejzaży traktuje jak nabożeństwo. Wyznawcy tej sekty przechodzą przez cztery stany kolejne: medytacja, rozszerezenie, poryw, zatopienie (zachwyty). Obraz zawinięty w jedwab, zrolowany i włożony do metalowej rurki, rozwija się i ogląda w milczeniu, potem obraz znowu wraca do swej metalowej rurki. Członkowie tej sekty robotnicy japońscy w Tokio (bo i w Japonii ta sekta istnieje) jeszcze przed ostatnią wojną

wyruszyli jesienią całymi pociągami za miasto i tam siadali na przeciw góry pokrytej lasem liściastym, gdy już liście żółkną i czerwienieją — dla *nabożeństwa*. Jeden ze starych tekstów „Zen” powiada na zapytanie o nabożeństwo: „widzieliśmy chmury w locie, ptaki w locie, wody...”.

Od Akropolu do Ankory, od Piety z Villeneuve do Rembrandta, mówi Malraux, sztuka wiązała człowieka z wszechświatem. Nasza sztuka przynosi tylko zerwanie świadomości człowieka z tym, z czego wyrósł. Nie darmo generacja Malraux słyszy Dostojewskiego w Iwanie Karamazowie i w jego „zwróconym bilecie do raju” — nigdy w „Aloszy” czy „Zosimie”: „ptaki kochajcie i wszelkie żywe stworzenia”.

V. WAHADŁO CZY AKADEMIZM ABSTRAKCJI

Jednym z wątków tej książki jest próba wyrwania czytelnika z ciasnego kręgu urzeczenia realizmem sztuki europejskiej od Renesansu do XIX-wiecznego naturalizmu. Na dziesiątkach przykładów sztuk prymitywnych wykazuje jak źródłem tych sztuk było nie studium natury, nie kopiowanie tego co człowiek po-jedynczy w naturze widzi, ale jego wierzenia, jego koncepcja świata. (z przykładów jedna Altamira zdaje mi się tu naciąg-nięta). Autor próbuje nawet na realizm XIX-to wieczny, na przykład na Courbeta, spojrzeć przede wszystkim od strony buntu przeciw „le beau idéal” sztuki, idącej od Davida i Ingres'a, nie zaś od strony walki o wierność naturze. Malraux podkreślając słusznie elementarną dla artystów prawdę roli abstrakcyjnego czynnika w sztuce, w każdej sztuce (wciąż naturalnie i u Courbet'a), stwarza nieporozumienie minimalizując *równowagę* element realizmu to jest próby oddania tego *jak i co* widzi artysta. Stwierdzając, że nie istnieje sztuka bez abstrakcji nie zwraca on czytelnikowi uwagi na niezliczone wypadki sklerozy sztuki, spowodowane również przez zerwanie sztuki abstrakcyjnej z obserwacją natury. Nie podkreśla, że z czasem taka sztuka zamienia się w kaligrafię, w ubogi schematyzm i musi wówczas znów, jak Anteusz, dotknąć ziemi. Z najbliższych przykładów weźmy chociażby Mondriana i jego artystyczną porażkę. Kto będzie kwestionował, że nawet tajemnica działania Corota, Chardin'a to nie jest li-tylko dar oddania nieba włoskiego, czy puszku brzoskwini, ale jedyny dźwięk ich kolorytu („malujemy nie kolorami, a uczuciem” — mawiał Chardin), niewymuszona jasność ich kompozycji. Ale nawet te elementy ich malarstwa jakże trudno mi nazwać abstrakcją. Bo to wszystko jest z kontemplacją, obserwacją przedmiotu tak zrośnięte, że stanowi sublimację realizmu, a nie odwrócenie się od natury. W świetle tych teorii antyrealistycznych leonardowskie notowanie grymasów twarzy przechodniów, jego rysunek arabski biegnących fal, czy duererowska metoda pracy, to „nowe dzieło, nowe stworzenie” które, według niego, osiągnąć można tylko przez *nasiąka-*

nie naturę — staje się jakimś dumnie przez malarzy, jak Braque i nawet Miro (!) przewyższonym etapem!).

Corot wyrzucił Berthe Morizot, że na wymalowanej katedrze zmniejsza o jeden stopień ilość bocznych schodków, Cézanne chciał mieć rację „na naturze” (sur nature) i wielkość jego polegała nie na przekreślaniu natury, a na nieustannym zmaganiu się, by *stopić* naturę i „Pousina”. Van Gogh bronił się przed abstrakcyjnymi radami i naciskami Gauguina.

Na książce Malraux zaciążył nie okres przełomu z czasów Maneta, który uważa on za punkt zwrotny, ale heroiczny okres kubizmu i prądów jeszcze bardziej niż on abstrakcyjnych z niego biorących początek, z walk plastyków, którzy wyrosli nie tylko na buncie przeciw cywilizacji mieszczańskiej, ale na buncie przeciw samej naturze, „przekłętej naturze” jak pisał Gauguin²⁾. Ich wizja szła nie od nasiąkania naturą, tak pomimo wszystko jeszcze silnego u Gauguina (o ile bardziej jeszcze u Maneta), ale od upartej woli stworzenia sztuki w oderwaniu od niej, jakby przeciw niej.

Chciałbym podkreślić związek przełomu sztuki europejskiej, od realizmu do abstrakcji, z *r u c h e m w a h a d ł o w y m* sztuki w ogóle, od abstrakcji ku realizmowi i z powrotem, co jest faktem od grot Altamiry, od sztuki sumeryjskiej, aż do naszych czasów. Ten ruch wahadłowy sztuki przy „akceleracji historii” dał rozrzut najgwałtowniejszy w czasie najkrótszym na ostatnim przełomie wieku, od naturalizmu i jego malarskiej formy impresjonizmu do kubizmu i jego dzisiejszych następców. Czy Malraux nie wyolbrzymia znaczenia tego ostatniego zwrotu w sztuce, skrajnego punktu dojścia ku abstrakcji wahadła sztuki? Nie myślę wcale go lekceważyć, nie mniej, czytając „Głosy Milczenia”, odnosimy wrażenie, jakby dzieła Braque’a, Picassa (Braque ze współczesnych zdaje się najbliższy pisarzowi), są jakby osiągnięciem dla którego istnieli i pracowali poprzednicy, bo oni dopiero zrozumieli w pełni to, co inni przeczuwali — nawet Corot! Tu jesteśmy na granicy ciężkiego nieporozumienia: wizja Corota na przykład jest nie tylko nieskończenie pełniejsza, ale w założeniu swoim i w celu *różna*, bo najdalsza od abstrakcjonizmu kubistów. Jego wolność w traktowaniu grafik, malowanie na pejzażu drzewa, które było *za* nim (argumenty Malraux), nie przekonywują, bo nie przekreślają faktu, że taka „ab-

1) Duerer pisał: „Czym jest piękno, nie wiem. Prawdziwa sztuka tkwi w naturze, kto ją może z niej wydobyć, ten ją posiada. Im bardziej dzieło twoje zgodne jest z życiem, tym jest lepsze. Nie wyobrażaj sobie, że mógłbyś zrobić cokolwiek lepszego niż to co Bóg stworzył. Z siebie samego człowiek nie może wykonać żadnego dobrego obrazu, ale jeżeli długo badał przedmiot i cały nim nasiąknął, to sztuka tak zasiana przyniesie owoc i wszystkie skarby tajemne serca będą wyrażone w dziele, w nowym stworzeniu”.

2) O tym wszystkim pisałem obszerniej w artykule o Cézanne’ie („Kultura” Nr 5/55).

strakcja” jest ciągle jeszcze pełną, miłosną, na granicy modlitwy wizją natury. Nie ma tu różnicy zasadniczej między stosunkiem do natury Corota, Vermeera, Cézanne’a, Duerera czy Van Gogha i dopiero w Gauguinie zarysowuje się konflikt, który wybuchnie w kubizmie. Ten nacisk główny położony na abstrakcję może najszybciej w książce Malraux postarzeje, a dziś już wyrządza szkody. Opowiadano mi o akademii prowincjonalnej gdzie dyrektor, entuzjasta Malraux, kultywuje wszelkie ticki, grymasy swych uczniów, lekceważąc „wsteczników”, którzy chcą wiernie studiować naturę. W tych grymasach i manierach ignorantów-uczników dyrektor doszukuje się zbyt łatwo zwycięstwa nad „przekłętą naturą”, pokrewieństw ze sztuką Murzynów czy prehistorii.

Kiedyś Bonnard powiedział Pankiewiczowi słowa, które tak zgorzrzyły wiernego, wyłącznego wyznawcę Renesansu i realizmu „la peinture abstraite sauvera la peinture” (malarstwo abstrakcyjne zbawi malarstwo).

Bonnard wówczas *miał rację*.

Chciałbym dzisiaj, po paru dziesiątkach lat, zabawić się w proroka i powiedzieć Malraux: „studium natury, ściśle, spokojne studium natury zbawi malarstwo, które bez tego uschnie i już usycha w naśladowaniu sztuk prymitywnych, w trick’ach, sensacjach i akademizmie abstrakcji gorszym, ciasniejszym niż wszystkie poprzednie akademizmy, bo odciętym od źródeł życia, od źródeł sakralnych (kultura agnostyczna) i od bezpośredniego doznania, nieustannej kontemplacji natury, od jej niewyczerpanego bogactwa kształtów i barw”.

VI. „WIĘC PO CO ŻYC, JEŚLIŚ CZŁOWIEK?”

W rozdziałach i uwagach gdzie Malraux odrywa się od rozważań ściśle plastycznych i sięga dziedzin historiozofii, religii, mąci czytelnika nieustanne posługiwanie się słownictwem religijnym. Sam Malraux pisze w jednym miejscu, jakby z irytacją „słownictwo religijne jest drażniące, ale inne nie istnieje”. Nie wiadomo kiedy to autentyczny wyraz stosunku autora do spraw religii, a kiedy poetyczna metafora. Gide lubił mówić o szatanie, zaznaczając, że weń nie wierzy. Malraux, uparty agnostyk — sam to pono z naciskiem podkreśla — jest jednocześnie pod obsesją zatraconych źródeł religijnych. Gdy pisze, że Europa odrywając się od Stwórcy stała się Panią świata nie czujemy w tym śladu naiwnego triumfu, tylko ból i ironię, gdy tuż obok dodaje, że człowiek zastąpił przymierze z Bogiem przez „nagromadzenie wiadomości”.

Brnąc coraz dalej w tę oślepiającą książkę czytelnik zaczyna sobie stawiać pytania CO MALRAUX PRZEMILCZA. Czy idąc w głąb jego myśli nie natrafiamy na rozpacz, czy nawet opustoszenie. Czy pod tą *virtus*, której dał dowód nie tylko biorąc udział we wszystkich wojnach i rewolucjach, ale na polu

trudniejszym, śmiałości myśli, nie kryje się zagłuszony przez frenetyczne życie i frenetyczną pracę głód nienasycony Absolutu? Czy nie są wyznaniem niektóre zdania tej książki jak np.: „jeżeli walka nie zastępuje Absolutu, to pozwól na nim zapomnieć”.

Sprawa dla samego Malraux zdaje się niejasna. Krąży on koło sprawy, której sam w sobie nie rozwiązał.

Gdy czytamy obok jego książki autorów, o żywym, religijnym doświadczeniu, uderza znów głęboka różnica klimatu. W „Abrégé mystique de St. Jean de la Croix” albo „Pesanteur et Grâce” Simone Weil wyczuwamy zaraz co dzieli te dwie książki od „Głosów Milczenia” (wybieram te właśnie książki, bo mi się narzucają ze strasznie szczupłego bagażu moich w tej kategorii lektur). Pod przezroczystymi jak szkło słowami Św. Józefa nieustannie prześwieca inna obecność, jakby nieustanna świadomość tej obecności. W suchych notatkach Simone Weil trafiamy na zdania-szczeliny przez które płynie światło przeżytej przez nią obecności. W każdym strzępie wiersza Norwida jest to samo. W nikłym nawet rysunku Rembrandta, gdzie kreska, plama prawie bezforemna wyraża coś więcej niż przedmiot, więcej nawet niż najwyższe przeżycie artystyczne, gdzie jedno muśnięcie pędzlem: usta uzdrowionego przez Chrystusa ślepego, ruch Uczniów z Emmaus wobec zalanego blaskiem pustego krzesła — to już nie tylko temat religijny czy wielka sztuka, to znak żywy tajemnego dialogu. Wszędzie to poczucie korzeni („korzenie zerwane i człowiek świat znieawidzi” pisze Dostojewski) poczucie to jest również wyczuwalne w studium Vincenza o Dancie czy w jego „Ghandim”. Te przeżycia ciche nie przeświecają książki Malraux. Gdy pisarz zbliża się do spraw z tym światem związanych, zrywa się w książce patetyczna burza. Co kryje się pod tą burzą słów?

Malraux całą namietność serca włożył w nadzieję, że sztuka jest załącznikiem nowych „zmartwychwstań człowieka” (znowu metafora religijna), jego nowej wielkości i to jest wiatyk ostatnich stron tej wewnętrznie rozdarłej książki.

Godność najwyższa człowieka dla Malraux to zapytanie, rzucone poprzez tysiąclecia ślepemu losowi i gwiazdom, przez ten pył człowieka, który wie że umrzeć musi, że jest na tej ziemi wypadkiem, który tworząc świat swej wizji sam staje się twórcą i przemienia los w akt wolności.

Dla Malraux w cywilizacji agnostycznej, „spadkobierczyni wszelkiej wielkości”, funkcją zastępczą religii jest wolność twórcza geniuszów-demiurgów. Te ostatnie strony, korona książki, które zdają się w zamierzeniu autora apoteozą zwycięstwa człowieka nad ślepym losem nie dają czytelnikowi nowego „Hymnu do radości”.

Jeżeli sztuka ma wystarczyć, jeżeli będzie neo-religią agnostycznej kultury, jeżeli jest tylko rzuconym w ciemności zapytaniem na które nie może być odpowiedzi, bo nie ma komu odpowiadać, jeżeli Bach, Rembrandt czy Norwid są tylko zapytaniem, a nie także odpowiedzią, nicią łączącą nas z doświad-

czeniem innego wymiaru o którym nawet Proust pisze w swych stronach o śmierci Bergotta — sztuka jest wtedy jak wszystko w życiu, mówiąc językiem Kirillowa z „Biesów” „diabelskim wodewilem”.

Kirillow przed samym samobójstwem mówi o Chrystusie, który raj nawróconemu zbrodniarzowi obiecał „obaj pomarli nie znaleźli ani raju, ani zmartwychwstania, więc powiedz po co żyć na świecie, jeśliś człowiek”.

Kirillow widział w samobójstwie „najpełniejszy punkt samowoli”, gest absolutnej wolności i tym gestem chciał z ludzi zrobić bogów (jego śmierć jest wyzyskana przez zbrodniczych, podłych konspiratorów i ani jeden z żywych nie stał się przez jego akt wolności bogom podobny).

Agnostyk Malraux mówi o Rembrandcie i jego dialogu z Chrystusem z żarliwością, która przypomina akcenty Kirillowa, gdy mówi o Chrystusie i zbrodniarzu na krzyżu. Ale piękna metafora ostatniej strony o wieczorze „gdzie jeszcze rysuje Rembrandt i wszystkie Cienie sławne i świetne, a także Cienie rysowników grot przedhistorycznych śledzą ruchy ręki jego pełne wahań, które przygotowują dla nich ich nowe życie czy ich nowy sen...”, ta metafora nie jest jeszcze odpowiedzią ani na pytanie Kirillowa ani na pytania, które stawia książka Malraux. Dialog Rembrandta w świetle neo-nietzscheańskiej religii człowieka jest jeszcze jednym złudzeniem w „diabelskim wodewilu” życia.

Miara tej jedynej w swoim rodzaju książki polega nie na odpowiedziach, ale na stawianiu przed nami z uporem i gwałtownością zagadnień najważniejszych, na obronie tego co w człowieku najwyższe i na jedynej wierze u Malraux, która się narzuca czytelnikowi na wierze irracjonalnej w sens sztuki.

Józef CZAPSKI

Nowości paryskie

Herman Melville przechodzi obecnie przez okres ogólnego zainteresowania tak jak, na nieco innej płaszczyźnie, przepraszam zresztą za porównanie, chwilowo zapomniana i ponownie entuzjastycznie odkryta Gloria Swanson. Już na przełomie 19 wieku książki Melville'a, tego marynarza pochłoniętego pasją przygód i bezinteresowną ciekawością dla różnorodnych odmian życia, osiągały fantastyczne jak na owe czasy nakłady 45, a na-

Herman MELVILLE, *Omoo ou le Vagabond du Pacifique*. Str. 326. (Ed. Gallimard, Paryż, 1952, fra. 590).

wet więcej wydań. Potem, koniec wieku poprzedniego i wiek obecny przyniosły o ile nie całkowite zapomnienie, to w każdym razie znaczne zmniejszenie powodzenia jego utworów. I niedawno dopiero Melville odżył ponownie. Na przestrzeni ostatniego roku, w samej Ameryce na przykład, ukazało się cztery czy pięć studiów literackich poświęconych analizie jego książek i omawiających w najdrobniejszy szczegółach jego życie prywatne po ustabilizowaniu się w Stanach, jego kłopoty finansowe i nieporozumienia z żoną. We Francji zainteresowanie Melville'm zainicjowało się ponownym wydaniem w zeszłym roku „Wtorku”, w tym roku zaś „Omoo”. „Omoo”, co w języku mieszkańców wysp polinezyjskich oznacza włóczęgę, jest zbiorem wrażeń i wspomnień Melville'a z jego pobytu na Tahiti i Eimeo, oraz jego przygód na statku „Julia”. Wspomnienia te przeplecione są dokładnymi opisami krajobrazów wysp, drobiazgową analizą życia i zwyczajów ich mieszkańców, oraz danymi dotyczącymi sporów między misjonarzami protestanckimi a katolickimi i konfliktu angielsko-francuskiego na tle współzawodnictwa o zdobycie panowania nad wyspami. Ta część książki, gdzie autor opisuje swe przygody nasunąć może pozornie słuszne porównanie z Conradem. Ale porównanie takie będąc prymitywnie powierzchowne miałoby wartość o tyle tylko o ile by uwypukliło zasadnicze różnice między tymi pisarzami. Cechą charakterystyczną Melville'a w „Omoo” to brak jakiegokolwiek dążenia do dramatyzowania rzeczywistości. Przypominam sobie, iż w przedmowie do jednego z francuskich wydań opowiadań Czechowa, Daniel Rops napisał, iż niezaprzeczną wartością dzieł Czechowa jest fakt, iż autor ich w swym przywiązaniu do obiektywnego opisu rzeczywistości (Daniel Rops mówi „prawdy”) unika starannie jakichkolwiek point. To samo jest z Melville'm. Zdumiewająca prostota opowiadania, żadnych point czy literackich chwytów, żadnej tendencji do dramatyzowania czy jaskrawego zestawiania kontrastów. Wszystko u Melville'a jest niesamowicie rzetelne. Stanowi to zapewne pozytywną stronę „Omoo”.

Grasset wypuścił niedawno na rynek wydanie książkowe sztuki Marcel Aymé „La tête des autres”. Sztuka ta wystawiona została po raz pierwszy w Paryżu w lutym tego roku w teatrze Atelier i cieszyła się ogromnym powodzeniem. Dla określenia jej, wydaje się, iż należy użyć wielomówiącego stwierdzenia: jest to rzecz typowo Aymé'owska. Znakomite i nieoczekiwane sytuacje, paradoksalne spięcia w dialogu, ironiczno-złośliwe konkluzje i obserwacje, lekko cyniczne, a jednak pełne ukrytej pasji prawdy demaskowanie rzeczywistości. Akcja tej sztuki to dzieje skazanego na śmierć rzekomego mordercy, który jest niewinny i któremu cudem udaje się zbiec z więzienia. Na wolno-

Marcel AYMÉ, *La tête des autres*. Pièce en 4 actes. Str. 244. (Ed. Grasset, Paryż 1952, frs. 390).

ści, Valorin, bo tak nazywa się ów młodzieniec, odnajduje w mieszkaniu prokuratora, który kilka godzin temu spowodował, iż skazano go na śmierć, kobietę, z którą spędził noc, w czasie której zostało dokonane morderstwo. Kobieta ta, jedyna, zaświadczyć może o jego niewinności. Lecz zbieg okoliczności chce, że jest ona żoną znanego prokuratora. Na tle chęci ukrycia skandalu przez prokuratorów i ich rodziny oraz na tle nieugiętego dążenia Valorin do zrzucenia z siebie nie tylko odpowiedzialności za niepopelnione morderstwo, lecz także wykrycia prawdziwego zbrodniarza powstaje szereg konfliktów i dramatycznych sytuacji, które dają asumpt Marcel Aymé do demaskowania zgnilizny, zakłamania i cynicznego faryzeuszostwa burżuazyjnego środowiska sędziów, prokuratorów i ludzi u władzy. W sztuce tej demaskowanie i satyra, tak samo zresztą jak i w innych utworach Marcel Aymé, mają charakter najzupełniej bezinteresowny. Marcel Aymé bowiem odkrywa zakłamanie i stygmatyzuje fałsz nie po to by lansować jakąś ideę poprawy człowieka, lub prawić kazania w imię zasad moralnych czy ideologicznych. Jego metoda polega na zwykłym zestawieniu kontrastów i wzajemnie wykluczających się faktów, pozostawiając czytelnikowi całkowitą swobodę wyciągania wniosków. Wnioskami tymi zresztą Marcel Aymé nie interesuje się zupełnie. I na tym polega przekonująca siła jego utworów.

Józef URSYN

Problemy międzynarodowe w publicystyce U.S.A.

Już od dość dawna wre w Stanach praca badawcza nad stosunkami międzynarodowymi. Jeżeli przed pierwszą wojną światową ograniczała się do wąskiego grona specjalistów, to już od czasów Woodrow Wilsona, Kongresu Pokojowego w Wersalu i Ligi Narodów przybierała stale i na natężeniu i na zasięgu. Dzisiaj badania naukowe, kształcenie młodzieży i specjalistów oraz uświadamianie bardzo szerokiej opinii publicznej są przedmiotem troski rządu, szkół akademickich, towarzystw naukowych, specjalnych fundacji i instytucji. Wielkie pieniądze idą na te cele. Toteż mnożą się wydawnictwa źródeł, podręczniki, dzieła systematyczne, monografie, rozprawy polityczne, czasopisma specjalne. Wyrosła już olbrzymia literatura wszelkiego pokroju. Europa nie zawsze ją zna. Polska emigracja żyje w warunkach, które nie sprzyjają szerokiej poczytności tego właśnie typu piśmiennictwa amerykańskiego. A warto jest uwagi. Nie tylko dlatego, że Ameryka ma tyle dzisiaj do powiedzenia. Także i dla swej własnej wewnętrznej wartości. Jasne, że nie ma-

my do czynienia z samymi arcydziełami. Ale już sam sposób traktowania spraw międzynarodowych i drogi myślowe, mające prowadzić do wniosków czy decyzji, są ciekawe i warte poznania.

Trzydziesty już rok wychodzi kwartalnik *Foreign Affairs*, który zdobył sobie na całym świecie tak wielką wagę i poczytność. Wydawca, *Council on Foreign Relations*, ogłasza ponadto od roku 1931 rocznik p. THE UNITED STATES IN WORLD AFFAIRS. Po czteroletniej przerwie wojennej — od 1941 do 1944 — wyszło już sześć tomów. Właśnie ukazał się szósty, obejmujący wydarzenia roku 1951. Ale zanim zajmujemy się tym wydawnictwem wypada wspomnieć o innym, również roczniku, ale o nieco odmiennym charakterze.

MAJOR PROBLEMS OF UNITED STATES FOREIGN POLICY jest to roczne wydawnictwo *Brookings Institution* w Waszyngtonie. Ostatni (piąty) tom dotyczy lat 1951 — 1952. Opracowywanie i redakcja wydawnictwa spoczywają w ręku zespołu *International Studies Group* pod kierownictwem Leo Pasvol'sky'ego.

Zadaniem wydawnictwa jest analityczny przegląd najważniejszych zagadnień międzynarodowych, jakie stają przed kierownikami amerykańskiej polityki zagranicznej. Jak Pasvol'sky wyjaśnia w przedmowie, wydawcy dążą do takiego traktowania materiału, by zilustrować czytelnikowi technikę badania zagadnień międzynarodowych, jaką stosują urzędnicy państwowi przy formułowaniu polityki zagranicznej, oraz by mu „dać materiał pomocniczy dla zapoznania się z istotą tworzenia polityki zagranicznej” (the nature of the policymaking process). Autorzy starają się postawić siebie i czytelnika w położeniu urzędnika służby zagranicznej, który staje wobec konieczności powzięcia czy zalecenia decyzji w konkretnej sprawie międzynarodowej przy uwzględnieniu wszystkich okoliczności, z jakimi Stany Zjednoczone muszą się liczyć.

Takie dydaktyczne i metodologiczne założenie autorów nadaje ich książce charakter specjalny. Jak wszystko w życiu, tak i politykę zagraniczną traktują Amerykanie przede wszystkim jako sztukę praktycznego działania, której trzeba się nauczyć, jeżeli się chce osiągnąć zamierzone cele. Stąd naprzód konieczność sformułowania tych celów, następnie potrzeba znajomości sytuacji faktycznej i, wreszcie, ustalenia metod, za pomocą których szukać należy możliwie trafnych rozwiązań. Nie teoretyczne rozważania na temat najlepszej formy współżycia międzynarodowego, lecz dobra orientacja w rzeczywistości międzynarodowej, wyznaczanie bliższych i dalszych celów do osiągnięcia oraz jak rozstrzygać w codziennej o nie walce — oto zadanie autorów. Jest to przeto rodzaj podręcznika dla nauki polityki zagranicznej, przeznaczanego dla ministrów, urzędników, senatorów, posłów, profesorów i świadomych obywateli.

Część pierwsza charakteryzuje obecne położenie Stanów Zjednoczonych w sprawach światowych na tle wojny w Korei,

wielkiej „debaty zagranicznej” w r. 1950, interesów i celów mocarstw wielkich, stanowiska i wpływów państw mniejszych, zagadnień bezpieczeństwa, jedności narodowej i rokowań pomiędzy państwami „wolnymi”. Część druga daje przegląd zagadnień bieżących w dziedzinie politycznej, gospodarczej, bezpieczeństwa wojskowego, organizacji Narodów Zjednoczonych. Następnie idzie rozpatrzenie sytuacji i konkretnych zadań w ośmiu różnych regionach świata, poczynając od „Związku Sowieckiego i jego peryferii” poprzez W. Brytanię i Wspólnotę Narodów, rejon Europejski, morze Śródziemne i Bliski Wschód, Afrykę, Azję i półkulę Zachodnią.

Dla krótkiej charakterystyki samej treści tego dzieła wystarczy przytoczyć, że według autorów Stany Zjednoczone stoją wobec trzech wielkich problemów w swej polityce zagranicznej: stosunki z Rosją Sowiecką, związanie wolnych narodów świata w celu zbiorowej samo-obrony oraz wewnętrzna dyskusja na temat, co stanowi państwowy interes Stanów w stosunku do obu powyższych zagadnień. Wszystkie trzy są ze sobą najściślej powiązane oraz łącznie i każdy z osobna wywierają głęboki wpływ na poszczególne funkcjonalne i geograficzne posunięcia polityczne Ameryki. Głównym celem narodów wolnych jest ustalenie takiego porządku światowego, w którym wolność człowieka mogłaby kwitnąć. Tego celu nie podziela Rosja. Stąd konieczność przyjętej już zasady, że atak na którykolwiek naród wolny uważa się za napad na wszystkie. W związku z tym powstaje pytanie, czy dążyć do przeciwstawiania się agresji sowieckiej wszędzie, gdzie ona grozi, czy skoncentrować te wysiłki w Europie czy też może w Azji. Rola kierownicza, jakiej się podjęły Stany w organizowaniu tego oporu sprawiła, że musiały hojniełożyć pieniądze, oraz inne środki materialne a przede wszystkim zasoby ludzkie we wszystkich punktach krytycznych — od Grecji do Korei. Stąd Stany uważają, że ich głos powinien przeważać w naradach międzynarodowych, ale nie chcąc dominować w zespole narodów wolnych starają się w miarę możliwości poddawać opinii większości w myśl zasad demokratycznych.

Analizując zagadnienie Sowietów w Europie autorzy stwierdzają, że po wojnie Stany dążyły do „pogodzenia interesów sowieckich i zachodnich w państwach na peryferii” w celu zapobieżenia konfliktowi i zapewnieniu tym państwom suwerenności narodowej. W stosunku do Europy Wschodniej kładziono nacisk na całość państw mniejszych i dążono do wspólnej akcji wielkich mocarstw w dziedzinie ich państwowej odbudowy. To właśnie miało być intencją jałtańskiej deklaracji o Europie Wyzwolonej. Jakkolwiek porozumienia jałtańskie zostały złamane przez rządy komunistyczne, deklaracja ta stanowi nadal „prawnie użyteczny punkt wyjścia dla działania w stosunku do Europy Wschodniej” (legally useful frame of reference for dealing with Eastern Europe). Stopniowe opanowywanie i wchłanianie przez Rosję Polski i Czechosłowacji, poczynając od Komitetu Lubelskiego aż do zakazu korzystania z planu Marshall'a jest

tak przedstawione, jak gdyby Stany Zjednoczone i inne mocarstwa zachodnie wcale się do tego nie przyczyniły. Zerwanie pomiędzy Stalinem a Tito, „który połączył komunizm z nacjonalizmem”, dało formułę bardzo ponętną dla innych krajów satelickich i przez to stanowi niebezpieczeństwo dla Sowietów. Przyznają jednak autorzy, że naśladowanie Tity nie jest gdzie indziej możliwe z różnych powodów i że legalna opozycja przeciwko rządowi komunistycznym jest wykluczona.

Stany Zjednoczone mają interes w wydobyciu Europy Wschodniej i Chin spod w y ł ą c z n y c h wpływów sowieckich i w popieraniu ich dążeń do niepodległości i politycznej stabilizacji. Polityka Stanów wychodzi z założenia, że panowanie Sowietów nie zostało jeszcze ostatecznie utrwalone w krajach satelickich i że wobec tego należy dążyć do przerwania jego dalszych postępów choćby za cenę czasowego kompromisu z komunizmem „narodowym”. Tutaj rozpatrują autorzy argumenty za i przeciw wykorzystywaniu ewentualnych „narodowych” odchyłek komunistycznych oraz za i przeciw popieraniu ruchów antykomunistycznych za żelazną kurtyną i na emigracji.

W sprawie niemieckiej autorzy stwierdzają, że Stany nadal są zdecydowane nie dopuścić do tego, by Niemcy mogły kiedykolwiek stać się „groźbą dla międzynarodowego pokoju i bezpieczeństwa”, a z drugiej strony rozumieją dobrze, że kto opanuje Niemcy opanuje Europę. Stąd konieczność odbudowy gospodarczej i politycznej Niemiec Zachodnich w ramach organizacji zachodnio-europejskiej. Różne metody postępowania wobec Niemiec z punktu widzenia odstraszenia Sowietów od akcji zaczepnej w Europie stanowią przedmiot szczegółowej analizy.

Celem głównym wydawnictwa THE UNITED STATES IN WORLD AFFAIRS jest generalny przegląd stosunków zagranicznych Stanów w ciągu ubiegłego roku i przedstawienie wydarzeń we właściwej perspektywie tak, by przejrzystość pokazać ich wzajemne powiązania. Każdy tom jest dziełem jednego człowieka (trzeci rocznik z kolei pisze Richard P. Stebbins), a ocena wydarzeń i wyprowadzone wnioski są wyrazem jego osobistych poglądów. Jednakże dowiadujemy się z przedmowy, że plan i zarys wydawnictwa były poddane krytyce wielu biegłych w sprawach międzynarodowych, a poszczególne rozdziały były czytane przez specjalistów i dyskutowane w gronie pracowników stałych *Council on Foreign Relations*. Korzystanie ze znakomitej biblioteki oraz archiwów tej instytucji i jej wykwalifikowanego personelu dają autorowi niezwykle zgoła ułatwienia i możliwość operowania olbrzymim, należycie posegregowanym materiałem. — Dwa ostatnie roczniki — 1950 i 1951 — obejmują lata zwrotne w dziejach Stanów, jako potęgi światowej, a znamionuje je ciągle niebezpieczeństwo wojny, spotęgowane przez wysunięcie się na arenę światową Chin komunistycznych, zaostreżenie się wojny zimnej, przeciaganie się wojny Koreańskiej. Rozbudowa samoobrony państw zachodnich, Wspólnoty Atlantyckiej i jedności Europejskiej jako odpowiedzi na za-

czepną postawę świata komunistycznego — charakteryzuje drugą stronę obrazu. Starając się dać „bilans polityki powstrzymania”, zauważa autor, że jej powodzenie w Europie przypisać należy przede wszystkim postawie samych narodów europejskich i ich woli przeciwstawienia się penetracji czy naciskowi komunizmu. W Azji natomiast brak było potrzebnej świadomości niebezpieczeństwa, woli oporu, a ponadto zaciążyły usprawiedliwione często uprzedzenia do zachodnich mocarstw kolonialnych. Utratę Chin na rzecz Sowietów określa autor jako jedną z klęsk dla polityki zagranicznej i stanowiska światowego Stanów, dając bardzo wnikliwą analizę przebiegu wypadków i rozważając szczegółowo różne ich oceny. Z natury rzeczy wiele miejsca zajmuje przebieg walk na Korei i rokowań rozejmowych — zawsze w świetle wielkich strategicznych posunięć głównych rywali: Rosji i Stanów. Sytuację na Dalekim Wschodzie ilustruje dalej doskonałe przedstawienie dziejów, celów i następstw traktatu pokojowego z Japonią i uzupełniających go porozumień, całość kształt których tworzy system bezpieczeństwa na Pacyfiku. Na uwagę zasługuje porównanie roli Japonii na Pacyfiku i roli Niemiec w Europie — przy uwypokoleniu wszystkich różnic. Sprawy europejskie włączone są do problemu „wzmocnienia Wspólnoty Atlantyckiej”, a wprowadza go przypomnienie oświadczenia Achesona, że „celem tych wysiłków jest uprzytomnienie Związkowi Sowieckiemu, że żadne poszczególne mocarstwo nie będzie panowało nad całym światem i że byłoby szaleństwem, gdyby którekolwiek próbowało to uczynić”. Zagadnienie niemieckie formułuje autor jako „poszukiwanie drogi, by próżniący potencjał obronny Niemiec Zachodnich wykorzystać i teren ten przekształcić ze strategicznego i politycznego balastu w strategiczny i polityczny aktyw”. Trudność zadania wynika z faktu, że trzeba wciągnąć Niemcy do systemu obronnego Zachodu a jednocześnie zabezpieczać się przeciwko niebezpieczeństwu mogącemu wynikać z gospodarczego, politycznego i wojskowego odradzenia się tego kraju. Sprawy Narodów Zjednoczonych są przedstawione jako „spotkanie Zachodu i Wschodu” a w istocie jako scena, na której się odbywa pseudo pokojowy turniej oratorsko-propagandowo-dyplomatyczny pomiędzy tymi dwoma światami.

Obydwa notyfikowane tutaj wydawnictwa dają całkowity, wyczerpujący materiał informacyjny w zakresie sytuacji światowej, ujęty systematycznie, uporządkowany według zagadnień i terenów, przemyślany i oświetlony na ogół bardzo bezstronnie. Są to prace, bez których nie sposób się obejść przy studiach nad bieżącą polityką międzynarodową w ogóle a nad polityką zagraniczną Stanów Zjednoczonych w szczególności. Obydwa zawierają doskonałe skorowidze, rozległą bibliografię, a U.S. IN WORLD AFFAIRS ponadto obfity kalendarz wydarzeń (24 str.)

Lista poległych i zmarłych

Nakładem Instytutu Historycznego im. gen. Sikorskiego w Londynie ukazała się książka pt. „Wykaz poległych i zmarłych żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na obczyźnie w latach 1939 — 1946” x).

Spisy nazwisk poległych i zmarłych żołnierzy ujęto w książce w następujące rozdziały: Francja 1939 — 40; Norwegia 1940; Sam. Bryg. Strzelców Karpackich 1941 — 42; Francja 1941 — 46; Szwajcaria 1940 — 46; Dowództwa i oddziały w Wielkiej Brytanii 1940 — 46; I Dyw. Pancerna 1943 — 46; Brygada Spadochronowa 1941 — 44; Armia Polska w ZSSR pod dowództwem gen. Andersa 1941 — 42; Baza Ewakuacyjna w Iranie 1942; II Korpus: Środkowy Wschód, Włochy, Wielka Brytania 1942 — 46; Jednostki Wojska na Środkowym Wschodzie 1944 — 46; Marynarka; Lotnictwo; Kobiety w służbie sił zbrojnych: P.W.S.K., Junaczki, Czerwony Krzyż; Junacy.

Ponadto w oddzielnym dodatku umieszczono około 700 nazwisk tych żołnierzy, którzy po kampanii wrześniowej 1939 zostali wywiezieni przez władze sowieckie do ZSSR i tam zmarli lub zaginęli. Jest to tylko niewielka część nazwisk z ogólnej ilości wywiezionych i zaginionych, które kapelani naszych oddziałów w ZSSR i na Środkowym Wschodzie zdolali ustalić.

Jak wynika ze wstępu, spisy poległych i zmarłych opracowano na podstawie ksiąg zgonów prowadzonych przez urzędy duszpasterskie, spisów oficerów sporządzonych przez biuro dla spraw oficerskich Sztabu N.W. w Londynie oraz ksiąg strat wojska, marynarki i lotnictwa prowadzonych przez właściwe biura. We wstępie omówiono również trudności na jakie natrafiono przy opracowaniu spisów i w jaki sposób je rozwiązano.

Według danych statystycznych zawartych w książce, ogólna ilość nazwisk ujętych w wykazie wynosi 15783, z czego na zmarłych i zaginionych w ZSSR żołnierzy z roku 1939 przypada 727 nazwisk. Z pozostałej liczby 15056, na straty bojowe przypada 6500 nazwisk, a reszta dotyczy zgonów z powodu chorób i wypadków. Stosunkowo duży procent zgonów spowodowanych chorobami tłumaczy się dużą śmiertelnością w Armii Polskiej pod dowództwem gen. Wł. Andersa i w bazie ewakuacyjnej, gdzie ogółem zmarło 3615 żołnierzy. Według metryk śmierci około 75% tych zgonów spowodowanych było ciężkimi warunkami bytowania w ZSSR.

W stosunku do rodzin poległych i zmarłych książka ta wypełnia istniejącą dotychczas lukę dając im urzędowe stwierdzenie zgonu. Jest to szczególnie ważne, że dotyczy zgonów poza krajem, a więc poza zasięgiem krajowych urzędów stanu cywilnego.

x) str. XI + 370 i 3 szkice. Cena 12 sh., (lub \$2,50, lub fr. 600).

Nowości wydawnicze

LITERATURA

BERNANOS (G.). *Zakłamanie*. Str. 223. (Wyd. Instytut Wydawniczy „Pax”, Warszawa, 1952, Cena 20 zł.).

MARSKA (W.). *Buria nad Lwowem*. (Powieść. ukr.). Str. 212. (Wyd. „Kiyw”, Filadelfia, 1952, Cena, dol. 2,20).

REMIZOW (A.). *W różowym blasku*. (ros.). Str. 419. (Wyd. im. Czechowa, New York, 1952, Cena dol. 3,00).

SALAMON (von E.). *Der Fragebogen*. Str. 808. (Wyd. Rowohlt Verlag, Hamburg, 1951, w opr. płócienną).

SIMON (C.). *Gulliver*. Powieść. Str. 381. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1952).

MADARIAGA (de S.). *Portrait de l'Europe*, z przedmową André Maurois. Str. 276. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1952, frs 590).

BODIN (P.). *Les amants du Theil*. Str. 254. (Ed. La Table Ronde, Paris, 1952, frs 450).

BRINCOURT (A.). *La farandole*. Powieść. Str. 254. (Ed. La Table Ronde, Paris, 1952, frs 450).

MARCELIN (P.) et THOBY-MARCELIN (P.). *Le crayon de Dieu*. Powieść. Str. 254. (Ed. La Table Ronde, Paris, 1952, frs 450).

MAMMERI (M.). *La colline oubliée*. Powieść. Str. 255. (Ed. Plon, Paris, 1952, frs 450).

COCCIOLI (C.). *Le jeu*. Powieść tłum. z włoskiego przez Philippe Jaccottet. Str. 253. (Ed. Plon, Collection „Feux Croisés”, Paris, 1952, frs 450).

KENNEDY (M.). *Le chagrin du berger*. Powieść tłum. z ang. przez Annie Briere. Str. 317. (Ed. Plon, Collection „Feux Croisés”, Paris, 1952, frs 570).

BAUDOIN (Ch.). *Le triomphe du héros*. Str. 233. (Ed. Plon, Collection „Présences”, Paris, 1952, frs 480).

PORAY (J.B.). *Finger on the Trigger*. Tłum. z jęz. polskiego H. C. Stevens. Tytuł oryginalny „Walter 7.65”. Str. 268. (Wyd. Allan Wingate, Londyn, 1952, Cena: 9 sh. 6 d.).

DEON (M.). *La Corrida*. Powieść. Str. 255. (Ed. Plon, Paris, 1952, frs 450).

HISTORIA

Grafika w bunkrach UPA. Str. 69. (Wyd. « Prolog », Filadelfia, 1952).

BRADLEY (O.N.). *Histoire d'un soldat*. Pp. 532. (Ed. Gallimard, Paris, 1952, — 990 fr.).

Brody. Str. 164. (Wyd. Bractwa kol. Wojaków Pierwszej UDUNA, Monachium, 1951).

DOBROWOLSKI (T.). *Tomizm — filozofia szczęścia*. Str. 63. (Nakł. Katolickiego ośrodka wydawniczego „Veritas”, Londyn, 1952).

RUDNICKI (K., gen.). *Na polskim szlaku*. Str. 207. (Wyd. Gryf Publications, Ltd., Londyn, 1952).

KENNAN (G.F.). *La diplomatie américaine 1900-1950*, z przedmową Raymond Aron. Str. 209. (Ed. Calmann-Lévy, Paris, 1952, frs 540).

ZAGADNIENIA CHWILI

MOCH (J.). *Confrontations*. Pp. 477. (Ed. Gallimard, Paris, 1952, — 960 fr.).

HUNT (R.N. Carew). *Théorie et pratique du communisme*. Str. 308. Ed. Les Iles d'Or. (Diff. Plon), Paris, 1952, frs 630).

AKHMINOV (G.E.). *La puissance dans l'ombre, ou le fossoyeur du communisme*. Str. 371. (Ed. Les Iles d'Or. (Diff. Plon), Paris, 1952).

ARMSTRONG (H.F.). *Tito et Go-liath*. Str. 368. (Ed. Les Iles d'Or. (Diff. Plon), Paris, 1952, frs 720).

Listy do Redakcji

Szanowny Panie Redaktorze,

Doprawdy nie wiem, w jakim stopniu przedziwnej odysei wrześniowego numeru "Kultury" przypisać należy ton i niektóre zwroty ostatniego listu p. Jerzego Lerskiego. Pozostawiam to ocenie i domysłowości Czytelników, ograniczając się do esencjonalnego skorygowania i nasświetlenia pewnych istotniejszych dla prawdy historycznej faktów.

Nie da się zaprzeczyć, że powstaniu ugrupowania Polskich Socjalistów patronowali tej miary znani przedwojenni działacze PPS jak Barlicki, Dubois i Próchnik. Jest również prawdą wrocie ustosunkowanie Zygmunta Żuławskiego do samej koncepcji stworzenia WRN. Specjalnym wystannikiem Żuławskiego do Warszawy był wtedy Józef Cyrankiewicz — fakt znany nie wielu i ze zrozumiałych względów nie podkreślany. Wspominam o nim z powodu już wówczas charakterystycznej dla Cyrankiewicza "dyplomacji", która przejawiała się w tym, że zataił swemu mocodawcy przyjęcie z rąk Pużaka pełnomocnictwa WRN na woj. krakowskię...

Lewe skrzydło socjalizmu polskiego — pod tę nazwę podciągają PS, RPPS i PPS-lewicę skupiało do 1943 najbardziej aktywne, z reguły młodsze elementy inteligencje i robotnicze. Temu właśnie zawdzięczała PS udział w Krajowej Reprezentacji Politycznej. Próby "sanacji" stosunków, zgodnie z interesem partii burżuazyjnych wyszły — co jest b. wymowne ... po śmierci Libermana, a zamordowaniu przez Niemców znanych przed 1939 r. przywódców PPS ... ułatwiło WRN-owi przedstawienie PS jako partii "przetkanej komunistycznymi wtyczkami".

Ogólnie biorąc — WRN podporządkowała interesy socjalizmu fałszywie pojętej zgodzie narodowej, która przy faktycznej dominacji klas posiadających w aparacie wykonawczym i armii podziemnej — uniemożliwiłaby przeprowadzenie reform społecznych. Zdaniem lewicy — deklaracja Rady Jedności Narodowej z marca i sierpnia 1944 zawisłaby w próżni — podobnie jak miało miejsce z uchwaloną w 1919 r. przez Sejm reformą rolną.

Również stosunek do Kresów Wschodnich diametralnie dzielił WRN od lewicy. Uważaliśmy ten problem jako kwestię obchodzącą w pierwszym rzędzie Ukraińców, Białorusinów i Litwinów — a perspektywę (od przełomu pod Stalingradem) przywrócenia granicy ryskiej uzależnialiśmy od nadania autonomii terytorialnej.

Zasadniczym błędem WRN-u był brak jakiegokolwiek koncepcji w razie zajęcia Polski przez Sowietów. Oto główna przyczyna permanentnych różnic w łonie lewicy socjalistycznej, szukającej dróg ratowania ojczyzny.

Każdy mord skrytobójczy, a tym bardziej na tle politycznym, wymaga stuprocentowych dowodów przed publicznym oskarżeniem osoby lub organizacji. Ani wiadomość o wyroku Kompartii, usłyszana przez p. Lerskiego od Leszka Raabego (patrz "Wspomnienie o Bazyliu"), ani uzupełnienie jej (w jego liście z maja rb.) przez kogoś, związanego obecnie z reżimem — do tego nie wystarczą. To nie są nawet poszlaki.

Muszę podkreślić — szczegółowe dochodzenie prowadzone było tajnie przez grono przyjaciół Leszka Raabego, zarówno w czasie okupacji niemieckiej, jak również po wojnie. Byłem jednym z tych, którzy przesłuchiwali kilka osób w tej sprawie i jedynym rezultatem żmudnych dociekań było stwierdzenie braku śladu po nim w Gestapo i na Pawlaku.

Podejrzenia kierowały się także ku pewnej organizacji, która splegowała Leszka Raabego w ostatnich miesiącach jego życia. Jak były one silne, wystarczy wskazać na fakt, że ojciec zaginionego, prof.

Henryk Raabe, odmówił interwencji przy staraniach o uwolnienie z Bezpieki pewnego pana, o którym wiedział, że nie przebiegał w środkach w walce z "niepewnymi elementami".

Łączę wyrazy należnego poważania.

L. POGONOWSKI.
Szwajcaria.

Szanowny Panie Redaktorze,

Dnia 1-go czerwca br. odbył się Zjazd Polonii Amerykańskiej w Atlantic City, N. J., na który zjechało około 800 delegatów różnych organizacji polonijnych w St. Zjednoczonych i Kanadzie, oraz liczni przedstawiciele emigracji z Europy zachodniej. Między innymi Zjazd zaszczylił swą obecnością dwaj Księża Biskupi polskiego pochodzenia: J. E. A. M. Zalewski i J. E. H. T. Klonowski. Miło nam stwierdzić, iż Polonia w Ameryce pamięta o swej roli i przywiązaniu względem dawnej ojczyzny Polski, manifestując je na takich czy innych zjazdach. Wszystko to wygląda bardzo pięknie, ale nie jeden Polak zspatrujący się na obecne sprawy polskie w świecie z między-narodowego punktu widzenia, gdy zanalizuje niezliczone przemówienia, odczyty i deklaracje, które zwykle sypią się z ust delegatów czy dyplomatów jak z rękawa, na pewno nie łatwo mu przyjdzie wyrobić sobie jednolity pogląd na te sprawy. I tak na Zjeździe w Atlantic City, N. J. przemawiali pp. dr T. Bielecki, K. Bagiński, S. Pyzik, Sznajder i wielu innych. Pano- wie ci przypomnieli zachodniemu światu politycznemu Sybir i Katyń, wzywali władze amerykańskie do położenia kresu okupacji sowieckiej w Europie środkowo-wschodniej, dodali ducha i nadziei Rodakom w Kraju, ostrzegając ich by na razie nie podejmowali akcji antykomunistycznej, gdyż krok tego rodzaju przyczyniłby się raczej do zupełnej utraty dotychczasowego cienia wolności. Następnie była mowa o granicach Polski, której charakterystyczny urywek przytaczam. „Domagamy się uznania granicy Odry i Nisy Łużyckiej na zachodzie, a linii traktatu ryskiego ze Lwowem i Wilnem na wschodzie, oraz całymi Prusami Wschodnimi i Królewem na północy”.

Czyż nie są to marzenia ściennej głowy? I może Churchill miał rację, gdy w roku 1945 powiedział: „Poles have every virtue, except political sense”. Jesteśmy chyba jedynym narodem, który żyje wspomnieniami przeszłości i patrzymy na rzeczywistość obecną przez szkła XIX wieku, kiedy to słowa Rzeczypospolita Polska oznaczały Koronę, Litwę i Ruś. Granice obecne są najkorzystniejsze dla Polski. Ziemie Odzyskane są naszą własnością, o których polskość nie tylko mówią fakty historyczne, lecz świadczą o niej nawet odkrycia prehistoryczne. A więc strzeżmy naszych granic na zachodzie; przekonajmy świat, iż mamy pełne prawo do Ziemi Odzyskanych.

Polacy lubią domagać się sprawiedliwości i wiedzą jak ją ocenić, ale gdy przyjdzie się nam wymierzyć sprawiedliwość dla kogoś, to używamy bardzo skąpej i kto wie, czy nie wręcz fałszywej miary. Niemal 3/4 Polaków znajdujących się na emigracji pochodzi z tzw. Kresów Wschodnich. Znaczna część osiedliła się na Wołyniu, Polesiu i Podolu jako „koloniści” polscy po reformie rolnej, inni to potomkowie od wieków zamieszkujących tu rodzin polskich — dawnej szlachty. Kresy Wschodnie wraz z kilku milionami Rusinów (Ukraińców), Białorusinów i Litwinów przypadły Polsce Odrodzonej w wyniku traktatu ryskiego. Wilno na północy, Lwów na południu — te tak „szczepopolskie” miasta sprawiły nam najwięcej kłopotów i narobiły wrogów. Tak jak my Polacy mamy prawo do Wrocławia, Szczecina i Gdańska, tak Litwini służnie się domagają Wilna, a Ukraińcy Lwowa. Dowody historyczne wykazują, iż miasta te nigdy nie były rdzennie pol-

skimi. Jakkolwiek faktem jest, że większość mieszkańców Lwowa i Wilna uważała się za Polaków przed rokiem 1939, to jednak grubo myli się ten, kto utrzymuje, iż miasta te muszą być kiedyś Polsce zwrócone. Litwini nigdy nie zapomną o Wilnie i dopóty nie będzie zgody między nami dopóki nie oddamy im tego Wilna. Z drugiej zaś strony Ukraińcy nie podarują nam Lwowa. Po zakończeniu ostatniej wojny Kresy Wschodnie zostały „oczyszczane” z Polaków. Gdy dojdzie do trzeciej wojny światowej i do ewentualnej klęski Rosji Sowieckiej, nasze apetyty na Lwów i Wilno powinny być już zupełnie wygasnąć. Niech Litwini, którzy gorszy niż my los przeżywają, cieszą się swym Wilnem, a we Lwowie niech powiewa sino-żółty sztandar. My zaś zwróćmy oczy na Wrocław, Gdańsk i Szczecin i budujmy Polskę na jej własnej glebie. Wtedy na pewno sąsiedzi nasi ze wschodu i północy obdarzą nas zaufaniem. Przy współpracy Ukrainy i Litwy, Federacja Europy środkowo-wschodniej stanie się faktem dokonany.

Się wyrazi wysokiego poważania.

Ks. Józef Z. MAJEWSKI

St. John Vianney's Seminary, Pretoria, Afryka Połudn.

Szanowny Panie Redaktorze!

Uprzejmie proszę o zamieszczenie w „Kulturze” następującej wzmianki:

Z powodów powikłań pocztowych, „Katedra Sandwiczów” w numerze październikowym wydrukowana została bez korekty autorskiej.

Z góry dziękując Panu Redaktorowi za umieszczenie tej wzmianki, wyrazy głębokiego szacunku załączam

Czesław STRASZEWICZ.

Szanowny Panie Redaktorze,

P. Janusz Kowalewski pisze *czerezwyczałka* (nr 341 londyńskich „Wiadomości”). Ponoć tak mówili Polacy, którzy swego czasu wracali z Rosji. Ale już w rosyjszczyźnie mogło ich kusić to, że obok cerkiewno-słowiańskiego przedrostka *czier-* (np. *czerezwyczałnyj*) był również czysto-rosyjski przyimek *czier-* (np. *czieriec* dwie niedzieli). Pokusa była o tyle silna, że polszczyzna nie ma żadnego słowa zaczynającego się na *czr-*, są natomiast cztery szeroko i od dawna znane ukraińszczyźnie na *czere-*: *czereda* (obok szczerze polskiej *trzydy*), *czereucha* (obok przoradzkiej *trzemchy* i od niej się wiodącego miasteczka *Trzemeszna*), *czerep* (siedemnastowieczny Potocki znał jeszcze *trzap* garnka) i *czereśnia* (obok *trześni*). Ukraińszczyźnie albo utwierdziły, albo spowodowały wykołowanie się rosyjskiej *czerezwyczałki* w polską *czerezwyczałkę*. Kto wie — może już sam tow. Dzierżyński mówił *czerezwyczałka* pograżając się w polskie odchylenia językowe? Nie urok ludzkiej *czerechy* czy ludzkiego *czerepu*, couleur locale, go zwodził, nie upojenie białym kwiecikiem *czereuchy* czy *czereśni*, choć poetyka i arcydelikatna była bestyja (komara taki nie zabił), lecz tylko i jedynie czynniki formalno-fonetyczne. Na zasadzie tych samych czynników poprawną polską postacią francuskiej *conquête* jest *konkieta*, nie „*kaketa*”, która żadnej Polki do dzieła nie zagrzewa. Może nie wypada, ale lichy mnie kusi zakończyć: „niech żyje *czerezwyczałka*”!

Stanisław WESTFAL

(Glasgow)

P.S. List ten „Wiadomości” odrzuciły — red. Grydzewski jest zwoleńnikiem „*czerezwyczałki*”.

Szanowny Panie Redaktorze,

Nieoczekiwane „wyróżnienie” mnie przez dr Zbigniewa Grabowskiego w liście zamieszczonym we wrześniowym numerze „Kultury”, a głoszącym, że „Dziennik Polski” poza mną „nie ma do zaprezentowania w swej redakcji dziennikarzy i publicystów znanych kronikom polskiego dziennikarstwa przed wojną”, mogę przypisać chyba tylko jego nieznajomości zespołu pracowników „Dziennika”.

Redakcja „Dziennika Polskiego” liczy szereg dziennikarzy i publicystów dobrze znanych z czasów przedwojennych, że wymienię z najcięższego grona redakcyjnego Mieczysława Obarskiego, Wojciecha Wasiutyńskiego i Karola Zbyszewskiego. Ze względu na regularną współpracę można zaliczyć także do redakcji Antoniego Bogusławskiego, dr Ludwika Rubla, dr Zygmunta Nowakowskiego jak również korespondentów zagranicznych — Romana Fajansa w Paryżu i korespondenta w Waszyngtonie podpisującego „Vigil”. Lista chyba pokażna.

Zresztą wydaje mi się, że gdyby nawet redakcja „Dziennika” nie liczyła tylu dziennikarzy znanych „kronikom dziennikarstwa polskiego przed wojną”, ba, nie mogła zaprezentować nawet jednego, to nie można by z tego wyciągnąć żadnych wniosków. Upłynęło już przeszło 13 lat odkąd owe kroniki zaniknęły i jest rzeczą jak najbardziej zrozumiałą, że do głosu dochodzi młodsze pokolenie dziennikarzy. Toteż nikomu nie przyjdzie na pewno na myśl wyrażać się z przekąsem np. o sekcji polskiej BBC dlatego, że ogromna większość jej współpracowników nie była szerzej znana przed wojną. Nie przeszkadza to temu zespołowi doskonale wywiązywać się ze swych zadań.

Sama „Kultura” liczy wśród swych stałych współpracowników świetnych publicystów, którzy przed wojną nie byli znani.

Chciałbym jeszcze dodać, że w dzisiejszej prasie francuskiej, amerykańskiej i brytyjskiej widzę również przeważnie nowe nazwiska.

Łączę wyrazy prawdziwego poważania.

Aleksander BREGMAN

Wembley, Middlessex, W. Brytania.

Szanowny Panie Redaktorze!

Przykro mi, że Zbigniew Grabowski w mojej marginesowej uwadze o „poziomie Ikaca” dopatrywał się nieomal ataku na ten dziennik. Nie chciałem wcale powiedzieć, że I.K.C. był piśmiem „złym”, lecz że był typowym piśmiem popularnym i przez to obciążonym nieuniknionymi wadami tego rodzaju prasy. Należało by może rozróżnić pojęcia „jakości” i „poziomu”. Dla przykładu: „XX Century” wydaje mi się dość słabym piśmiem na „wysokim”, elitarnym poziomie, a amerykański „Reader's Digest” — znakomitym miesięcznikiem na „niskim”, popularnym poziomie.

Współpraca Grabowskiego, Nowakowskiego, Pruszyńskiego czy Zweiga nie zmieniała zasadniczo tak rozumianego „poziomu”, podobnie jak obecność Bertranda Russella na łamach „Daily Herald” nie stawia tego piśmiem wyżej od... naszego skromnego „Dziennika Polskiego”. Nawiasem mówiąc, nie jestem pewien, czy jedynym filarem tego dziennika jest Aleksander Bregman, jak trochę pochopnie twierdzi p. Grabowski, tym samym zaliczając np. Wojciecha Wasiutyńskiego do dziennikarzy „nieznanych kronikom polskiego dziennikarstwa przed wojną”.

Proszę przyjąć wyrazy poważania.

Michał SAMBOR

PLON

Un grand livre

LA SECONDE CHANCE

par

C. V. GHEORGHIU

Roman traduit du roumain par LIDIA LAMOURE

*« Cette seconde chance
qu'est la terre d'Occident. »*

L'auteur de *LA VINGT-CINQUIEME HEURE* nous présente une fresque encore plus saisissante du monde de la Terreur et de l'Absurde auquel conduisent le déchaînement des fanatismes politiques, la division du monde contemporain en deux blocs monolithiques entre lesquels risquent fort de périr l'individu, la personne humaine, la liberté, le droit de chaque homme à la vie.

Collection « FEUX CROISES »

In-16 690 fr.

PLON

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis en l'Île, Paris (IV^e).

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz
Dépôt légal: 4^e trimestre 1952.

KULTURA

REDAKTOR — JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 1, Avenue Corneille, Maisons-Laffitte (S. et O.)
Telefon: Maisons Laffitte (S. et O.) 19-04

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1-rocza	Roczna
AFRYKA POLUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 71, Raglan Street, Sydenham, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, «Skladnica Książki Polskiej», Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires	10 peso	60 peso	120 peso
AUSTRALIA: «Vistula» (Australia) PTY Ltd., 77, Pitt Street, Sydney	5 sh. (a.)	£A.1.7.6.	£A.2.12.6.
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 62, rue Vandrekinder, Uccle, Bruxelles. Nr konta pocztowego 7315-20	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Walery Bader, Barao de Limeira 915, apto 58, Sao Paulo; Julia Barcińska, r. Erasmo Braga 227 s. 214, Rio de Janeiro, oraz Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana	15 cruz.	90 cruz.	150 cruz.
FRANCJA: «Libella», 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris-IV ^e	150 fr.	900 fr.	1.800 fr.
KANADA: Krystyna Krakowska, 2290, Av. Marcell, Notre Dame de Grâce, Montreal/Que., tel. HU 8-5224; Stan. L. Lemański, 570, Aberdeen Ave., Winnipeg/Man.; Stan. L. Opolski, 880, Barton St. E. Hamilton/Ont.; Books and Newspapers Agency, H. R. Radomski, 107 Rose Park Drive, Toronto/Ont., Tel. HY-0829; Stanisław Zybala, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanisławski, Apartado Postal 206, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: «Ostatnie Wiadomości», 17a, Mannheim-Sandhofen, 4094 LSCO Schoenau, U.S. Zone; St. Mikulak, Seehamer-Str. 4, Baracke 16B/2, München 54	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 53, rue de Lausanne, Genève. Tel. 2-23-58	2 fr. szw.	12 fr. szw.	22 fr. szw.
SZWECJA: Red. Norbert Żaba, Kallskärgatan 3/IV, Stockholm	3 kr.	15 kr.	28 kr.
URUGUAY: Jerzy Paluski, Calle Itu 2060, Montevideo-Melvin	75 cent.	4 dol.	6 dol.
U.S.A.: Józef Białasiewicz, 1165, Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bienkowski, «Gryf Publ.», 808 Wager St., Utica, N.Y.; L. Dudarew-Ossetyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; S. Dziarczykowski, 3216 W.—15 St., Los Angeles 19, California; M. K. Dziewanowski, 27 Aberdeen Ave., Cambridge, Mass.; Christian M. Kretowicz, 1828 Glenwood Ave., Toledo 2, Ohio; Andrzej Pleszczyński, P.O. Box 750, Santa Barbara, California; M. Szyrowski, 11 Cooper Street, New York 34, N.Y.; Kazimierz Trojanowski, 8805 Neal St., Detroit 14, Michigan; S. Sokolowski, 4856 E Stiles St Philadelphia 37, Pa.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: «Gryf» Publications Ltd., 169/171, Battersea Church Road, London, S.W.11 ..	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
WŁOCHY: Ewa Wierusz-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632.	250 lir	1.500 lir	2.500 lir

W krajach niewymienionych prenumeratę liczymy tak jak we Francji, doliczając na koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie.
Koszta przesyłki pojedynczego numeru: 30 fr. fr.

Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 1, Av. Corneille, Maisons-Laffitte (S.-et-O.)

Cena ogłoszeń: cała strona 10.000 fr.; 1/2 strony 6.000 fr. fr.

KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU

123, Bld Saint-Germain — Paris-6^e

ogłasza prenumeratę na
pierwsze polskie powojenne wydawnictwo leksykograficzne pt.

PODREČZNA ENCYKLOPEDIA POWSZECHNA

opracowane przez liczny zespół uczonych
pod redakcją Dra Stanisława LAMA

Zasadnicze zmiany polityczne, społeczne i ekonomiczne, przewroty w dziedzinie techniki, nowe prądy w literaturze i sztuce — słowem wszystko co zaszło w ostatnich latach kilkunastu — domaga się zarejestrowania i objaśnienia. To skłoniło wydawnictwo do podjęcia opracowania nowej Encyklopedii, w której prócz spraw ogólno-światowych uwzględniono w szerokim zakresie rzeczy polskie zarówno krajowe jak i emigracyjne. Wszystkie informacje oparte są na najnowszych materiałach i doprowadzone do ostatniej chwili, omówione bezstronnie, udokumentowane statystyką.

Całość Encyklopedii Powszechnej zawarta będzie w 20-u zeszytach (każdy objętości 96 szpalt druku, raz w miesiącu).

Cena zeszytu w prenumeracie wynosi 250 fr.

Prenumeratę wpłacać należy za 2,4 lub 6 zeszytów, mandatem pocztowym lub czekiem bankowym.

Po zamknięciu prenumeraty cena będzie znacznie podwyższona.

Prosimy o *wczesne zgłaszanie prenumeraty*, aby można było ustalić wysokość nakładu, który ze względu na duży koszt wydawnictwa — nie będzie powtórzony.

Zgłoszenia prenumeraty i wpłaty prosimy nadsyłać pod adresem:

KSIĘGARNIA POLSKA W PARYŻU

123, Bld St.-Germain — Paris-6